

ZA KULISAMI POLITYKI

Jak Jarosław Kaczyński
rządzi ze szpitala



120
stron

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 22/274 28 MAJA–3 CZERWCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Adam Hofman
– życie po Madrycie

**DODATEK SPECJALNY:
SOWIECKA GRA
PRZECIWIW POLSCE**



Gangster Masa
– koronny celebryta

Śledztwo „Do Rzeczy”

CIEMNE CHMURY NAD KWAŚNIEWSKIMI

Badają przepływy pieniędzy między kontami



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 92,2 tys. egzemplarzy

epi.sasa.pl 73215

Cześć i chwała weteranom

Z okazji Dnia Weterana Działań Poza Granicami Państwa oraz Międzynarodowego Dnia Uczestników Misji Pokojowych ONZ składamy wszystkim żołnierzom i funkcjonariuszom służb mundurowych oraz pracownikom cywilnym, wypełniającym swoje obowiązki służbowe poza granicami kraju, życzenia wszelkiej pomyślności i wyrazy najwyższego uznania dla Waszej odwagi i profesjonalizmu.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wielka niemoc

Kiedyś dawno temu ciągle słyszałem, jak ważną rzeczą w każdym ustroju demokratycznym są programy polityczne. Różnej maści specjaliści oraz eksperci mądrzyli się nieustannie i z namaszczeniem w głosie opowiadali o społeczeństwie obywatelskim, znaczeniu debaty publicznej, powadze zaangażowania obywateli, roli, jaką odgrywają wymiana argumentów i konkurencja projektów politycznych. No cóż, dziś pewien już jestem, że wszystko to bujda na resorach. A przynajmniej na to zdaje się wskazywać sytuacja w Polsce. Z pewnością nie w taki sposób walczy opozycja z rządzącymi.

Różne rzeczy można powiedzieć o rządach PiS – dla jednych to spełnienie marzeń, dla innych koszmaru – ale nikt nie może im odmówić konsekwencji i, co jeszcze ważniejsze, realizacji pewnej wizji państwa. Wyrównanie różnic społecznych, wiara w siłę państwa, potrzeba odbudowy jego aktywności w gospodarce –

hasła te dobrze opisują główny zamiar rządzących. I co im przeciwstawia opozycja? Nic.

Mimo kolejnych miesięcy, które mijają od czasu objęcia władzy przez PiS, opozycja – tak Platforma Obywatelska, jak Nowoczesna – nie potrafiła zbudować żadnej czytelnej alternatywy. Całe przesłanie obu głównych partii wraz z pomniejszymi przybudówkami sprowadza się do jednego: że nie są one Prawem i Sprawiedliwością. Dlaczego ludzie mieliby ich wybrać? Bo nie są PiS. Ale dlaczego mieliby nie wybrać PiS? Bo PiS jest zły i tyle. Tak na dobrą sprawę nie sposób wskazać ani jednego, powtarzam: ani jednego postulatu politycznego, planu politycznego, za którego pomocą opozycja chciałaby zmienić Polskę. Wszystkie hasła na wiecach, wszystkie zamiary i postulaty sprowadzają się do jednego: żeby PiS przestał rządzić. Co dalej? Nie wiadomo.

Przecież nie sposób uznać za realny program ani wezwania do

„przestrzegania praworządności”, ani opowieści o „potrzebie przywrócenia demokracji” czy „odejścia od autorytaryzmu”. To tylko puste slogany, które pierwotnie miały jedną zaletę, czyli prowadziły część wyborców do emocjonalnego pobudzenia i pozwalały mobilizować się przeciw rządzącym. Jednak czas mija i żadne nowe hasła się nie pojawiły. Nie wiadomo, czy Grzegorz Schetyna, jak wcześniej zapowiadał, wciąż chce likwidować IPN i CBA. A może to już przeszłość? Co opozycja zamierza zrobić z projektem „500+”? Zatrzymać? Rozszerzyć? Zamknąć? To tylko kilka przykładów niezborności. Cała polityka prowadzona przez opozycję przypomina zachowanie niesforne, rozbawione dziecko, które nie mogąc pogodzić się z sytuacją, w której to nie je wybrano, złości się i dokazuje. Dlatego w Polsce dominuje nie wymiana argumentów i debata, ale teatr min i gestów, błazenada i pajacowanie. Ostatnio doszło do tego urządzanie awantur. Już nie podchwytliwe pytania, ale próba zakrzyknięcia. Demonstracje się wypaliły. Zachodnie media się znudziły opisywaniem polskiego autorytaryzmu. Protest niepełnosprawnych też wybuchu społecznego nie wywołał.

Opozycji pozostało jedno: czekać, aż PiS sam się potknie o swoje nogi. I to tyle, jeśli chodzi o programy i plany. Żadnego innego pomysłu nie ma, a przynajmniej nie sposób się o nim dowiedzieć. Poza nadzieją na samowykończenie się władzy opozycja nie umie niczego innego zaproponować. Czy to wystarczy? Czy naprawdę Polacy mieliby być aż tak zdesperowani, żeby oddać władzę w ręce ludzi, którzy nie mają żadnego planu na przyszłość? Mam nadzieję, że nie. ©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI

RACHUNKI POGRĄŻĄ KWAŚNIEWSKICH?

Nowe materiały w śledztwie dotyczącym willi w Kazimierzu



KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA

KOLANO PREZESA

Jak Kaczyński rządzi ze szpitala

24 ROZMOWA Z DR. BARTŁOJEM BISKUPEM
WYBORCY WYSTAWIAJĄ RACHUNEK

27 PIOTR SEMKA
WSZYSTKO STAJE SIĘ POLITYKĄ

30 ŁUKASZ WARZECHA
KOMU SIĘ NALEŻY?

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DZIWNA WOJNA

34 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
CZARZASTY – REAKTYWACJA

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŻYCIE PO MADRYCIE

38 RADOŚLAW WOJTAS
KORONNY CELEBRYTA

KULTURA

42 ROZMOWA Z ARAEL ZURLI
AMBASADORKA POLSKI
Helena Modrzejewska – aktorka,
którą kochał Sienkiewicz

44 JOANNA BOJAŃCZYK
ARTYSTA W ŚMIETNIKU WIZUALNYM

47 PIOTR GOCIEK
SOŁO SZYBKIE I WŚCIEKŁY

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY



51-70
SOWIECKA GRA PRZECIW
POLSCE

OPINIE

76 ROZMOWA ZE STANISŁAWEM
MICHALKIEWICZEM
LEKcja OD AMERYKI
USA przypilnują żydowskich
roszczeń

80 STEFAN SĘKOWSKI
DEMOKRACJA KONTRA WOLNOŚĆ?

HISTORIA

84 PIOTR SEMKA
POZDROWIENIA Z RYNSZTOKU
Naturalizm niemieckich artystów

ŚWIAT

88 PIOTR WŁOCZYK
BRUDNE RUBLE
Koniec rosyjskiego raju na Wyspach?

90 MAŁGORZATA WOŁCZYK
KATALOŃSKI
EKSTREMIZM

92 WITOLD REPETOWICZ
LEN W IRACKIEJ CIEMNICY

EKONOMIA

96 OLIVIER BAULT
SZANTAŻ
ZAMIAST NEGOCJACJI
Czy brexit w ogóle nastąpi?

98 ROZMOWA Z MARKIEM MIŚKĄ
ZIELONI WYKOŃCZĄ PRZEMYSŁ

DODATEK

105
HISTORIA FORMUŁY 1

O ZDROWIU

112 KATARZYNA PINKOSZ
SPRAWDŹ, CO BIERZESZ
Lek czy suplement

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (8), WARZECHA (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (82), ZYCHOWICZ, KOPER (87), KOWALCZUK (94), GABRYEL, RYBIŃSKI (101), KOMUDA (114), TYRMAND (117), KATARYNA (118), ŁYSIAK (119)

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu uwagę naszych Czytelników zwróciły m.in. felieton Waldemara Łysiaka i artykuł Mateusza Maranowskiego. Zamieszczamy też wyjaśnienie autora artykułu „Ameryka nie kocha Polski”.

„PiSk”

W „Do Rzeczy”, nr 20/2018, Waldemar Łysiak, odnosząc się do działań obecnego rządu, zacytował Ottona von Bismarcka: „Dajcie Polakom rządzić, a sami się wykończą”. Takie krytyczne wypowiedzi na nasz temat przebrzmiały zachodnich polityków są, niestety, dość często cytowane. Jest to bezsensowne, jeśli wziąć pod uwagę osiągnięcia tych „autorytetów”. Twór Bismarcka – cesarstwo – przetrwało mniej niż pół wieku, Prusy, które wyniósł na szczyty potęgi, nie istnieją od ponad 70 lat. Rządzący Republiką Weimarską nazywali odrodzoną Polskę sezonowym państwem. Tymczasem sezonowa okazała się ich republika. Wiekopomych osiągnięć Niemiec w ubiegłym stuleciu nie trzeba chyba nikomu przypominać. Może więc pora przestać cytować takie jak przywołane przez Waldemara Łysiaka „skrzydlate słowa” Bismarcka i jemu podobnych. To oni się wykończyli, nie my.

Jednocześnie uprzejmie proszę o przekazanie pani doktor Ewie Kurek wyrazów uznania i głębokiego szacunku za jej pracę, tak rzeczowo i jasno przedstawioną w wywiadzie „Ewa Ku-

rek tego nie wymyśliła!” („Do Rzeczy” nr 19/2018).

Z poważaniem
Stefan Krzywiński

„Piekło robicie sami”

Bardzo serdecznie dziękuję Panu Mateuszowi Maranowskiemu za artykuł „Piekło robicie sami” („Do Rzeczy” nr 20/2018). Bardzo dobrze wyraził to, co sama chciałam przekazać otoczeniu. Miałam bardzo duży niesmak po przeczytaniu listu Pani Moniki. Przede wszystkim dlatego, że aborcja nie rozwiązałaby jej problemów, ponieważ porażenie mózgowe najczęściej jest wynikiem niedotlenienia mózgu podczas przedwczesnego porodu... No, chyba że ktoś jest jasnowidzem i w 11. tygodniu wie, że urodzi wcześniaka! I również uważam, że Pani Monika pomyliła chyba akcje – powinna walczyć o eutanazję. Dodatkowo niesmak potęguje to, że Pani Monika określa siebie jako katoliczkę... Swoim listem wprowadziła społeczeństwo w błąd, sugerując, że obecna ustawa daje możliwość zabijania dzieci z MPD...

Pozdrawiam gorąco
Maja Kołodziejska
mama Karoliny 11 lat MPD oraz Łukasza,
Julki i Antka

„Ameryka nie kocha Polski”

W poprzednim numerze „Do Rzeczy” (21/2018) w artykule „Ameryka nie kocha Polski” nazwałem Johna Boltana szefem Departamentu Stanu. Jest to oczywista pomyłka, John Bolton piastuje stanowisko doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego.

Tomasz Kwaśnicki

Na polskiej scenie politycznej śmierdzą się obecnie dwie sity. Z jednej strony PiS robi wiele, żeby elektorat do siebie zbiebieć, a z drugiej opozycja rozpalać wokół PiS elektorat mobilizuje...



ce z a t y e t y s z t o p a b i o p p o b l i z a



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**,
Krzysztof Masłoń, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziernikiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika**
Ćosić (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**, **Piotr Gursztyn**,
Katarzyna, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalcuk (Rzym)**,
Jakub Kowalski, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Tzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Anna Piotrowska, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz**
P. Terlikowski, **Błażej Torajski**, **Matthew Tymand**, **Paweł Wawrzyński**, **Szewach**
Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**,
Damian Cygan, **Karol Gac**, **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio),
Jan Fiedorczuk

Współpraca: **Milosz A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),

Marta Bensaleem, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wójtowicz**,

Włodzimierz Zakrzewski

Fotoreżyser: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,

Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**,

Mirosław Owczarek

Okładka: **Alek Markowicz/Newsweek/Forum**, **Fotolia**, oprac. graf. **Sunday**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 92,2 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Mesut Özil wykreślił numer

Niemcy z racji brunatnej przeszłości miały przez wiele powojennych lat duże problemy z odpowiedzią na proste, wydawałoby się, pytanie: Jak demonstrować swój patriotyzm? Długie lata za najbardziej stosowny sposób na pokazywanie dumy z Niemiec była uznawana piłka nożna.

W 2006 r. do tej stadionowej formy miłości do własnego kraju doszedł kolejny element – po raz pierwszy wymachiwano na taką skalę czarno-czerwono-złotymi barwami. Socjopsycholodzy ostrzegali wtedy: „Niewinny, wydawałoby się, hurrapatriotyzm szybko może się przeobrazić w nacjonalizm”.

Jednak intelektualistom sceptycznym wobec wybuchu narodowej dumy wskazywano nowy, ważny czynnik: niemiecka reprezentacja jest już złożona w sporym procencie z piłkarzy o „różnorodnych korzeniach etnicznych”.

W tym kontekście wskazywano na Lukasa Podolskiego, Mirosława Klosego, ale też na dwójkę potomków tureckich imigrantów: Mesuta Özila i İlkaya Gündoğana –

urodzonych już w RFN, w jednym górniczym mieście Gelsenkirchen w Zagłębiu Ruhry.

„Sześciu z 23 piłkarzy narodowej reprezentacji ma cudzoziemskie korzenie. [...] Mesut Özil był tym, dzięki któremu rasizm wśród niemieckich kibiców był prawie nieobecny” – pisał portal Deutsche Welle.

Duma z Mesuta Özila i İlkaya Gündoğana jako wzorców nowej niemieckości została jednak ostatnio wystawiona na ciężką próbę. Oto 14 maja br. obaj futboliści spotkali się w Londynie z wizytującym akurat Wyspy prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem. W spotkaniu brał udział także grający na co dzień w angielskim Evertonie reprezentant Turcji Cenk Tosun. Wszyscy trzej zawodnicy zrobili sobie z głową państwa tureckiego zdjęcia i przekazali Erdoğanowi swoje koszulki meczowe z podpisami. Gündoğan na swojej koszulce dopisał czułe słowa: „Dla mojego prezydenta”.

Konsternacja w Niemczech była ogromna. Zagotowały się fora internetowe. Reinhard Grindel, szef Niemieckiego Związku Piłki

Nożnej, zagrzmiał w specjalnym oświadczeniu: „DFB oczywiście respektuje specjalną sytuację naszych reprezentantów, którzy mają obce korzenie, ale nasz związek stoi po stronie wartości, które prezydent Erdoğan niewystarczająco szanuje”. Odezwały się głosy domagające się usunięcia piłkarzy z kadry.

Cała sprawa jaskrawo przypomniła, że Turcja pod rządami Erdoğan'a wisi jak ponury cień nad RFN. Niemcy obawiają się, że turecka społeczność nad Łabą i Renem staje się coraz bardziej posłuszna życzeniom Ankar. Turecki przywódca domaga się np., by na terenie Niemiec tureccy politycy mogli prowadzić swoje kampanie wyborcze. Berlin odmawia, ale musi ważyć słowa, bo Ankara po cichu grozi kolejną falą uchodźców, która może ruszyć na Europę zza tureckiej granicy.

Sen o wchłanianiu Turków w multikulturowe Niemcy błędnie. Gest dwóch piłkarzy z Gelsenkirchen tylko potwierdza najgorsze obawy, że w razie konfliktu lojalności tureckie korzenie będą uważane za ważniejsze niż obywatelstwo RFN. ©©

TRUMP KARCI KIM DZONG UNA

To miało być historyczne wydarzenie o ogromnym wpływie na bezpieczeństwo świata. Prezydent USA odwołał jednak w zeszłym tygodniu zapowiadany na 12 czerwca szczyt z przywódcą Korei Północnej. Donald Trump, prezydent USA, ogłosił, że ostatnia wypowiedź Kim Dzong Una była „otwarcie wroga”, więc prowadzenie rozmów – na których pozytywny wynik mocno liczyli m.in. Koreańczycy z Południa – byłoby teraz „niewłaściwe”. Przedstawiciele Północy ogłosili jednak, że „w każdej chwili” są gotowi do rozmów. (jap) ©©



STRAŻNIK PAMIĘCI 2018



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Smutnawa radość

Nagradzani za granicą polscy artyści bez wątpienia są beneficjentami dobrej zmiany i powinni podziękować Kaczyńskiemu. „Małgośka” Szumowska w Berlinie, Paweł Pawlikowski w Cannes, a ostatnio Olga Tokarczuk w Londynie – z należnym szacunkiem dla dorobku dwojga ostatnich – prawdopodobnie nie zostaliby uhonorowani,

meni, nagrody dla Polaków zawsze promują Polskę. Za ileś tam lat nikt nie będzie pamiętał politycznego zaangażowania pani Tokarczuk ani wrednych wywiadów, w których Pawlikowski kreował się na ofiarę „polskiego antysemityzmu” – będą natomiast, jak sądzę, pamiętane i kojarzone z Polską ich dzieła. Smutne tylko, że w obecnym świecie, czczącym Marksa i steroryzowanym przez polityczną poprawność, warunkiem zyskania uznania przez Polaka jest, jeśli nie demonstracyjne naplucie na „kraj pochodzenia”, to przynajmniej wpisanie się w antypolskie stereotypy.

Stwierdzenie tego faktu wywołuje w obozie totalnej opozycji konwulsje wściekłości – ale nikt rozsądny nie może zaprzeczyć temu, co oczywiste. Świątek artystyczny od dawna kontrolowany jest przez „dzieci Marksa i Coca-Coli”, a przyznawane w nim nagrody stanowią część wielkiej maszyny

„dystrybucji szacunku”. Budują one przecież autorytety, a autorytety muszą wspierać jedynie słuszne ideolo. By dostąpić wyróżnienia, nie wystarczy więc być wybitnym artystą, trzeba jeszcze być „po linii”. Najlepszym tego przykładem jest degeneracja literackiego Nobla, którego nie mogli dostać „prawicowi” Borges czy Herbert, ale honorowano nim z parytetu płci i rasy miernoty, a za zasługi w krzewieniu ideologii nawet zwykłych grafomanów, jak Fo czy Jelinek.

Szczerze cieszy mnie zwłaszcza Booker dla Tokarczuk. Byłem jednym z pierwszych recenzentów, który zachwycił się jej powieścią „E.E” i wieszczył pisarce wielką przyszłość. A co teraz zrobi z tą nagrodą: czy razem z nią stanie się „mieśm armatnim” w antypisowskiej wojnie, czy nie, to jej sprawa. Polskiej literaturze, a więc i Polsce, „przybyło”, że sięgnę po stary toast carskich oficerów. ©

Świątek artystyczny kontrolowany jest przez „dzieci Marksa i Coca-Coli”

gdyby lewicowo-liberalne salony nie uznały, że okażą w ten sposób wsparcie swej polskiej ekspozyturze w walce z „nacjonalistyczno-katolickim reżimem”.

To zresztą w sumie dobrze – „right or wrong, my country”, jak to mawiali kiedyś brytyjczy dżentel-



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jak zaszkodzić sprawie

W najbliższym tygodniu do Sejmu mają przywieźć grille i dmuchane baseny, bo przecież okupująca sejmowe korytarze grupa osób na czele z Iwoną Hartwich ma prawo do komfortu. Żart? Niekoniecznie. Liderka protestu udowodniła już, historyczną awanturą uniemożliwiając Straży Marszałkowskiej zdjęcie ze ścian pobazgranych pocztówek, że dzięki krzykliwej presji może w Sejmie czuć się panią na włościach. Pomaga jej w tym okresowe wzmoczenie emocjonalne części dziennikarzy. Gwarantuję, że zapomną o problemach niepełnosprawnych, gdy Hartwich i jej

grupa przestaną być użytecznym narzędziem do walenia w rząd.

Krytykowanie protestujących w Sejmie rodziców dzieci niepełnosprawnych z moralnego punktu widzenia nie jest łatwe, wszak nie jest tajemnicą, że sytuacja ekonomiczna takich rodzin jest trudna, a pomoc państwa bywa niewystarczająca.

Sęk w tym, że – primo – parlament nie może być miejscem, w którym dopuszcza się do blokad utrudniających jego funkcjonowanie. Secundo – coraz większe upolitycznienie akcji pani Hartwich i jej towarzyszek: wizyta Wałęsy, polityczne wezwania, transparen-

ty, wiarygodności protestowi nie dodają.

Co gorsza, kolejne groteskowe awantury, do których w Sejmie z udziałem liderki protestu (którą trudno jednak uznać za reprezentantkę szerokiego środowiska opiekunów niepełnosprawnych) dochodzi niemal codziennie, teatralnie absurdalne roszczenia powodują nie tylko usztywnianie się rządzących, lecz także wzrost niechęci części społeczeństwa, które do problemów osób dotkniętych ułomnością podchodzi z dużą empatią. I to jest ten moment, w którym te środowiska powinny powiedzieć pani Hartwich i spółce – stop. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czy akwizytor przejmie się RODO?

RODO to fenomen. Każdy, kto ma do czynienia z jakąkolwiek formą komunikacji elektronicznej, jest od kilkunastu dni bombardowany dziesiątkami, a może nawet setkami e-maili w tej sprawie, a i tak nikt poza specjalistami nie wie, o co chodzi. Paradoks Rozporządzenia o Ochronie Danych Osobowych

wynikające dopiero zaczynają wychodzić na jaw.

Firmy, które w ostatniej chwili zrozumiały, co się dzieje, na gwałt szukały inspektorów ochrony danych, ale tych brakuje. Wspólnoty mieszkaniowe muszą ze swoimi zarządcami podpisywać absurdalne umowy wynikające specjalnie z RODO.

Tymczasem dla przeciętnego obywatela ważne jest, czy wreszcie przestaną go nękać telefonami akwizytorzy, zapewniający, że nasz numer telefonu został wylosowany przez komputer. Stawiam, że tu nic się nie zmieni. Z drugiej strony nie zmienia się idiotyczne, wymuszone ustawodawstwem praktyki paranoicznej anonimizacji danych, zmuszające nawet w przedszkolach podpisywać wywieszane na tablicy prace plastyczne tak, jakby chodziło o podejrzanych w procesach karnych: „Janek G.”, „Stasio K.”, „Kasia W.”.

RODO nie zmienia też nic w dostępie służb do naszych danych – bo ich nie dotyczy. A tu akurat, poczynając od 2015 r., w Polsce dokonał się potężny regres w dziedzinie prywatności. Ostatnio prawo dostępu do danych wrażliwych uzyskała straż marszałkowska w nowym wydaniu.

Wszystko to przywodzi na myśl jedno z najmądrzejszych przysłów: dobrymi chęciami (a takie mieli zapewne twórcy RODO) piekło jest wybrukowane. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wesoło w Sojuszu

Nic bardziej nie ożywia polityków niż okres przedwyborczy. Wychodzą wtedy z programowej hibernacji, licytują się na argumenty, prześcigają w propozycjach. Albo robią to, co Sojusz Lewicy Demokratycznej do spółki z Platformą „SLD dziś ws. Woronicha 17 zachowała się jak przystawka PIS na telefon. Opozycja nie wzięła udziału w programie, SLD stanął tam, gdzie PIS i...” – tutaj na chwilę przerywam cytata z Marcina Kierwińskiego, bo jednak udało mu się stworzyć obełgę, której do tej pory na Twitterze nie widziałem „... KuPIS. Smutne” – zakończył erudycyjnie.

„Marcin, od dwóch lat jesteście co niedziela w programie Rachonia. Stajecie tam, gdzie PIS co tydzień. Mam nadzieję, że będziesz konsekwentny i już więcej nie pójdziesz do TVP. Ale pójdziesz. Bo taka jest PO. Więc nie rób z siebie tego, w kogo chcesz mnie ubrać. Wesoło?” – skontrował Włodzimierz Czarzasty.

I wtedy jak rycerz na białym koniu wparował Roman Giertych. „SLD z łaski PIS promowane w TVP u Rachonia. Człowiek może wyjść z komuny, ale komuna nigdy nie wyjdzie z człowieka” – napisał, zapominając dodać, czy podobnie rzeczy się mają z Młodzieżą Wszepolską.

W ogóle w tym SLD, odkąd wyskoczyli w sondażach ponad próg wyborczy, strasznie wesoło. „Na wybory w 2019 r. powinno powstać szerokie porozumienie opozycji od wartości liberalno-lewicowych, aż po wartości nawet konserwatywne” – zacytował Katarzynę Lubnauer Michał Kolanko z „Rzeczpospolitej”.

„Lewicowo-ch...wo-nie-wiadomo-jakie” – skomentowała ów cytata Anna-Maria Żukowska. Rzeczniczka Sojuszu, gdyby ktoś miał wątpliwości, oceniając po języku. Na pytanie jednego z internautów, czy pisząc podobne rzeczy, „aby na pewno jest trzeźwa”, Żukowska odparła: „Jestem upojona koncepcją Schetyny, po prostu upojona...”

Na koniec dylematy ludzi wielkich. „Piszą do mnie Obywatele i proszą, żebyśmy przyjechali do Sejmu. Rozważam taką decyzję. Lech Wałęsa” – zatweetował były prezydent. „Dlaczego Pan podpisuje tweety?” – dopytała przytomnie Anna Skiepmo z Radia Nadzieja. „Z przyzwyczajenia” – odpowiedziała jej jedna z internautek. I chyba również z przyzwyczajenia, gdy już przyjechał, zamiast o niepełnosprawnych, mówił o sobie. ©©

O ile RODO samo w sobie nie jest niczym złym, o tyle na poziomie wdrażania zmieniło się w farsę

– unijnej regulacji – polega na tym, że o ile samo w sobie nie jest ono niczym złym, o tyle na poziomie wdrażania zmieniło się w farsę.

RODO miało uprościć sposób opisywania reguł zachowania prywatności, ale jego skutkiem jest tak gigantyczna liczba monitów i powiadomień, że nikt normalny nie ma czasu czytać kolejnych informacji. Co gorsza, RODO jest w wielu punktach niejasne, więc jedni administratorzy danych uznali, że muszą na nowo uzyskać zgodę na ich przetwarzanie, a inni ograniczyli się do informacji o zasadach przetwarzania i przechowywania. Te pierwsze listy giną wśród innych, więc jest wielka szansa, że część subskrybentów rozmaitych newsletterów od paru dni jest od nich odcięta, bo nie wyrazili nowej zgody. Problemy z tego



Pocisk, którym zestrzelono samolot w 2014 r. FOT. AFP/EAST NEWS

Katastrofa MH17: Za tragedię odpowiadają Rosjanie

Pocisk, za pomocą którego w 2014 r. zestrzelono malezyjski samolot lecący z Amsterdamu do Kuala Lumpur, pochodził z rosyjskiej jednostki wojskowej – ogłosili międzynarodowi śledczy.

W katastrofie lotu MH17 zginęło 298 osób, czyli wszyscy, którzy byli na pokładzie. Wśród zamordowanych było 193 Holendrów, 43 Malezyjczyków, 27 Australijczyków, a także obywatele Indonezji, Wielkiej Brytanii, Belgii, Niemiec i Filipin.

Zarówno pocisk, jak i system przeciwlotniczy Buk, którego użyto do jego wystrzelenia, należały do stacjonującej w Kursku rosyjskiej 53. Brygady Przeciwlotniczej. Pocisk wystrzelono z terenu wschodniej Ukrainy, który był wówczas pod kontrolą prorosyjskich rebeliantów. Zespół międzynarodowych ekspertów, m.in. z Holandii, Australii, Malezji, Belgii i Ukrainy, ustalił podczas śledztwa, że „wszystkie pojazdy w konwoju przewożącym pocisk należały do rosyjskich sił zbrojnych”.

Szef holenderskiej dyplomacji Stef Blok ogłosił w zeszłym tygodniu, że „też rząd podejmuje kolejny krok, uzna-

jąc Rosję formalnie odpowiedzialną” za tragedię z 2014 r. Również władze Australii o doprowadzenie do katastrofy samolotu obwiniają Moskwę. „Jedyny rozsądny wniosek, który możemy teraz wyciągnąć, jest taki, że Rosja była bezpośrednio zaangażowana w zestrzelenie lotu MH17” – ogłosiła szefowa dyplomacji Australii Julie Bishop. Oba rządy oskarżają Rosję o złamanie prawa międzynarodowego.

Malezja już kilka lat temu chciała powołać specjalny międzynarodowy trybunał do osądzenia podejrzanych o tę zbrodnię. Wniosek w Radzie Bezpieczeństwa ONZ zawetowała jednak Rosja, która początkowo twierdziła, że samolot trafiła rakietą wystrzelona przez ukraiński myśliwiec. Po ogłoszeniu wyników międzynarodowego śledztwa Moskwa nadal odrzuca oskarżenia o udział w zestrzeleniu samolotu i twierdzi, że żadna rosyjska wyrzutnia nie stacjonowała na terytorium Ukrainy, mimo przedstawionej przez śledczych dokumentacji fotograficznej, która jasno sugeruje, że Kreml próbuje kłamać w żywe oczy. © (jap)

RAPORT: CORAZ MNIEJ ANTYSEMICKICH ATAKÓW

W 2017 r. znacznie spadła w Polsce liczba przestępstw, których ofiarami były osoby żydowskiego pochodzenia – wynika z najnowszych danych przekazanych kancelarii premiera przez Prokuraturę Krajową. „Do Rzeczy” dotarło do tego raportu.

Polska krajem szalejącego antysemityzmu, w którym bezpieczeństwo przedstawicieli mniejszości żydowskiej jest zagrożone? Takie stwierdzenia nie zgadzają się z rzeczywistością. Przeczą im informacje, które Prokuratura Krajowa przekazała kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego. „Do Rzeczy” dotarło do tego opracowania.

Wynika z niego, że w 2017 r. w prokuraturach w całym kraju zanotowano łącznie 112 spraw dotyczących przestępstw i incydentów, których ofiarami padły osoby żydowskiego pochodzenia. To – w skali kraju – 6,5 proc. ogółu postępowań dotyczących tzw. przestępstw z nienawiści.

Raport wskazuje, że liczba antysemickich przestępstw systematycznie spada. W 2016 r. takich spraw było 160, tymczasem jeszcze rok wcześniej – w 2015 r. – prokuratura wszczęła 208 spraw dotyczących przestępstw wobec osób pochodzenia żydowskiego (13,4 proc. ogółu postępowań dotyczących przestępstw z nienawiści).

– Dane Prokuratury Krajowej tylko ilustrują to, o czym dawno wiedzieliśmy, że Polska jest bezpiecznym krajem dla Żydów, a upowszechnianie tezy o szalejącym antysemityzmie jest wygodnym dla niektórych kłamstwem – uważa minister Adam Lipiński, pełnomocnik rządu ds. społeczeństwa obywatelskiego.

Informacje, które Prokuratura Krajowa przekazała kancelarii premiera, są zbliżone do statystyk przedstawionych w opublikowanym jesienią ubiegłego roku raporcie Europejskiej Agencji ds. Praw Podstawowych dotyczącym antysemityzmu w krajach członkowskich w latach 2015–2016. Według EAdSP w 2015 r. w Polsce miało dojść do 167 antysemickich ataków, a w 2016 r. – do 101 takich incydentów. Raport EAdSP nie obejmował roku 2017.

– Dane Prokuratury Krajowej oraz instytucji unijnych potwierdzają, że Polska jest nie tylko bezpiecznym krajem dla Żydów, lecz także liczba antysemickich ataków radykalnie się zmniejsza – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Andrzej Pawluszek, sekretarz premiera Mateusza Morawieckiego. ©

Wojciech Wybranowski

Przy wszystkich swoich zaletach abp Konrad Krajewski otrzymał czerwony kapelusz jako bliski współpracownik papieski, a nie jako przedstawiciel Kościoła w Polsce

Ten papieski wybór nowych kardynałów – zdaniem wielu watykanistów – miał być wyjątkowy. Po raz pierwszy bowiem wśród nowych purpuratów miało zabraknąć przedstawicieli kurii rzymskiej. Miało, ale nie zabrakło. Aż sześciu z 14 nowych kardynałów to bowiem albo właśnie pracownicy kurii rzymskiej, albo najbliżsi współpracownicy Franciszka z Włoch. Część nominacji nie zaskakuje, trudno sobie bowiem wyobrazić, by kardynałem nie był prefekt Kongregacji Nauki Wiary czy wikariusz Rzymu, ale już nominacja dla zastępcy sekretarza stanu abp. Giovanniego Angelo Becciu nie jest wcale tak oczywista. I właśnie z tej „puli” do kolegium kardynalskiego wszedł... abp Konrad Krajewski.

Ten 55-letni, a zatem dość młody hierarcha pochodzi z Łodzi, tam skończył seminarium i rok pracował w parafii. Później rozpoczął studia w Rzymie, które ukończył z doktoratem z liturgiki, i na krótko powrócił do rodzinnej Łodzi, gdzie był ceremoniarzem metropolity, wykładowcą liturgiki, a później prefektem w seminarium. Podczas pielgrzymki św. Jana Pawła II do Polski w 1997 r. był papieskim ceremoniarzem, a rok później został pracownikiem watykańskiego Urzędu Papieskich Celebracji Liturgicznych. W 1999 r. został mianowany papieskim ceremoniarzem. Od tego momentu, choć łódzcy księża podkreślają



FOT. MASSIMILIANO MELIORATO/PAP

Jałmużnik kardynałem

związki kardynała nominata z macierzystą diecezją, ks. Krajewski był już kurialistą watykańskim, księdzem na dobre i złe związanym z Watykanem. Lubianym i cenionym przez innych, a także – co podkreślają księża studiujący w Rzymie – pielęgnującym relacje z Polakami, których zapraszał co tydzień na osobiście gotowaną kolację. – Wierzący, zaangażowany, niezmiernie lojalny – mówią o nim. A jednocześnie niezwykle rzymski, co zapewne sprawiło, że gdy za czasów Franciszka zaczyna się stopniowe czyszczenie kurii rzymskiej z Polaków, jego kariera nabiera przyspieszenia. Już bowiem w 2013 r. zostaje mianowany papieskim jałmużnikiem i wyświęcony na arcybiskupa.

– Sprzedaj swoje biurko, nie będzie ci do niczego potrzebne – miał mu powiedzieć Franciszek na samym początku posługiwania. – Nie czekaj na ubogich, aż przyjdą i zapukają do bram Watykanu, tylko idź i ich szukaj. Idź na peryferia naszego życia, czyli szukaj tam, gdzie oni są. Bo tam oni są. Nie wystarczy, że im kupisz jedzenie, ty z nimi zjedz to jedzenie. [...] A wtedy będziesz wiedział, czego potrzebują. Na początku będzie to bardzo trudne, a potem zauważysz, że jesteś na najważniejszych stronach Ewangelii – mówił do niego wtedy papież. – Twoje konto musi być puste, bo pieniądze są po to, żeby służyły. Jeśli ci przyjdzie do głowy, żeby z euro przelać na dolary, bo dzisiaj

wysoko stoją, to poproś, żebym cię przeniósł do stanu świeckiego, i ja to podpiszę tego samego dnia i będziesz bankierem, a nie księdzem – mówił Franciszek do Krajewskiego. Inne rady dotyczyły tego, by arcybiskup zamieszkał poza Watykanem, tak by ubodzy mieli do niego dostęp. I tak się rzeczywiście stało. Arcybiskup Krajewski stał się symbolem, będącego znakiem rozpoznawczym pontyfikatu Franciszka, otwarcia na ubogich. Wydaje im posiłki, przekazuje pieniądze, a w pewnym momencie nawet ofiarował swoje mieszkanie na rzecz uchodźców. Jednym słowem – działa tak, jak tego naucza obecny papież. I w ten sposób staje się wzorem kapłana w czasach pontyfikatu Franciszka. I zapewne to właśnie ten element był rozstrzygającym przy tej nominacji. Arcybiskup Krajewski został więc kardynałem jako arcybiskup z ducha i litery Franciszkwowy, a nie jako przede wszystkim Polak. On sam często, w prywatnych rozmowach, powtarza zresztą, że polski Kościół nie rozumie Franciszka.

Nie, nie twierdzę, że wynikać ma to z tego, iż nie jest to dla Kościoła w Polsce powód do radości. Każdy kardynał z Polski jest dla nas ważny, szczególnie gdy toczy się fundamentalna debata na temat decentralizacji czy synodalizacji Kościoła, a także stopniowej liberalizacji pewnych zapisów. Arcybiskup Krajewski, choć niewątpliwie jest symbolem postawy wobec ubogich papieża Franciszka, nie jest znany jako zwolennik innych inspirowanych przez niemieckich hierarchów nowinek, które przypisuje się obecnemu papieżowi. I z tej perspektywy jego obecność w Kolegium jest istotna. Szczególnie że – jak twierdzą niektórzy watykańscy – w pewnym momencie może się on stać nawet papabile. ©

Tomasz P. Terlikowski

A NIE WYSTARCZY WYGLĄDAĆ?

Celebrytka Edyta Herbuś miała szansę wrócić do pierwszej showbiznesowej ligi za sprawą nowego show tanecznego, które przygotowuje Polsat. W nowym show Herbuś była szykowana na jurorkę, miała być polskim odpowiednikiem Jennifer Lopez, która bierze udział w oryginalnym programie. Niestety, Herbuś nie zostanie polską Lopez, bo okazało się, że kiepsko wypada przed kamerą. – Była po prostu nudna. Ten taneczny show ma być spektakularny i oni potrzebują osób, które nie tylko znają się na tańcu, lecz także przede wszystkim mają błyskotliwe opinie. Edyta nie pokazała nic ciekawego poza tym, że się ładnie uśmiechała. Producenci zadzwonili właśnie do niej i jej podziękowali – mówi informator „Faktu”. Podobne newsy podaje także Pudelek. Rozważane są różne opcje, być może z głównego jury wyładowuje jako „gościenny” ekspert. Po prostu nie dźwiga ciężaru programu, nie wypowiada się odpowiednio, wypada nieprofesjonalnie i mało ekspercko – mówi źródło portalu. – Na castingach i próbach nie wypada najlepiej. Jest śliczna i miła, ale erudycja nie jest jej mocną stroną – dodaje. Biedna Edyta! Nikt jej nie uprzedził, że celebrytki mają być błyskotliwe. Taki cios!

KOSMICZNA KARIERA

Aktorka i celebrytka Julia Wieniawa, choć ma zaledwie 19 lat, to staje się powoli jedną z najbardziej pożądanych przez reklamodawców gwiazd. Julia nie może się ponoć opędzić od ofert. Rocznie zarabia na reklamach około miliona złotych! Przynajmniej tak twierdzą plotkarskie



FOT. RADOSŁAW NAWROCI/FORM

www.dobryci.pl



FOT. PAMEŁ CROMBIA

tytuły. Julia jest ambasadorką farby do włosów, reklamuje smartfony, kostiumy kąpielowe, lakiery do paznokci. Widać wciąż jej mało, bo oto Wieniawa, jak donoszą kolorowe media, ma teraz zostać twarzą butów. To znaczy firmy obuwniczej. Za dwa sezony ma zainkasować aż 400 tys. zł! – Jest bardzo twarda w negocjacjach, na które przychodzi z mamą. Stawki, od jakich zaczyna rozmowy, szczególnie w porównaniu z bardziej doświadczonymi gwiazdami, to istny kosmos – czytamy na jednym z portali. To, że ona żąda, jakoś nas nie rusza. Jednak że są firmy, które się zgadzają, by tyle jej płacić? To dopiero kosmos!

GOTOWA, DO BIEGU, START!

Aktorka i tancerka Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu”, postanowiła się ustatkować. Miesiąc temu ogłosiła, że jest zaręczona i wraz ze swoim narzeczoną planuje ślub. Teraz postanowiła zdradzić swoje kolejne plany. Oczywiście w wydzie telewizyjnym. Wyznała, że jest gotowa na dzieci. – Nie mówię „nie” wspólnemu dziecku. Ja jestem gotowa na dzieci. Kiedyś wymarzyłam sobie i zaplanowałam, że do 30. roku życia będę miała co najmniej jedno. Łatka leć. On wie, że jestem gotowa – zdradziła Agnieszka. Pytanie: Czy on też jest gotowy? Na planowanie potomstwa w telewizji?

DŻOANA I NATURALNE POCZĘCIE

Może narzeczonemu Bożenki z „Klanu” będzie łatwiej, gdy zobaczy, że nie jest sam z tym publicznym planowaniem potomstwa. O planach powiększenia rodziny postanowiła mediom opowiedzieć także Dżoana Krupa. Z byłym mężem przez lata nie potrafiła zdecydować się na dziecko, teraz z nowym partnerem Krupa nie chce już czekać. Nierozwiązana była kwestia zapłodnienia. Pamiętamy, jak jakiś czas temu Krupa w asyście fotoreporterów udała się do kliniki, by pobrać do zamrożenia swoje komórki jajowe. Tak na wypadek, gdyby zdecydowała się na dziecko w wieku, w którym nie mogłaby już go naturalnie poczęć. Skoro zatem Krupa chce mieć dziecko teraz, a jej komórki jajowe czekają w zamrażarce, to kwestia zapłodnienia stała się kluczowa. Dlatego Dżoana postanowiła publicznie się w tej sprawie wypowiedzieć. – Po konsultacji z lekarzem zdecydowaliśmy się na metodę naturalną – poinformowała świat Dżoana Krupa. Dodała też, że jej partner marzy o córce. – Uważa, że byłoby cudownie, gdyby była do mnie podobna – mówi. Oby tylko z urody. Bo dwóch takich Dżoan świat mógłby nie udźwignąć. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jaka siara, brytyjski parlament miał zająć się polską ustawą o IPN, na mocy której – przypomnijmy – przewiduje się karę śmierci dla każdego, kto podważa istnienie polskich obozów zagłady.

Swoją drogą nasz supervisor Fabian był ostatnio w Berlinie na weekendowej hipsterskiej imprezie, gdzie poznał kilku architektów i lekarzy z Somalii, pochodzących z rodu Hawija, i podobno ostatnio na walnym zgromadzeniu rodu jeden z seniorów wstał i powiedział, że zanim zacznie się właściwa część obrad, to on by chciał uczcić minutą ciszy ofiary polskiej ustawy o IPN.

Jak się pewnie domyślicie, Fabian miał zepsuty cały weekend, chociaż z drugiej strony odczuwany wstyd sprawił mu niemałą satysfakcję.



Jest nam smutno, iż zakończył się sezon Ekstraklasy, czyli najbardziej postępowej, bo egalitarnej ligi piłkarskiej w Europie. Przynajmniej to jedno w tym kraju się udało. Of kors macie prawo tego nie wiedzieć, iż nie interesujecie się sportem. Jakby co, to my też nie – dla nas istotny jest jedynie jego wymiar socjologiczny.

A tymczasem w tzw. Ekstraklasie nikt chyba w tym roku nie chciał być mistrzem, iż wszystkie drużyny, którym groził ten tytuł, co chwilę przegrywały swoje mecze. W końcu tytuł trafił do Warszawy, chociaż tamtejsza Legia przegrała w sezonie aż 11 razy, co na mistrza tego kraju jest wynikiem dobrym – świadczącym o empatii i braku mentalności „zwycięzcy za wszelką cenę”.

Mamy również pewną propozycję na przyszły sezon – idealnie, gdyby wszystkie mecze każdego z każdym zakończyły się remisami, dzięki czemu mistrzem będą wszyscy, albo – w lepszej wersji – nikt. Dzięki temu pozbędziemy się tego maskulinistycznego pierwiastka supremacji, który nieuchronnie prowadzi do fashysmu i rasizmu.

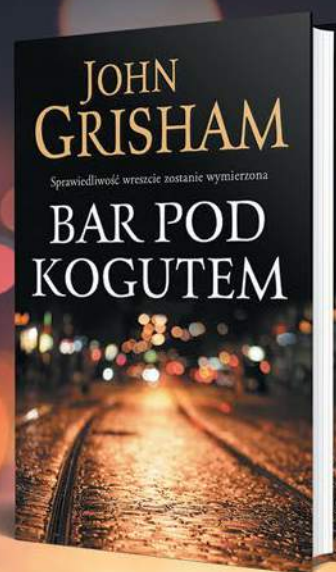
Tak pozostając w tematyce piłkarskiej, chcieliśmy ogłosić, iż bojkotujemy mistrzostwa świata w Rosji i postanowiliśmy w nich nie uczestniczyć.

Nasz bojkot obejmuje odmowę udziału w przedmundialowym zgrupowaniu, występów na rosyjskich boiskach i śpiewania hymnu tego kraju, iż się z nim nie możemy zgodzić.

Tak w ogóle to niby można się dziwić, iż reprezentacja tego kraju tam wystąpi, ale pamiętajmy, iż w końcu rząd wypycha nas w objęcia pana Putina. Mamy zatem do czynienia z naturalną konsekwencją.

No i przecież tytuł „mistrza świata” jest skrajnie nieobiektywny i dyskryminujący, gdyż zakłada dominację i zwycięstwo jednej drużyny nad wszystkimi innymi – a to przecież już nic innego jak tylko fashysm. ©©

NAJSPRYTNIEJSI PRAWNICY W MIEŚCIE NAWET NIE SKOŃCZYLI STUDIÓW



Zola, Mark i Todd zgodnie docho-
dzą do wniosku, że opinia o nie-
ograniczonych możliwościach ka-
riery prawniczej to mit. Czeką ich
spłacanie kredytów studenckich,
dyplom ich uczelni ma niewielką
wartość, a w Waszyngtonie roi się
od młodych prawników szukają-
cych pracy. Potrzebują jakiegoś
rozwiązania. I je znajdują.

Rzucają studia i pod fikcyjnymi
nazwiskami zakładają kancelarię.



Wydawnictwo Albatros

Zapraszamy do salonów
empik i na **empik.com**

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Wykrywać resztek polskości przed wejściem na europejskie salony...



cezary krzysztof blogpublika.com

Trudno być prorokiem we własnym kraju. A przecież mówiliśmy już tydzień temu, że zbliża się rekonstrukcja rekonstrukturyzacji rządu. No i proszę – dziś już wszyscy mówią, że się zbliża. Trochę jednak mieszają motywy. Rekonstrukcja nadchodzi, bo Kaczor Dyktator zaczął już rozprowadzanie wyborów do europarlamentu.

Dla nieorientowanych – wybory do europarlamentu są trudne, bo frekwencja mała, a najlepiej wypadają bardzo znane nazwiska. W związku z tym Szydło Beata, Jurgiel Krzysztof, Zalewska Anna, Kwieciński Jerzy, Kamiński Mariusz, Tchórzewski Krzysztof i inni będą jedynkami w tych wyborach. Oczywiście nie znaczy to, że wszyscy zostaną najpierw zdymisjonowani. Tylko niektórzy.

Wśród kandydatów do europarlamentu są zarówno ci, którzy chcą średnio, jak i ci, którzy chcą bardzo. Najbardziej zainteresowany jest Kwieciński Jerzy, obecnie minister inwestycji i rozwoju. Specjalnie nas to nie dziwi. Też lubimy się rozwijać.

Kwiecińskiemu warto się przyglądać, bo ma ambicje dużo większe niż funkcja zwykłego europośla. Bardzo chciałby zostać jakimś unijnym komisarzem w następnym rozdaniu. Komisarzem chciałby zostać też Adam Bielan, ale skrzętnie ukrywa te zamiary. Nie jest natomiast prawdą, że komisarzem chciałby zostać Ziobro.

Apropos Brukseli. Opublikowano najnowszy Eurobarometr. Bardzo ciekawe badania. I takie słodko schizofreniczne. Jedna część wygląda, jakby była robiona przez IBRiS, bo mówi o gigantycznym entuzjazmie Polaków wobec Unii. Druga wygląda jak dzieło CBOS, bo wynika z niej, że Polacy jeszcze nigdy tak wysoko nie oceniali stanu demokracji w Polsce. Najciekawsza część to ta, z której wynika, że w wyborach do europarlamentu odbędzie się rzeź europejskich elit. Ta więc wygląda, jakby ośobiście zlecił ją Kaczor Dyktator.

My w te ostatnie prognozy akurat wierzymy, bo potwierdza je ważny omen. Otóż kiedy Frans Timmer-

mans gościł ostatnio na tzw. dialogu obywatelskim z Polakami i Niemcami we Frankfurcie nad Odrą, spotkał się przy okazji z dziennikarzami. Mówił to co zwykle. Nie słowa zatem były tu ważne, ale fakt, że gdy skończył mówić, ścianka, na tle której występował i która zachwalała europejski dialog, została przewrócona przez wiatr. Nie był to huragan ani nawet zefirek. Ot, lekkie tchnienie wiatru. Wiatru historii, rzecz jasna.

Apropos Kaczora Dyktatora. Z powodu operacji kolana nie pojawił się na dorocznym spotkaniu organizowanym przez PZU. Zamiast tego przysłał premiera Mateusza, słynnego syna sławnego ojca. Dało to oczywiście asumpt do szeptanki w kuluarach – delfin, delfin, delfin przybył. Politykę obserwujemy od ponad ćwierć wieku. Widzieliśmy niejednego delfina. Wszystkich łączy jedno – dziś wszyscy razem mieszczą się w jednym małym akwarium.

Jeszcze o sprawach międzynarodowych. Dobry Donald z Waszyngtonu odwołał spotkanie ze złym Kimem z Korei Północnej. W związku z tym możemy już zdradzić, jak to było z plotkami, że jako miejsce spotkania rozważano Warszawę. Otóż nie były to plotki, lecz najprawdziwsza prawda. Dobry Donald z Waszyngtonu dopytywał kanałami dyplomatycznymi o możliwość zorganizowania spotkania w północnokoreańskiej ambasadzie w Warszawie albo w polskiej ambasadzie w Pjongjangu. W sumie dobrze, że się nie zdecydował, bo teraz Eine Totalopposition by mówiła, że odwołał spotkanie, bo PiS niszczy demokrację.

Najnowsze wieści z frontu walki o referendum konstytucyjne. Dobra Zmiana jest smutna, że prezydent Andrzej Sebastian nie chciał połączenia referendum i wyborów samorządowych. Dobra Zmiana miała już gotowy projekt sprytniej ustawy, która załatwiała takie połączenie od strony prawnej bez mnożenia komisji i lokali. Dobrej Zmianie jest przykro, ale na dwudniowe wybory samorządowe się nie zgadza.

Apropos wyborów samorządowych. Wiewiórki mówią, że klamka zapadła i że będą 21 października. Znaczą pierwsza tura. Druga – 4 listopada. Gdyby zgodzić się z Andrzejem Sebastianem i zrobić referendum w dniach 10–11 listopada, mielibyśmy taki jesienny trójskok do urny. Z krótką przerwą na Wszystkich Świętych.

Tak czy inaczej, negocjacje trwają. W najbliższych dniach odbędzie się więc spotkanie prezydenta Andrzeja Sebastiana oraz marszałka Stanisława Karczewskiego. Nie musimy czekać na spotkanie, żeby przygotować specjalny komunikat: „Rozmowy przebiegały w dobrej atmosferze”. To w języku polityki oznacza... Niestety, nie możemy napisać, bo wulgaryzmy wycina nam redakcyjna cenzura.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g



Zżycia CBA. Łatwo zostać ofiarą. Nie, nie Biura, lecz ofiarą nowocześnieści. A było tak: funkcjonariusze wieźli do prokuratury w Białymstoku gości związanych z mafią lekową. Do pomocy włączyli sobie

GPS. Jakież było ich zdziwienie, gdy GPS doprowadził ich, owszem, ale do hotelu. No i jakież było zdziwienie recepcjonistów, kiedy zobaczyły wchodzących do hotelu agentów w kominiarkach, prowadzących gromadkę skutych ludzi. Na szczęście na personel białostockich hoteli można liczyć. Wy tłumaczył uprzejmie panom z CBA, że prokuratura znajduje się po drugiej stronie ulicy.

Nie był to koniec zdziwień w Białymstoku. Wszystko dlatego, że choć przeważa jest na gigantyczne sumy, prokurator kazał wszystkim puścić wolno. Biedacek pewnie nie wie, że minister Ziobro nie przepada za takimi rozwiązaniami. Niedawno z takiego samego powodu odwołał pewną panią prokurator, która nie wniosła o przedłużenie aresztu osobnika z pewnej innej mafii. Zatem ciąg dalszy nastąpi. Zarówno w prokuraturze, jak i w dziejach mafii lekowej.

Przy okazji dwa słowa o żargonie służby i prokuratury. Zatrzymanych określa się w nim terminem „jeńcy”. Wolimy nie dopytywać, jak określa się prokuratorów puszczających jeńców wolno.

Wiewórki mówią, że Aśka Schmidt jednak wystartuje w Poznaniu na prezydenta.

A jej emigracyjny towarzysz Rysiek Petru – we Wrocławiu

Barwy kampanii samorządowej. Wiewórki mówią, że Aśka Schmidt jednak wystartuje w Poznaniu na prezydenta, a jej emigracyjny towarzysz Rysiek Petru – we Wrocławiu. Nie chodzi o to, by wygrać, lecz żeby nabić sobie trochę popularki, to znaczy sprawić, żeby ludzie o nich nie zapomnieli. Trudne zadanie. Bo ludzie naprawdę chcieliby zapomnieć.

Chcielibyśmy pojedynku Ujazdowski – Petru we Wrocławiu, przynajmniej bez bicia. Wyobraźcie sobie tę debatę. Charyzmatyczny konserwatysta kontra nieomylny erudyta. Tylko jedna rzecz na świecie mogłaby być od tego lepsza: debata Legutko – Scheuring-Wielgus o Platonie.

Słupskie wiewórki mówią też, że Bobby Biedroń ma już ugadany deal ze swoją zastępczynią Krystyną Danilecką-Wojewódzką – on wygrywa jej wybory na prezydenta Słupska, ona potem bierze miasto, kiedy Bobby myknie w 2019 r. do europarlamentu. Wyrazy współczucia. Dla Słupska i dla europarlamentu.

Bobby Biedroń odwiedził poznański festiwal fantastyki Pyrkon i podpisywał tam swoje książki. Zawsze wiedzieliśmy, że „Tęczowy elementarz, czyli (Prawie) wszystko, co chcielibyście wiedzieć o gejach i lesbijkach” to czysta fantastyka.

Tymczasem pół Warszawy spekuluje, kto pociąga za sznurki w „Uchu Prezesa”, bo wprowadzony na scenę Jaki Patryk prezentuje się w tym szyderczym szoł w bardzo jasnych barwach. Samego Patryka bardziej martwi to, że aktor do niego niepodobny. Odpowiadamy: ależ podobny, podobny, tyle że do wychudzonego Kierwińskiego. ©

REKLAMA



PiW Państwowy Instytut Wydawniczy

Wbrew częstemu przekonaniu kres XX wieku nie oznacza kresu komunizmu i nazizmu. Książka Tismăneanu to antidotum na kolejne eksperymenty z utopijnym radykalizmem i inżynierią społeczną.

Zapraszamy do księgarni www.piw.pl

Polecamy również: Mircea Eliade SACRUM MIT HISTORIA

Wiesław Juszczak FRAGMENTY szkice z teorii i filozofii sztuki

Vladimir TISMĂNEANU
diabeł w historii
komunizm, faszyzm
i inne lekcje wieku dwudziestego
seria Biblioteka Myśli Współczesnej

Współautorzy i artyści: Gusp DEBORG, W. J. J. J., Marian GOŁOWSKI, KORAB-KARPOWICZ, LOBIN, Mircea ELI.

piersze polskie wydanie



Wojciech Wybranowski

Śledczy mają informacje o transakcjach finansowych z kilkunastu rachunków bankowych oraz szczegółową analizę połączeń telefonicznych. Czy będzie przełom w postępowaniu dotyczącym byłego prezydenta i jego małżonki?

Śledztwo katowickiej prokuratury regionalnej w sprawie „uchylania się osób zobowiązanych do zapłaty podatku oraz podejmowania wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami działań mogących utrudnić stwierdzenie przestępczego pochodzenia środków płatniczych”, potocznie nazwane sprawą „willi Kwaśniewskich”, będzie przedłużone o kolejne pół roku. O postępach w nim i działaniach śledczych informowało „Do Rzeczy” w połowie marca w tekście pt. „Śledczy na tropie Kwaśniewskich”. Kilkanaście dni po naszej publikacji Kwaśniewski w mediach zaczął się skarżyć na prześladowania i inwigilację. – W moim przekonaniu sprawa ma charakter wyłącznie polityczny. Celem jest gonienie mnie, dyskredytowanie i aby coś wisiało nad Kwaśniewskim – mówił były prezydent w rozmowie z portalem Onet.pl. Przekonywał też, że jest rozpracowywany i inwigilowany. – Wie pan, ja w tych moich wypowiedziach muszę być ostrożny, bo nie chcę dawać amunicji moim przeciwnikom czy prokuraturze. Poza tym wiem doskonale również, że wobec mnie mogą być stosowane techniki operacyjne i z dużym prawdopodobieństwem muszę przyjąć, i pan także, że jak ze sobą rozmawiamy, to jesteśmy podsłuchiwani – opowiadał dziennikarzowi.

Wiele jednak wskazuje na to, że to linia obrony szykowana przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Jak bowiem wynika z ustaleń „Do Rzeczy”, w prowadzonym śledztwie wokół niego i jego małżonki Jolanty zaczyna się robić gorąco. Postępowanie – na razie prowadzone w sprawie, nikomu nie przedstawiono zarzutów – koncentruje się wokół nich oraz grupy 10–11 osób od lat z nimi blisko związanych bądź współpracujących. To

Rachunki pogrążą Kwaśniewskich?

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/REUTERS



■ właśnie wykonywane przez nich transakcje bankowe, wpłaty i wypłaty oraz wzajemne rozliczenia finansowe znalazły się obecnie w centrum zainteresowania śledczych.

DWIEŚCIE STRON O POŁĄCZENIACH

– W ramach śledztwa przesłuchaliśmy już kilkunastu świadków, opracowaliśmy też, na potrzeby śledztwa, analizę połączeń telefonicznych. Dokument liczy dwieście stron i uwzględnia rozmowy wykonywane z kilkudziesięciu numerów telefonów, również telefonów komórkowych. W tym zakresie CBA wykonało dobrą robotę – mówi nam prok. Waldemar Łubniewski z Prokuratury Regionalnej w Katowicach. Zastrzega też, że o ustaleniach wynikających z tego opracowania na tym etapie nie może rozmawiać.

Jednak informatorzy „Do Rzeczy” związani ze śledztwem mówią, że kolejne materiały, które teraz zostaną poddane szczegółowej analizie, w coraz większym stopniu mogą uprawdopodobniać podejrzenia, iż Kwaśniewscy mogli ukrywać przed instytucjami podatkowymi majątek – luksusową willę w Kazimierzu Dolnym, a pomagać im w tym mogło kilka osób, m.in. Marek M., były prezes Budimexu, który formalnie występował jako właściciel wspomnianej nieruchomości, oraz Maria J., opiekująca się willą. – Merytoryczna ocena danych będzie należeć do prokuratora po zgromadzeniu całego materiału dowodowego, ale według mojej wiedzy analiza połączeń billingowych jest dość jednoznaczna i wskazuje, że chodziło o zatajenie posiadanego majątku – mówi nam osoba z kręgów śledztwa w sprawie „willi Kwaśniewskich”.

Czym jest analiza połączeń telefonicznych przygotowana przez CBA? Najprościej mówiąc, to z jednej strony zestawienie „krzyżowe” połączeń wykorzystujące matematyczne algorytmy pozwalające stwierdzić, kto do kogo i w jakim terminie dzwonił, z kim rozmawiał w okresie poprzedzającym interesujące prokuraturę zdarzenia. Uwzględnia także rodzaje połączeń, a także to, kiedy dana osoba objęta śledztwem zaczęła korzystać z danego numeru, czy był on zmieniany, w jakich okolicznościach się łączył i czy dany kontakt telefoniczny nie inicjował spotkań osób pozostających w zainteresowaniu prokuratury. Opisowi towarzyszy także graficzna sieć połączeń



podmiotów wskazująca częstotliwość kontaktów danych osób.

– Gdy ma się coś zadziać w danej sprawie, wówczas zazwyczaj częstotliwość kontaktów jest większa. Jednak wychytujemy także anomalie, np. sytuację, gdy podmioty regularnie kontaktujące się ze sobą na kilka tygodni przed danym zdarzeniem przestają relacje utrzymywać – mówi nam jeden z funkcjonariuszy CBA.

Nasi informatorzy związani ze śledztwem mówią, że analiza połączeń potwierdziła bardzo częste kontakty Jolanty Kwaśniewskiej z rencistką Marią J., a także następujące po tym kontakty Marii J. z Markiem M. występującym jako formalny właściciel domu.

To z punktu widzenia śledztwa ważne. Dlaczego? Ponieważ w polskim wymiarze sprawiedliwości i organach ścigania analiza połączeń telefonicznych uważana jest za bardzo wiarygodne zestawienie, zwłaszcza jeśli jest ona potwierdzona także innymi danymi wskazującymi na widoczne „połączenia” osób występujących w śledztwie. A katowicka prokuratura niezbędne do takiej weryfikacji dane już kompletuje.

TRANSAKcje I POŁĄCZENIA

Chodzi o informacje bankowe dotyczące transakcji na kontach bankowych z ostatnich kilkunastu lat. W marcu

w „Do Rzeczy” informowaliśmy, że śledczy mają problem z pozyskaniem takich danych od banków. Teraz wpływają one do prokuratury.

– Dysponujemy już znaczną częścią danych dotyczących transakcji bankowych realizowanych na kontach osób pozostających w kręgu naszego zainteresowania, wystąpiliśmy o kolejne, i te do nas spływają. W miarę, jak będą docierać do śledczych, będą poddawane stosownej analizie – mówi nam prok. Waldemar Łubniewski. Dodaje, że śledczych interesują przelewy bankowe prowadzone łącznie na ok. 20 kontach bankowych. Według naszych informatorów część z tych kont była rzadko aktywna, transakcje na nich były wykonywane sporadycznie.

Co szczególnie interesuje śledczych? Między innymi to, czy dochodziło do przelewów między Jolantą Kwaśniewską a Marią J. i jej synem Janem J., a także Markiem M., oraz czy na konta tych osób mogły trafiać pieniądze z kont osób związanych z kierowaną przez Kwaśniewską fundacją Porozumienie bez Barier. Z materiałów operacyjnych CBA zebranych w trakcie operacji o kryptonimie Krystyna wynika bowiem, że Maria J. miała wielokrotnie kontaktować się z Kwaśniewską właśnie w sprawie rozliczeń finansowych dotyczących willi



FOT. ALEK MARKOWICZ/NEWSWEEK/FORUM

śledczy – wpłacał niezbędne pieniądze na konto mamy i informował ją: „Paniusia zapłaciła”.

– Interesujące z punktu widzenia śledztwa będzie np. ustalenie, czy w okresie poprzedzającym wpływ gotówki na konto Marii J., a także dokonanie przez nią opłat za rachunki, taka kwota nie została wypłacona z kont Kwaśniewskiej, kierowanej przez nią fundacji lub innych osób objętych śledztwem – mówi jeden z naszych informatorów.

Interesujące dla śledczych mogą być także transakcje bankowe z przełomu lat 2005 i 2006. Chodzi o sprawę, którą w 2007 r. badał Urząd Kontroli Skarbowej w Lublinie. Do 2005 r. formalnie właścicielką willi w Kazimierzu Dolnym była właśnie Maria J., przyjaciółka Kwaśniewskiej, rencistka w zeznaniach podatkowych wykazująca roczny przychód w wysokości ok. 10 tys. zł. Pod koniec 2005 r. na konto Marii J. wpłynęła kwota 830 tys. dol. Kiedy skarbowka zainteresowała się sprawą, Maria J. tłumaczyła się, że w 2005 r. sprzedała dom Markowi M. Tyle że w trakcie śledztwa ustalono, iż formalnie umowę sprzedaży z nim zawarła dopiero w 2007 r. – po tym, gdy UKS wszczął już kontrolę. Udało się także dotrzeć do pisma, w którym kobieta instruowała go, co ma zeznawać w sprawie zakupu domu. Ustalono też, że w czasie, kiedy Marek M. rzekomo miał wręczyć Marii J. gotówkę za zakupiony dom, nie było go w Polsce. Co więcej – w 2005 r. nie miał żadnych kontaktów z Marią J., więc mało prawdopodobne było, by kupił od niej dom. Za to bardzo częste kontakty w tym okresie z Marią J. mieli właśnie Kwaśniewscy, którzy często bywali w Kazimierzu. Były prezydent i jego małżonka przyjaźnili się także z Markiem M. CBA postawiło tezę, że M. odegrał w tej sprawie rolę słupa – udając właściciela, gdy w rzeczywistości właścicielami mieli być Kwaśniewscy.

Z informacji, do których dotarł tygodnik „Do Rzeczy”, wynika, że katowicki śledczy – jeżeli uda im się zdobyć wszystkie informacje o transakcjach bankowych – zlecał przygotowanie analizy kryminalnej. W jej ramach dane z przygotowanej przez CBA „analizy połączeń telefonicznych” zostaną „nałożone” na informacje o transakcjach na kontach bankowych. Śledczy chcą w ten sposób pozyskać informacje, czy w czasie, gdy dokonywano transakcji dotyczących zakupu, sprzedaży i opieki nad nieruchomością

mi, towarzyszyły telefoniczne kontakty Kwaśniewskich i ich współpracowników z Marią J. lub Markiem M. Po jej przygotowaniu analitycy zarekomendują prokuraturze, jakie kolejne działania w tej sprawie powinny zostać ewentualnie podjęte.

UMORZONE ŚLEDZTWO

Pierwsze śledztwo w sprawie tzw. willi Kwaśniewskich wszczęto w 2007 r. po tym, jak w marcu 2006 r. „Dziennik” ujawnił stenogram nagrania z rozmowy, którą pół roku wcześniej odbył prezes Bartimpexu Aleksander Gudźowaty z byłym premierem Józefem Oleksym. W pewnym momencie obaj rozmawiali o dość luksusowym życiu, które Aleksander Kwaśniewski i jego małżonka prowadzą po wyprowadzce z Pałacu Prezydenckiego. Były premier powiedział, że Kwaśniewski ma majątek, którego źródło pochodzenia nie byłby w stanie udowodnić, i ironicznie nazywa go „małym kanciarzem”. Sugerował też, że Kwaśniewscy kupili dom w Kazimierzu na podstawioną osobę.

„Kupili przecież w Kazimierzu całe wzgórze od Jaska Wołka. To jest ten artysta. Byłem tam. Piękne. Też nie wiem na kogo, bo nie na siebie, ale sam Jasio wybierał, przyjaciel mojej żony. Ale ich sprawa, ja nikomu nie zazdroścę. [...] Dom w Kazimierzu – nie umiem tego wycenić, ale na pewno jest to droga sprawa. [...] Ma tego majątku trochę. Jak zderzysz jego wynagrodzenia prezydenckie, a nawet Joli dochody, no to co z tego, że ona ma 100 tys. za ten program w telewizji (TVN Style), by się wystydziła tam występować [...] Teraz on ma dołączyć jeszcze na kolejne 10 tys., ale nie uzbiera, żeby nie wiem, jak się naharował, to nie uzbiera tyle, ile potrzebuje na wylegitymizowanie tego. [...] Oluś zawsze był krętaczem i to małym krętaczem. Za co się brał, zawsze spier...” – mówił Oleksy.

W 2007 r., kiedy majątkiem Kwaśniewskich zainteresowały się służby, Oleksy zaczął wycofywać się ze swoich słów. „O majątku Aleksandra Kwaśniewskiego powtarzałem jedynie obiegowe opinie. Przykro mi, że tak to wyszło. Mogę za to jedynie przeprosić” – powiedział były premier w rozmowie z „Życiem Warszawy”. Do sprawy majątku Kwaśniewskich wrócił jeszcze raz, pół roku przed swoją śmiercią. I znów jego słowa mogły wzbudzić spore wątpliwości. „Kwaśniewski dał trochę powodów,

w Kazimierzu, co może potwierdzać, iż to rodzina Kwaśniewskich faktycznie była właścicielem luksusowej nieruchomości, decydującym o realizacji zobowiązań, zaś Maria J. odgrywała tylko rolę pośrednika.

Wśród zarejestrowanych nagrań z podsłuchów założonych przez CBA jest m.in. rozmowa Marii J. z Janem J., w których jest mowa o płatnościach z tytułu użytkowania domu, w których mówi ona, że rachunki jest musi zapłacić „koleżanka” (Kwaśniewska przyjaźniła się z Marią J.). Jest też zarejestrowana rozmowa między obiema paniami, w których Kwaśniewska instruuje przyjaciółkę: „Pamiętaj, żeby było dużo kanałów sportowych, bo Olek tak je lubi oglądać”. Wreszcie, gdy podstawiony przez CBA agent udający zainteresowanego odkupieniem willi negocjował warunki zakupu i nie zgadzał się na proponowaną kwotę 3,5 mln zł, Maria J. ponownie kontaktowała się z Kwaśniewską – zasugerowała jej, że trzeba cenę obniżyć i że „klient mówi, że 350 zł za te buty to za drogo”.

Z ustaleń CBA wynika też, że gdy trzeba było uiścić opłaty, np. za wykorzystywane media, Maria J. kontaktowała się z Kwaśniewską: informowała ją, że potrzeba pieniędzy na ten cel. Później syn Marii J. miał jechać do fundacji Porozumienie bez Barrier, a następnie udawał się na plac Bankowy, gdzie – jak twierdzą

by interesować się jego dochodami. I to w tonie sensacyjnym. Nie obwiniam go jednak ani nie liczę mu pieniędzy. Ale to ja. Z kolei inni to robią. I co więcej, mają czasem do tego prawo” – stwierdził.

Zdaniem funkcjonariuszy CBA, w latach 2007–2009 ustalenia śledztwa dowodzą, że Kwaśniewscy byli posiadaczami nieruchomości, co ukryli w zeznaniach podatkowych. – W mojej ocenie materiał zebrany przez CBA jednoznacznie wskazywał, że nieruchomości w Kazimierzu Dolnym w rzeczywistości

W lutym 2010 r. nowy szef CBA Paweł Wojtunik, mianowany na to stanowisko przez Donalda Tuska, mówił, że majątkiem Kwaśniewskich służba w ogóle nie powinna się zajmować. Jego zdaniem wystarczyłoby, gdyby wątpliwe kwestie zbadał wyłącznie fiskus. Wojtunik skierował przeciw Kamińskiemu za wiadomienie do prokuratury w sprawie rzekomego „nadużycia władzy i nielegalności działań biura pod kierownictwem Mariusza Kamińskiego”. – Moim zdaniem była to ewentualnie sprawa do kontroli

po mocnym wystąpieniu Kamińskiego na utajnionych obradach Sejmu parlament nie zgodził się na uchylenie jego immunitetu. Wśród głosujących przeciwko pociągnięciu byłego szefa CBA do odpowiedzialności karnej było m.in. siedmiu posłów Platformy Obywatelskiej. Po głosowaniach szef klubu PO Rafał Grupiński mówił dziennikarzom, że jest zbulwersowany ich reakcją, i straszył, iż Platforma może pociągnąć „krnąbrnych posłów” do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Zawodu nie ukrywał także ówczesny poseł PO Stefan Niesiołowski, który w rozmowach z dziennikarzami nazywał Kamińskiego „chwastem” i „szkodnikiem”.

Brak zgody na uchylenie Kamińskiemu immunitetu spowodował, że warszawska prokuratura musiała umorzyć śledztwo przeciw niemu. Zostało wznowione 29 sierpnia 2016 r., gdy Kamińskiego nie chronił już immunitet parlamentarny. Tym razem jednak śledczy po analizie sprawy uznali, że był szef CBA nie popełnił przestępstwa.

Jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej zarzuty w związku z prowadzonymi przez CBA działaniami dotyczącymi „willi Kwaśniewskich” usłyszał Tomasz Kaczmarek, były funkcjonariusz Biura, a później poseł, który – działając pod przykryciem jako Tomasz Małecki – uczestniczył w działaniach operacyjnych służby, m.in. kontrolowanej transakcji zakupu willi w Kazimierzu. Kaczmarek sam zrzekł się immunitetu i w grudniu 2014 r. także został oskarżony o przekroczenie uprawnień.

– Działania prokuratury wobec mnie są nacechowane politycznie – mówił wówczas Kaczmarek. Przesadził? Niekoniecznie. Krótco po tym, jak akt oskarżenia przeciw niemu trafił do sądu, ten uznał, że materiał dowodowy przeciw byłemu funkcjonariuszowi CBA jest niekompletny, chaotyczny, sprawiający wrażenie przygotowywanego w wielkim pośpiechu, opierający się na nieczytelnych protokołach i przygotowany przed wykonaniem wszystkich czynności procesowych. Ostatecznie po wykonaniu zaleceń sądu w 2016 r., prokuratura zdecydowała o umorzeniu postępowania przeciw agentowi „Tomkowi”. Jak uzasadniał wówczas prok. Łukasz Łapczyński z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga: „Po ponownej analizie sprawy i wykonaniu czynności zleconych przez sąd uznaliśmy, że działania Tomasa Kaczmarka nie noszą znamion czynu zabronionego”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sprawę śledztwa dotyczącego „willi Kwaśniewskich” Tusk wykorzystał do uderzenia w szefa CBA Mariusza Kamińskiego

należała do Jolanty Kwaśniewskiej – mówił „Do Rzeczy” w marcu minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych, a wcześniej szef zespołu CBA zajmującego się „majątkiem Kwaśniewskich”.

Postępowanie w tej sprawie zostało jednak umorzone w 2010 r. decyzją o niestwierdzeniu przestępstwa. Wznowiono je w 2016 r. po tym, jak po analizie akt stwierdzono, że przed umorzeniem katowicki śledczy nie przeprowadził wszystkich czynności dowodowych.

SZYKANY ZA KWAŚNIEWSKICH?

Już po umorzeniu śledztwa w sprawie „willi Kwaśniewskich” wykorzystano działania operacyjne CBA do uderzenia w Mariusza Kamińskiego, szefa tej służby w czasie, gdy ujawniała ona obok tej sprawy m.in. głośną aferę hazardową. Usiłowano doprowadzić do skazania go za rzekome nieprawidłowości, co – jak nieoficjalnie mówiło wielu funkcjonariuszy Biura – miało doprowadzić do zachwiania zaufania do stworzonej przez niego służby i jej funkcjonariuszy. Wśród ludzi CBA do dziś wielu mówi, że był to jeden z elementów dyskredytowania Kamińskiego w odwecie właśnie za działania CBA w aferze hazardowej.

– Totalne ośmieszenie Kamińskiego, doprowadzenie do skazania go za rzekome nadużycia, nieprawidłowości dałoby politykom asumpt do mówienia, że CBA Kamińskiego i w innych dotyczących ludzi władzy sprawach funkcjonowało źle – mówi nam jeden z byłych funkcjonariuszy Biura.

skarbowej, źródeł pochodzenia i sposobu zakupu tego domu. Z uwagi na moje wątpliwości oraz nieprawidłowości w tej sprawie sprawę bada obecnie Prokuratura Okręgowa w Warszawie – mówił wówczas Wojtunik w rozmowie z Radiem RMF FM.

W 2014 r. Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga zdecydowała o postawieniu Kamińskiemu zarzutów przekroczenia uprawnień podczas czynności operacyjnych CBA. Uznała, że Kamiński i jego współpracownicy mieli kierować do sądu „nierzetelne informacje” we wnioskach m.in. o zgody na założenie podsłuchów. Uzasadnienie warszawskiej prokuratury w sprawie zgody na uchylenie Kamińskiemu immunitetu i na pociągnięcie go do odpowiedzialności karnej było niemal dosłownym odzwierciedleniem donosu, który złożono na niego po tym, jak kierownictwo CBA przejęło Wojtunika.

Prawdziwa batalia rozegrała się jednak już w parlamencie. – Nie idę na salę sejmową, aby bronić swojego immunitetu, nie ma najmniejszych wątpliwości, że zostanie mi uchylony. Idę bronić prawdy i zasad, a zwłaszcza jednej prostej zasady, że nikt w państwie polskim nie może stać ponad prawem, nawet jeżeli nazywa się Kwaśniewski – mówił Mariusz Kamiński przed głosowaniem w jego sprawie.

Paweł Wojtunik zabiegał o to, by broniący dobrego imienia Kamiński nie mógł mówić parlamentarzystom o kulisach śledztwa CBA w sprawie Kwaśniewskich. W praktyce mocno ograniczyłoby to prawo Kamińskiego do obrony. Ostatecznie

Mieć emeryturę pod kontrolą

Pracownicze Plany Kapitałowe mają zapewnić Polakom dodatkowe zabezpieczenie finansowe na starość. Odpowiadamy na najczęstsze pytania dotyczące tego programu.



Program PPK ma być skierowany do ponad 11 mln pracowników, w tym do ok. 9 mln. osób zatrudnionych w sektorze przedsiębiorstw i ponad 2 mln pracujących w tzw. budżetówce. Z systemu będą mogli skorzystać wszyscy, za których pracodawcy odprowadzają składki na ubezpieczenie emerytalne do ZUS. Oznacza to, że docelowo udział w PPK wezmą przedsiębiorstwa zatrudniające co najmniej jedną osobę, za którą odprowadzają składkę na ZUS. Chyba że pracodawca posiada już Pracowniczy Program Emerytalny, opłacając składkę na rzecz zatrudnionego w wysokości minimum 3,5 proc. wynagrodzenia. Program jest przyjazny pracodawcom, ponieważ nie wymaga od nich praktycznie żadnych działań, a składka pracodawcy nie zostanie dodatkowo ozusowana. Z kolei pracownik zapłaci swoją składkę i otrzyma dodatek ze strony pracodawcy oraz państwa. Natomiast państwo poniesie koszt dopłat i ulg, ale przez to zyskuje na wzrastającym poziomie oszczędności

i wzroście bazy finansowania polskich przedsiębiorstw.

Czy z PPK nie będzie tak jak z OFE?

Nie, bo to całkowicie inne systemy. Środki zgromadzone w PPK będą prywatne, zapisane na indywidualnych kontach pracowników, dziedziczone. Ich prywatność będzie na takim poziomie, jak np. kont bankowych czy IKE. Będzie nawet można wypłacić je w każdej chwili (jeśli jednak zrobimy to przed 60. rokiem życia, zapłacimy podatek od dochodów kapitałowych i stracimy składki wpłacane przez państwo). Według ostatnich doniesień na temat konsultacji społecznych, Ustawa o Pracowniczych Planach Kapitałowych będzie też miała zapis mówiący o prywatnym charakterze zgromadzonych tam pieniędzy.

Kiedy będzie można wypłacić pieniądze i na jakich zasadach?

Uczestnik programu może w każdej chwili zrezygnować z udziału w PPK i wypłacić zgromadzone przez siebie środki

oraz 70 proc. składek finansowanych przez podmiot zatrudniający (wraz z wypracowanym zyskiem pomniejszonym o podatek dochodowy, składki powitalne i dopłaty roczne ze strony państwa – 250 zł na start i 240 zł rocznie). Zgromadzone tam pieniądze mogą być też wykorzystane na wpłatę udziału własnego przy zakupie pierwszego mieszkania. Jednak po pięciu latach karen-cji rozpocznie się okres 10 lat nieoprocen-towanej spłaty wykorzystanych środków z rachunku PPK. Zgromadzone oszczędno-ści (do 25 proc.) będzie można wypłacić także w przypadku ciężkiej, przewlekłej choroby pracownika, jego współmałżonka lub dziecka (w takiej sytuacji wypłaconych środków nie trzeba będzie zwracać).

Dlaczego trzeba co dwa lata składać deklarację o opuszczeniu programu?

Trendy światowe pokazują, że najlep-sze rozwiązania to automatyczny zapis z możliwością rezygnacji. Sprawdziło się to w Wielkiej Brytanii, w systemie Auto Enrollment (AE), na którym wzorowany jest nasz PPK. Tam poziom uczestnic-twa w systemie przekracza 80 proc. Deklaracja PPK to okazja do refleksji na temat swojego oszczędzania i środków na przyszłość. Nawet jeśli ktoś nie chce uczestniczyć w PPK, warto, aby co jakiś czas pochylił się nad tą kwestią. Jeśli ktoś świadomie będzie rezygnował z dobro-wolnego oszczędzania, to nie będzie mógł później powiedzieć, że nie miał możliwo-ści zadbania o wyższą emeryturę.

Jak pieniądze będą inwestowane? Czy może się zdarzyć, że stracę całe środki?

Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych, które będą obsługiwały Pracownicze Plany Kapitałowe, mogą pomnażać zgromadzony kapitał, inwestując go w bony skarbowe, obligacje (w tym obligacje korporacyjne), akcje czy listy zastawne. Część inwestycji będzie mogła być lokowana w papiery wartościowe w walucie innej niż złotówki, umożliwiając tym samym ograniczenie ry-zyka koncentracji. Ważną zasadą przyjętą w projekcie ustawy o PPK jest „kryterium szczególnego bezpieczeństwa” dla inwe-stowanych pieniędzy. Zakłada ona m.in., że oferta funduszy inwestycyjnych musi być dopasowana do wieku oszczędzających (tzw. fundusze zdefiniowanej daty). Chodzi o to, żeby wraz ze zbliżaniem się uczest-nika programu do wieku emerytalnego polityka inwestycyjna była coraz bardziej konserwatywna i dostosowana do profilu ryzyka oszczędzającego.

Marta Szuma

Pobył Jarosława Kaczyńskiego w szpitalu rozgrzał niektóre media do czerwoności. Tabloidy rozpiskują się o tym, co dolega prezesowi PiS, ale też śledzą, kto i kiedy go odwiedził w szpitalu i ile czasu tam spędził. Komentatorzy głowią się z kolei, kto w tej sytuacji realnie zarządza partią i wyciągają daleko idące wnioski, że wszystko, co się obecnie w polityce dzieje, to efekt braku prezesa. Są i dalej idące teorie. W „Polityce” można było przeczytać o tym, jak wyglądałby PiS bez prezesa. „Nad polską polityką, rządzącymi, ale też opozycją, zawisło pytanie: »Co będzie, gdy prezes przejdzie na emeryturę?«. A nawet jeśli stanie się trochę mniej wszechwładny?” – czytamy.

DZWONI I WYPYTUJE

Tylko że prezes PiS na emeryturę się na razie nie wybiera. Mniej wszechwładny z powodu problemów z kolanem też chyba raczej nie będzie. Zwłaszcza że dziś, przebywając w warszawskim szpitalu przy ul. Szaserów, działa tak jak wcześniej. Jego najbliżsi współpracownicy przekonują, że jest w dobrym nastroju, dzwoni do nich regularnie, dowcipkuje i wypytuje o różne rzeczy. Po prostu w szpitalu ma dużo więcej czasu, nie musi odbywać rutynowych spotkań, przyjmować rozmaitych petentów, rozsądzać sporów i gasić mało istotnych pożarów. – Dzwoni do tych, do których chce, przyjmuje tego, kogo chce, i rozmawia z każdym tyle, ile chce – relacjonuje jeden z członków rządu.

Dowodem na to, że pobyt Jarosława Kaczyńskiego w szpitalu sprawił, iż rząd i partia są w rozsypce, bo nikt nie jest w stanie podejmować samodzielnych decyzji, ma być sprawa protestu opiekunów osób niepełnosprawnych w Sejmie. Od ponad miesiąca trwa pat. Jako że w dniach 25–28 maja w parlamencie zaplanowana była sesja Zgromadzenia Parlamentarnego NATO, wydawało się, że rząd zrobi wszystko, by do tego czasu dogadać się z protestującymi. To, że do takiego porozumienia nie doszło, komentatorzy składali na karb nieobecności Kaczyńskiego.

– To raczej efekt taktyki przyjętej przez Morawieckiego, która sprowadza się do tego, że rząd nie ma zamiaru ulegać. Stąd cały przekaz rządu jest nastawiony na to, by pokazać, że problem jest mniejszy, niż się wydaje, bo nie ma wpływu na sondaże, bo emocje opadają i tak dalej – uważa jeden z naszych



Kamila Baranowska

Im bardziej politycy PiS zaprzeczają złemu stanowi zdrowia prezesa, tym bardziej utwierdzają niektórych w tym, że „coś jest na rzeczy”. A jaka jest prawda?



Kolano prezesa

rozmówców z rządu. Dodaje, że w tej sprawie prezes daje Morawieckiemu wolną rękę, a jeśli sytuacja zaogni się do tego stopnia, że nie będzie już wyjścia, dopiero wtedy sam wkroczy do akcji. – Dokładnie tak samo jak było w kwestii nagród dla członków rządu. Prezes stał z boku, a gdy sprawa zamiast cichnąć, rosła i zaczęła przekładać się

na sondaże, poczynił radykalne kroki – wyjaśnia nasz rozmówca.

W szpitalu Jarosława Kaczyńskiego regularnie odwiedzają zarówno premier Mateusz Morawiecki, wicepremier Beata Szydło, jak i poszczególni ministrowie.

Politycy PiS przekonują, że prezes, choć uziemiony w szpitalu, nadal normalnie za-

rządza partią, z tą jedynie różnicą, że musiał na jakiś czas zawiesić swoje spotkania w terenie z działaczami, samorządowcami i wyborcami. Nie wszyscy jednak dają wiarę tym zapewnieniom. Co bardziej podejrzliwi sugerują, że prezesowi nie dolega wyłącznie ból kolana i że sprawa jest dużo poważniejsza.



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTIM

ki, żeby szybko fizycznie do nas wrócił – mówiła dziennikarzom rzeczniczka partii Beata Mazurek.

Są jednak politycy Zjednoczonej Prawicy, którzy grę polityczną w związku ze zdrowiem prezesa Kaczyńskiego dostrzegają także, a może przede wszystkim, we własnych szeregach. Wielu z nich nie spodobał się okładkowy wywiad Adama Bielana dla „Wprost”, który został odebrany jako lansowanie się na chorobie prezesa.

Inni zwracają uwagę, że nieobecność prezesa nie tylko otworzyła puszkę z plotkami na temat jego zdrowia, lecz także tę ze spekulacjami, kto mógłby przejąć schedę po Kaczyńskim.

BRUDZIŃSKI NA CELOWNIKU

Przy tej okazji obrywa się mocno Joachimowi Brudzińskiemu, który pod nieobecność prezesa jak zwykle pilnuje spraw partyjnych. To on jako wiceprezes PiS poprowadził pod nieobecność prezesa posiedzenie komitetu politycznego, na którym zdecydowano o ponad 40 kandydaturach na prezydentów miast. – Próbowano wypuścić to jako sensację, że Brudziński pod nieobecność prezesa przejmuje partię, ale nie do końca się udało, bo akurat on ma stałe łącznie z prezesem i nigdy nie zrobiłby nic wbrew Kaczyńskiemu – wzdycha jeden z posłów PiS.

Niemniej jednak nie wszystkim podoba się, że to Brudziński pozostaje najbardziej wpływowym politykiem w partii, toteż do prezesa docierają skargi, że za bardzo się rządzi i zbyt łatwo wchodzi w buty prezesa. A wiadomo, że nic tak nie szkodzi politykowi jak przypisanie mu chęci bycia delfinem. Dlatego Brudziński, nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, dementował takie informacje w TVN24. – Rozpocznę od złej informacji, szczególnie dla tych, przede wszystkim dla tych, którzy albo życzą premierowi Kaczyńskiemu szybkiej politycznej emerytury, albo, co już jest wyjątkowo obrzydliwe i takim swoistego rodzaju moralnym barbarzyństwem, rozpuszczają różnego rodzaju informacje poprzez taką szeptankę, przez wrzucanie do portali społecznościowych wyjątkowo paskudnych, nieprawdziwych, kłamliwych, załączanych informacji na temat stanu zdrowia Jarosława Kaczyńskiego – powiedział w TVN24. Przysznawał, że już w wakacje ubiegłego roku był pytany o to, czy Kaczyński jest w klinice

onkologicznej w Bydgoszczy. – Wczoraj dowiedziałem się, właśnie z takiej paskudnej szeptanki, że rzekomo jest w klinice onkologicznej w Gliwicach – mówił Brudziński. – Mogę powiedzieć tylko tyle: Jarosław Kaczyński rzeczywiście ma problem z kolaniem. To kolano go boli, pracują nad tym kolaniem wybitni ortopedzi, ale na polityczną emeryturę się nie wybiera i ci wszyscy, łącznie z tymi wszystkimi delfinami czy tymi, którym być może roi się w głowie coś na kształt zamiany premiera Kaczyńskiego albo zastąpienia go na stanowisku szefa partii, muszą uzbroić się w bardzo długą cierpliwość.

Jednak zamiast uciąć plotki, Brudziński swoją wypowiedzią jeszcze dodatkowo je podsycał. Od razu bowiem w PiS zaczęło się zastanawiać, kogo miał na myśli, mówiąc o delfinach szykujących się do przejęcia partii. I oczywiście na nowo zaczęto rozpatrywać kwestię ewentualnej schedy po prezesie Kaczyńskim.

Sytuacja jest więc paradoksalna – im bardziej politycy PiS zapewniają, że wszystko jest po staremu, tym bardziej utwierdzają niektórych w tym, że jednak „coś jest na rzeczy”. Ręce zacierają głównie tabloidy, bo to woda na ich młyn. Chociaż także politycy opozycji próbują wykorzystać sytuację: zadają oficjalne pytania o stan zdrowia prezesa PiS, jakby nie pamiętali już, jak irytowały ich podobne pytania stawiane swego czasu o prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Tymczasem pod koniec ubiegłego tygodnia rzeczniczka PiS Beata Mazurek poinformowała, że Jarosław Kaczyński przeszedł już operację kolana i teraz czego go rehabilitacja.

To potwierdza słowa Adama Bielana. – Jedyną poważną dolegliwością, z którą prezes Prawa i Sprawiedliwości boryka się od wielu miesięcy, a nawet lat, jest uraz kolana. Prezes długo zwlekał z podjęciem leczenia, aż w ostatnim czasie uraz spowodował tak silny ból, że uniemożliwił mu poruszanie się o własnych siłach – mówił w wywiadzie dla „Wprost”. – Jak każdy w podobnej sytuacji posłużył się kulami ortopedycznymi, co tabloidy skrzętnie udokumentowały zdjęciami. Dodawał także, że to typowy uraz, który bynajmniej nie eliminuje prezesa rządzącej partii z wykonywanego zawodu polityka. – Szczęśliwie nie jest ani piłkarzem, ani tancerzem – zażartował Bielan.

Pojawiła się nawet plotka, jakoby prezes przebywał obecnie w klinice onkologicznej w Gliwicach. Politycy PiS je zdementowali. – Prezes ma się dobrze. Jesteśmy z nim w stałym kontakcie. Nic się nie dzieje bez wiedzy prezesa. Jest w szpitalu w Warszawie. Te wszystkie bajki, że przebywa gdzieś w Gliwicach czy dalej, to nieprawda. Trzymamy kciu-

MACIEJ PIECZYŃSKI: Na ile protest rodziców dzieci niepełnosprawnych może zaszkodzić PiS?

DR BARTŁOMIJ BISKUP: Znacząco nie zaszkodzi, ale też na pewno nie pomoże. Z jednej strony, im dłużej ten protest trwa, tym bardziej wyczerpuje się jego polityczny potencjał. Jednak z drugiej strony, okupacja Sejmu pozostanie w centrum uwagi mediów niechętnych partii rządzącej. Dla opozycji protest rodziców dzieci niepełnosprawnych jest szansą, by po wielu niepowodzeniach wreszcie skutecznie zaatakować PiS. Politycy Platformy próbują coś na tym zyskać, choć sami niewiele zrobili dla środowisk, które dziś wspierają.

Widocznie poczuł krew. Do tej pory przeciwko władzy protestowały zazwyczaj środowiska, które PiS w swojej egalitarnej narracji mógł zasznurować jako przedstawicieli elity, która mści się za utracone wpływy: dziennikarze, sędziowie, lekarze rezydenci, działacze KOD, Platformy... Spór z niepełnosprawnymi to o wiele trudniejsza sprawa.

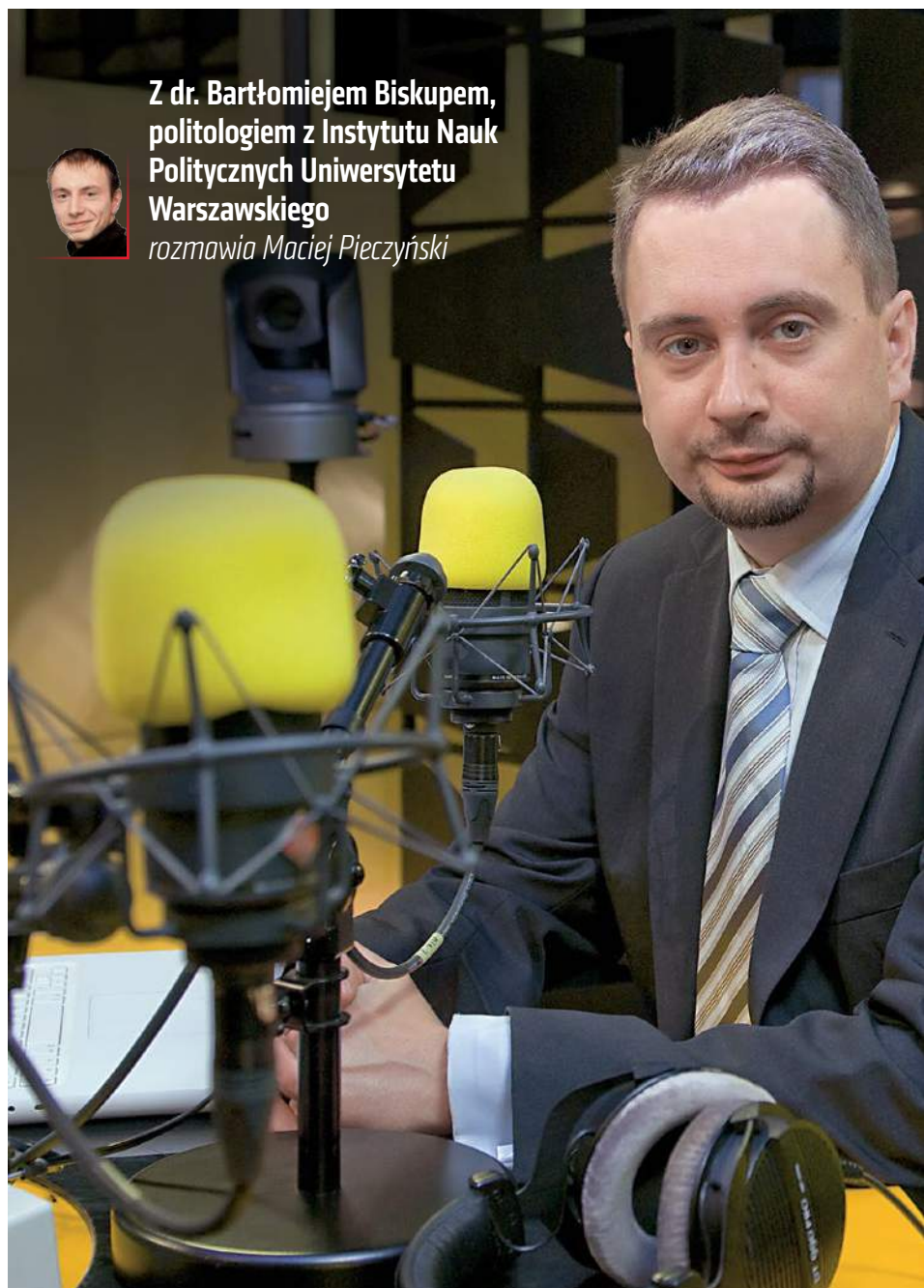
Rzeczywiście, to taka grupa, za którą każdy będzie się ujmował. Nie można ich dyskredytować – można albo spełnić ich postulaty, albo spokojnie negocjować. Widać jednak, że protestujący nie mają zamiaru iść na kompromis, chcą przeforsować swoje żądania w całości.

PiS został w pewnym sensie zaatakowany na własnym terenie – przeciwko partii, która zawsze stawiała po stronie najsłabszych, protestują najsłabsi właśnie. Tak przynajmniej to wygląda.

To dla PiS duży problem wizerunkowy. Oczywiście nie wiadomo, na ile ta grupa protestujących jest reprezentatywna dla całego swojego środowiska. Przecież nie wszyscy niepełnosprawni utożsamiają się z ich postulatami. Aczkolwiek w odbiorze zewnętrznym to nie ma znaczenia – ważne, że Sejm okupują osoby niepełnosprawne i władza nie potrafi sobie z tym poradzić.

Skoro PiS na tym traci, to czy zyskuje opozycja? Ryszard Petru i Joanna Scheuring-Wielgus, pchający wózek inwalidzkie w blasku fleszy – co w tym obrazie zobaczą wyborcy: cynizm czy empatię?

Opozycja prezentuje różne postawy. Joanna Scheuring-Wielgus czy Agnieszka Ścigaj pod początku zaangażowały się w pomoc dla protestujących. Dlatego są w tym wiarygodne. Widać, kto rzeczywiście był w protest zaangażowany, a kto dołączył po czasie, ze zwykłego, politycznego wyrachowania. Protest trwa już jakiś czas, postulaty się nie zmieniają, rząd część z tych postulatów spełnił, jest pat.



Z dr. Bartłomiejem Biskupem,
politologiem z Instytutu Nauk
Politycznych Uniwersytetu
Warszawskiego
rozmawia Maciej Pieczyński

Wyborcy wystawiają rachunek



FOT. ANNA ABRAK/EST NEWS

Trudno powiedzieć. Przywódcy protestu nie są jeszcze zbyt dobrze znani opinii publicznej. Natomiast polityka z reguły wciąga takich ludzi. Naturalnie, bardzo możliwe, że Iwona Hartwich otrzyma propozycję startu w wyborach z listy którejś z opozycyjnych partii politycznych. Nie wydaje mi się, by na początku ten protest był inspirowany politycznie, ale niewątpliwie został zagospodarowany przez antypisowską opozycję. Dzisiaj jego przywódcy twierdzą, że trzeba zrobić wszystko, aby odsunąć PiS od władzy, choć przecież wszyscy wiemy, a już najlepiej wiedzą to sami protestujący, że żadna z poprzednich ekip rządzących nie poradziła sobie właściwie z problemami osób niepełnosprawnych i PiS nie jest tu żadnym wyjątkiem. Taka retoryka nie buduje sympatii opinii publicznej, a tylko napędza teorie spiskowe, zgodnie z którymi cały protest jest od początku do końca jedną wielką akcją polityczną.

PiS nie powinien dalej ustępować?

W tej chwili raczej nie. Powinien natomiast pomyśleć o jakimś innym, wizerunkowym rozwiązaniu. Może z protestującymi powinien spotkać się Jarosław Kaczyński, aby załagodzić spór? Jeżeli to się nie uda, jeżeli dalej będą twardo obstawać przy żądaniach „żywej gotówki”, której rząd nie jest w stanie dać, to być może okupacja Sejmu potrwa aż do końca kadencji.

Siłowe rozwiązanie raczej nie wchodzi w grę.

To byłby dramat wizerunkowy. Opozycja i niechętnie PiS media tylko na to czekają. Zachęcałbym jednak polityków partii rządzącej, by wyszli do protestujących, wmieszali się w ich tłum i zaczęli z nimi normalnie rozmawiać...

W poprzedniej kadencji Arkadiusz Mularczyk przynosił kanapki protestującym rodzicom osób niepełnosprawnych. Łatwo teraz wypominać PiS hipokryzję i zmianę punktu widzenia po dojściu do władzy.

Rząd powinien forsować następujący przekaz: „Zrobiliśmy tyle, ile można było zrobić, budżet więcej wydatków nie wytrzyma”.

Na rysunku satyrycznym Cezarego Krysztopy jedna złota rybka mówi do drugiej: „Powiedziałam, że spełnię jego pięć życzeń, a po chwili stała już kolejka”. PiS ma chyba podobny problem... Czy partia rządząca stała się zakładnikiem własnych obietnic?

Tak, to jest właśnie praprzyczyna protestu w Sejmie. PiS, nie tylko składając obietnice socjalne, lecz także je realizując, musiał być przygotowany na to, że prędzej czy później kolejne grupy społeczne ustawią się w kolejce po pieniądze z budżetu. Szczególnie, że „500+” to program obwarowany dużo mniejszymi rygorami niż zwyczajna pomoc społeczna. To żywa gotówka, dość łatwa do zdobycia. Ludzie do tego się przyzwyczajają. Gdyby Polska była drugą Szwecją albo drugą Szwajcarią – zrozumiałbym rozdawniczą politykę. Oczywiście rząd ma na swoim koncie wielkie sukcesy gospodarcze, udało się zwiększyć wpływ do budżetu, choćby z uszczelnienia VAT. To jednak nie oznacza, że każdy obywatel ma z tych nadwyżek dostać swoje kilkaset złotych. PiS jest więc ofiarą swojej własnej retoryki. Skoro przekonywał wyborców, że dobra zmiana oznacza koniec impossiblybilizmu, to teraz wyborcy wystawiają rachunek. Jeśli rozdaje się pieniądze, to zawsze przychodzi taki moment, kiedy tych pieniędzy zabraknie.

Jednak jest skąd je brać: są nowe podatki. Na niepełnosprawnych mają się zrzucać najbogatsi. Czy danina solidarnościowa umocni sondaż PiS, czy raczej zaszkodzi, bo wkurzy tych wyborców, którzy nieco lepiej zarabiają?

Danina solidarnościowa może umocnić socjalny elektorat PiS, ewentualnie przysporzyć jeszcze zwolenników tej partii. W końcu wielu jest wyborców, którzy nie lubią bogatych i którzy uważają, że bogaci powinni utrzymywać biednych... Tyle że to jest czystej wody populizm. Jedną trzecią PKB wytwarzają małe i średnie firmy. To właśnie średnio zamożni napędzają gospodarkę. Takimi posunięciami jak danina solidarnościowa rząd może zdobyć łatwe poparcie na dziś, natomiast w dalszej perspektywie będzie to skutkować zwijaniem się gospodarki. Przedsiębiorcy będą uciekać do szarej strefy albo przenosić swoje firmy za granicę. Czy to oznacza, że lepiej być w Polsce człowiekiem nieradzącym sobie w życiu i korzystającym z pomocy społecznej? Czy rząd już nie chce wspierać ludzi w miarę zamożnych i przedsiębiorczych? Czy nie chce, by zakładali firmy, zatrudniali pracowników, budowali nowoczesną gospodarkę? Nie rozumiem w takim razie, po co specjalnie zostały utworzone Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii oraz Ministerstwo Rozwoju.

Stwierdził pan, że część byłych i obecnych działaczy Nowoczesnej może wzmocnić obóz lewicy.

W opinii publicznej ukształtowały się już wyraźne oceny tego wydarzenia. Dołączanie się do protestów kolejnych szukających zysku polityków może bardziej niepełnosprawnym zaszkodzić, niż pomóc.

Stojąca na czele protestu Iwona Hartwich najpierw bardzo żywiołowo apeluje, by nie głosować na PiS w wyborach samorządowych, a chwilę potem twierdzi, że „to nie jest protest polityczny”. Niezbyt wiarygodnie to brzmi. Czy to jeszcze działaczka społeczna, czy już polityk?

Wciąż na mesjasza tego obozu kreowany jest Robert Biedroń. Dobre sondaże ma coraz bardziej konserwatywne – choć wciąż formalnie lewicowe – SLD. Do tego dochodzą Partia Razem i czarne protesty. Co dalej z lewicą?

Wbrew temu, co wieszczą niektórzy komentatorzy, nie ma teraz wcale dobre go czasu dla lewicy. Zyskuje ona jedynie na efekcie pewnego rodzaju świeżości. Wszyscy o lewicy na jakiś czas zapomnieli, nie dostała się ona do parlamentu, dlatego teraz na fali zmęczenia, znudzenia bieżącym sporem między czołowymi partiami, może znów być atrakcyjna dla wyborców.

To chyba jednak nie oznacza, że jest jakiś renesans popularności lewicowego światopoglądu?

Nie, absolutnie. Wciąż mamy bardzo konserwatywne, prawicowe społeczeństwo. Takie lewicowe akcje jak czarny protest to jednorazowe zrywy. Gdy pojawia się temat zaostreżenia prawa antyaborcyjnego, feministki budzą się i wychodzą na ulicę, a po wszystkim się rozchodzą. Żeby lewica wróciła do gry na najwyższym poziomie, musiałaby stworzyć jakiś spójny ruch. Spójny nie tyle ideologicznie – wiele może różnić Biedronia, Nowacką, Zandberga czy Czarzastego, ale występując wspólnie pod szyldem „lewica”, mogą powalczyć o wejście do parlamentu. Nie widzę jednak podstaw, by to środowisko odegrało jakąś istotną rolę na polskiej scenie politycznej. Lewicowy elektorat w dużej mierze został już zagospodarowany przez PiS. To PiS ma program prospołeczny, poparcie związków zawodowych. Czegoż jeszcze potrzeba? Sama światopoglądowa lewica nie ma bowiem racji bytu poza niewielką niszą.

Gdy prezydent Duda zawetował ustawę de-gradacyjną, w obozie władzy nie było słyhać tak głośnych protestów jak po wecie wobec reformy sądownictwa. Może to też jakiś ukłon w stronę elektoratu SLD albo i samego Sojuszu jako potencjalnego koalicjanta?

Być może to było jakieś puszczenie oka do części wyborców lewicy, żeby zamiast interesować się jakąś Nowacką czy Biedroniem, w przyszłości oddali głos na PiS. Lewicowy elektorat jest bardzo niewielki, ale PiS rzeczywiście w przyszłości może zabraknąć tych paru procent poparcia.

Jak ocenia pan referendalną inicjatywę prezydenta Dudy?

Myślę, że to element szerszego planu pana prezydenta, którego celem jest odróżnić się jakoś od PiS, zawalczyć o własny

projekt polityczny. Żeby jednak proponować referendum, trzeba mieć pewność, że nie okaże się ono frekwencyjną oraz wizerunkową katastrofą. Dzisiaj partia rządząca raczej rzuca kłody pod nogi prezydenta, obniża jego pozycję. PiS może sam sobie zaszkodzić, torpedując inicjatywę Andrzeja Dudy. Przecież to referendum nie powinno być politycznie niewygodne dla dobrej zmiany, prezydent nie ma raczej w zamiarze narazić swojego obozu na straty, a jedynie zadać wyborcom parę kurtuazyjnych w gruncie rzeczy pytań, na które odpowiedzi nie będą wiążące. Prezydent Duda ma dziś dobrą pozycję wyjściową, by ubiegać się o reelekcję – cieszy się blisko 50-procentowym zaufaniem społecznym. Nie warto tego zaufania trwonić. Gdyby ufało mu 12 proc. Polaków, rozumiałbym, że PiS pozwala sobie na bojkot, bo wówczas mógłby postawić na innego kandydata. Jednak przy takim poparciu dla Andrzeja Dudy nie warto kruszyć kopii. W PiS powinni zrozumieć, że do wygrania

Nie sądzę, by istniał jakiś gigantyczny potencjał polityczny na prawo od Prawa i Sprawiedliwości

wyborów prezydenckich potrzebna jest większa liczba głosów niż do wygrania wyborów parlamentarnych. Dlatego Andrzej Duda musi od czasu do czasu wychodzić poza elektorat własnej partii.

PiS łagodnieje, coraz częściej godzi się na ustępstwa na forum międzynarodowym. Ojciec Rydzyk jest ponoć niezadowolony z działań dobrej zmiany, Kukiz i Korwin-Mikke tradycyjnie atakują rząd za politykę socjalną. Czy jest szansa na zbudowanie silnego ugrupowania na prawo od partii rządzącej?

Oczywiście mamy nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie wzrost nastrojów konserwatywnych. Nie sądzę jednak, by istniał jakiś gigantyczny potencjał polityczny na prawo od PiS. Zbyt mało łączy środowiska, które pan wymienił, by potrafiły się zjednoczyć pod jakimś szyldem prawicowej antypisowskości. Partia rządząca ma zbyt silną pozycję.

Patryk Jaki w walce o Warszawę trochę się zliberalizował. Mówi o pozwoleniu na paradę równości, o in vitro... Czy PiS musi się przefarbować na tęczowo, żeby zdobyć stolicę?

PiS latami budował swoją reputację jako partia konserwatywna, dlatego musi pilnować swojej wiarygodności. Musi też jednak uwzględniać specyfikę danego miasta, inaczej rozkładać akcenty. Można przecież zezwalać na paradę równości, tłumacząc to mniej więcej tak: „Nie zgadzam się z waszymi postulatami, nie wezmę w tym udziału, ale mamy wolność słowa i wolność zgromadzeń, więc pozwolę wam na marsz, tak jak pozwolę każdemu innemu środowisku”.

PiS wziął się za rozliczanie Platformy. Gawłowski aresztowany, problemy ma Neumann. Czy już tylko przybycie Donalda Tuska na białym koniu mogłoby uratować tę partię?

Uważam, że pogłoski o śmierci Platformy są mocno przesadzone. A to dzięki Nowoczesnej, której postępujący rozpad sprawił, że liberalnym, antypisowskim wyborcom pozostaje PO. Poza tym nie zauważyłem gwałtownych spadków notowań Platformy po aresztowaniu Gawłowskiego. Być może będzie nawet odwrotnie – wyborcy mogą w politykach tej partii przestać widzieć aferzystów, a zobaczyć męczenników. Może powtórzyć się sytuacja z czasów pierwszych rządów PiS. Oczywiście zarzuty są mocne, nie można stwierdzić, że Gawłowski jest więźniem politycznym. Jednak zdecydować może forma – im bardziej obóz dobrej zmiany będzie nagłaśniał kolejne zatrzymania, tym bardziej efekt dla PiS może być odwrotny do zamierzonego.

Radykalizacja sceny politycznej postępuje. Na spotkaniu z premierem Morawieckim doszło do przepychanek, pod Sejmem Obywatele RP namawiali niepełnosprawnych do rzucania jajkami w podobizny polityków PiS. Nawet dziennikarze otwarcie wchodzą na barykady – Wojciech Czuchnowski nie został potępiony za swój atak na Macierewicza podczas konferencji prasowej. Do czego nas to doprowadzi?

Tę radykalizację obserwujemy już od dłuższego czasu. Mamy wystarczająco negatywnych przykładów – dochodziło już do pobić, zamordowany został asystent posła PiS... Powstaje pytanie: Gdzie jest granica pomiędzy happeningiem a tym, co nie powinno się wydarzyć? Podział w społeczeństwie się pogłębia, a polaryzacja jest niestety na rękę obu największym siłom politycznym. PiS i PO w warunkach ostrego sporu wzajemnie się napędzają – obie partie mają wysokie poparcie i gwarantowane wejście do Sejmu w kolejnej kadencji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wszystko staje się
polityką



Piotr Semka

Protest niepełnosprawnych w Sejmie ma już wyraźnie polityczne oblicze. To dobry przykład, jak dzisiejsza polityka ubiera się w pozapolityczne szaty. A jednocześnie upolityczniane są niemal wszystko i wszyscy

Czy protest niepełnosprawnych został zorganizowany lub choćby współorganizowany przez polityków? Zadawanie tego pytania w ciągu ostatnich tygodni wywoływało oburzenie części mediów. A jednak od pytania tego nie sposób uciekać, widząc rozwój protestu.

Faktem pozostaje, że posłanka Joanna Scheuring-Wielgus z Nowoczesnej (opuszczyła partię, ale nie obóz opozycji) sama przyznała się do pomocy grupie niepełnosprawnych w wejściu do Sejmu i rozpoczęciu protestu. „Wprowadziłam ich tu nie dlatego, że miałam takie widzimisię, a dlatego iż Prawo i Sprawiedliwość ich okłamało. W 2014 r. podczas pierwszych protestów Elżbieta Rafalska, Beata Szydło i Arkadiusz Mularczyk mówili tym ludziom, że gdy dojdą do władzy, to ich postulaty zostaną zrealizowane. Tłumaczyli, że zrobią, co trzeba, gdy tylko znowu będą mieli większość w Sejmie”.

UPOLITYCZNIE WRAÇA

Stawianie pytań o to, czy protest został zainicjowany przez polityków, nie jest łatwe. Obrońcy protestujących samo zadawanie takich pytań uznają za moralnie obrzydliwe. „Nawet jeśli posłanka Nowoczesnej miała jakiś udział w pomocy dla protestu, to nie zmienia moralnego prawa niepełnosprawnych do protestu” – to emocjonalny cytat z jednej z debat radiowych.

„Gazeta Wyborcza”, wyraźny stronnik protestu, pisząc tekst o tym, kim jest liderka manifestujących, starannie unika pytań o jej polityczne sympatie, skupiając się na przedstawianiu jej jako ofiary nieważności. „Iwona Hartwich nie przejmując się hejtem w Internecie, podobnie jak kolejnymi wypowiedziami polityków, którzy odmawiają spełnienia postulatów protestujących”.

Rzecz nie jest jednak bez znaczenia. Godząc się na upolitycznianie protestu, musi liczyć się z tym, że jej akcja traktowana będzie jako kolejny epizod wojny polsko-polskiej. I stawianie pytań o to, w jakim stopniu wsparcie opozycji skłania liderki protestu do odrzucenia kompromisu z rządem.

Przypomina się spór o zmiany w Trybunale Konstytucyjnym. W pierwszym roku po wygranej PiS opozycja nie była zainteresowana żadnymi propozycjami wyjścia z kryzysu konstytucyjnego, które zdarzają się w wielu demokracjach, ale wskutek cierpliwej mediacji są w końcu przewyżczone. Kto dziś pamięta, że w czerwcu 2016 r. Jarosław Kaczyński proponował opozycji wspólne przegłosowanie ustawy o wyborze nowego Trybunału Konstytucyjnego z większością nominatów opozycji? PO i Nowoczesna były wtedy tak pewne, że presja „ulicy i zagranicy” zmicieci rząd PiS w ciągu góra 10 miesięcy, iż twardo odrzuciły propozycję kompromisu.

Teraz jest tak samo. Protestujący w Sejmie na czele z Iwoną Hartwich skupili się na żądaniu 500 zł na rękę. Rząd się w tej sprawie raczej nie ugnie – boi się, że podobne żądania wysunąć mogą wtedy kolejne grupy uznające się za poszkodowane. Iwona Hartwich jak na razie wybiera stanowisko „wszystko albo nic”. Ma świadomość, że sympatia społeczna – z naturalnych względów – jest wobec tej grupy społecznej wyjątkowa. To dlatego w pierwszych trzech tygodniach strajku dominowało współczucie i sympatia wobec osób znajdujących się w tak trudnej sytuacji życiowej.

A jednak, podobnie jak w sprawie Trybunału, polityzacja protestu zmieniła nastroje. Politycy PO i Nowoczesnej, „przegrzewając” swoje wsparcie dla okupacji sejmowego korytarza, powtórzyli własny błąd z grudnia 2016 r., gdy okupowano salę sejmową. Nagłośnienie niewpuszczenia do Sejmu weteranki AK pani Wandy Traczyk-Stawskiej, mimo budzącego sprzeciw braku kurtuazji ze strony straży sejmowej – jawiło się jednak jak wykreowany event medialny. W całą sprawę był czynnie zaangażowany w bardzo niejasny sposób poseł PO Marcin Świąciecki. Potem w podobny sposób rozgrywano próby wejścia do Sejmu Janiny Ochojskiej, a później Lecha Wałęsy.

To także charakterystyczny rys dzisiejszej polityki. Każda z wielkich

stron konfliktu politycznego w Polsce ma swoich sympatyków. Ludzi cieszących się uznaniem z racji ich działalności społecznej, w której widać jednak także sympatie polityczne. To mieszanie ról ma swoją wymierną cenę. Skoro każdy protest może mieć tło polityczne, to rośnie prawdopodobieństwo, że kolejne tego typu akcje spotkają się ze społeczną zniechęcią.

Ktoś słusznie może powiedzieć, że PiS płaci w tej sprawie cenę za wsparcie dla protestu niepełnosprawnych w 2014 r. Wtedy rządził Donald Tusk, więc politycy tej partii na czele z posem Arkadiuszem Mularczykiem demonstracyjnie odwiedzali protestujących i obiecywali im pomoc. Tyle że nic nie wiadomo, by pomagali w wejściu niepełnosprawnych do Sejmu i urządzali happeningi w sprawie niewpuszczania do Sejmu znanych celebrytów. Jednak z okazji do błysnięcia wtedy korzystali. I dziś słono za to płacą.

Jedyne, co ratuje PiS, to brak zdolności opozycji do samoograniczania się. Tak jak w wypadku wydarzeń w Sejmie w grudniu 2016 r. opozycja przekracza granice śmieszności. Zdjęcia Ryszarda Petru wożącego jednego z niepełnosprawnych po terenach Sejmu wywołały falę złośliwych memów.

Wieloletni uczeń Leszka Balcerowicza pozujący na wrażliwego społecznie pomocnika niepełnosprawnych był groteskowy. Jeszcze większą katastrofą wizerunkową było spotkanie Lecha Wałęsy z protestującymi. Były prezydent odwiedził Sejm, by opowiedzieć, że władza PiS jest dużo gorsza niż rządy komunistów. Talent Wałęsy do egotyzmu, jego chętność i swoista predyspozycja do surrealistycznych wypowiedzi nie polepszyły sytuacji strajkujących. A jego rada, by niepełnosprawni wezwali na pomoc górników – brzmiała już jak sztywność.

PROTEST JAKO TRYBUNA WYBORCZA

Liderki protestu nie unikają deklaracji politycznych sympatii i antypatii: „Za Tuska traktowano nas humanitarnie. Teraz się nas poniża” – głosi Iwona Hartwich, wyraźnie ustawiając się politycznie w obecnej odsłonie sporu.

Anna Glinka, matka niepełnosprawnego Adriana, wzywała w czasie protestu przed kamerami: „Mam apel do całego społeczeństwa. Zróbcie wszystko, żeby żadna osoba z PiS-u nie weszła do żadnego samorządu!”.

Inna z matek, Katarzyna Milewicz, wystąpiła przeciw idei daniny solidarnościowej, choć akurat ta obietnica rządu winna być przyjęta jak najlepiej. Zwracając się z prośbą do szefów firm, Milewicz zachęcała: „Żebyście protestowali, nie zgadzali się na to, bo my się na to nie zgadzamy. Wolimy, żeby firmy i prywatne osoby przekazywały nam dobrowolnie pieniądze, a nie przymusowo. Prosimy was, nie zgadzajcie się na tę daninę solidarnościową”.

Przedłużający się protest ma jeszcze jedną wspólną cechę z wcześniejszymi protestami opozycji – ma stawiać władzę w sytuacji bez dobrego wyjścia. Albo zmuszać ją do stosowania siły, albo do pokazywania się w roli władzy słabej i biernej.

Protest niepełnosprawnych – osób, wobec których jakiegokolwiek zastosowanie siły musi wywołać oburzenie – do testowania władzy nadaje się wyjątkowo dobrze. Już drobny incydent, taki jak pró-

w inny ton: Czego się boicie, że się tak grodziecie?

Teraz grupy KOD postanowiły zakłócać spotkania członków rządu i polityków PiS w różnych miastach Polski. Incydent wywołany przez KOD w Gdańsku zmusił premiera Mateusza Morawieckiego do przedwczesnego opuszczenia Sali BHP. Znowu politycy opozycji zdają się zakładać, że albo protestującym pozwoli się zakłócać spotkania, albo organizatorzy będą musieli zerwać z zasadą, że każdy może wejść na spotkanie, bądź w końcu użyć siły, w trakcie czego może zawsze dojść do jakiegoś incydentu. A wtedy opozycja będzie mogła rozhuścić emocje społeczne i ostatecznie ogłosić delegitimację władzy. O tym, jak łatwo jest wywołać taki nastrój, świadczy słynny tweet dziennikarza z demonstracji pod Sejmem w grudniu 2016 r.: „Puścili gaz, to ich moralny koniec”.

Marszałek Sejmu żywi uczestników protestu i unika eskalacji konfliktu. Być

na Twitterze trafnie odparował: „Możecie być uśmiechnięci, bo nikt z PiS nie blokuje wam marszu”.

HYBRYDOWA POLITYKA NA CO DZIEŃ

W modzie jest dziś narzekanie na stosowanie przez Rosję zasad wojny hybrydowej. Moskwa wykorzystuje do swoich celów łamanie wypracowanych latami dla dobra wspólnego zasad społeczeństw zachodnich. Szacunek dla wolności słowa Rosjanie wykorzystują do rozsiewania fake newsów. Wolności politycznej do infiltrowania zachodnich partii. Wykorzystują też założenie typowe dla kultury zachodniej, że w sporze władzy z obywatelem lub mediami tych ostatnich uważa się za stronę słabszą, co daje pole do grania tymi słabszymi w konfrontacji z nieulubianym rządem.

Dokładnie to samo dzieje się w dzisiejszej polskiej polityce. Sympatię do grupy społecznej zmagającej się z cięższymi niż w wypadku większości obywateli warunkami życia wykorzystuje opozycja. A liderki protestu w Sejmie jej na to pozwalają.

Rozwiązanie sporu utrudnia jeszcze jedno zjawisko. Brak chętnych do bycia realnym mediatorem między niepełnosprawnymi i władzą. Trudno było odnieść wrażenie, by Janina Ochojska czy Lech Wałęsa chcieli szukać z protestującymi matkami sposobu wyjścia ze sporu. Chodziło raczej o pobudzenie woli oporu, a nie łagodzenie nastrojów. I znowu przypomina się spór o Trybunał Konstytucyjny. W sytuacji, gdy takie postacie jak sędzia Adam Strzembosz czy pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf bardzo szybko poparły jedną ze stron sporu, nie było już nikogo z odpowiednim autorytetem osobistym czy wynikającym z funkcji, kto mógłby przeprowadzić skuteczną misję na rzecz jakiegoś kompromisu.

Jedną ze zmór komunizmu było to, że wszystko było polityką – od sporu o brak zupy w stoczni do występów dowolnego kabaretu. Polacy żyjący w PRL porównywali się do świata Zachodu, gdzie o wiele więcej sfer życia istniało poza politycznymi afiliacjami. Na naszych oczach ta wszechpolityzacja wraca. I protest niepełnosprawnych w Sejmie jest tego kolejnym dowodem.

Gra wciąż trwa. Pytanie: Która strona zrobi w niej więcej błędów?

Przedłużający się protest ma wspólną cechę z wcześniejszymi protestami opozycji – ma stawiać władzę w sytuacji bez dobrego wyjścia. Albo zmuszać ją do stosowania siły, albo do pokazywania się w roli władzy słabej i biernej

ba interwencji straży marszałkowskiej, by nie oblepiać ścian Sejmu pocztówkami z wyrazami poparcia (strażnicy proponowali dostarczenie specjalnych tablic), doprowadził do przepychanek. Iwona Hartwich w trakcie sporu o widokówki natychmiast uderzyła w najwyższe tony. „Niech wyciągnie pan broń i zabije te osoby niepełnosprawne” – wołała.

I znowu trudno nie skojarzyć, że taktyka zajmowania pola lub – w razie reakcji – oskarżania władzy o przemoc przypomina taktykę Obywateli RP, którzy próbowali blokować marsze smoleńskie. I wtedy kierowano na pierwszą linię znane twarze, aby w razie przywrócenia porządku można było potem łatwiej wykreować męczennika. Gdy Władysław Frasyniuk próbował zablokować marsz 10 czerwca, a po przepychance z policjantem został skuty kajdankami i wyniesiony, jego zdjęcie trafiło potem na pierwsze strony wielu gazet na całym świecie. A gdy policja miesiąc później ustawiła bariery, by nie można było blokować marszu – uderzono natychmiast

może gra na zmęczenie. Za to opozycja chce protest w Sejmie wykorzystać jak się tylko da. KOD organizuje demonstracje solidarności z niepełnosprawnymi. Eurodeputowany z klubu PO Marek Plura zorganizował w europarlamencie konferencję na temat protestu.

Zwrócił się do posłów PE o podpisanie apelu do marszałka Sejmu o zapewnienie godnych warunków protestującym w Sejmie. Ponieważ rzadko wyciąga się takie wewnętrzne protesty w innych krajach na forum europarlamentu, deputowani z innych państw zapewne uznają, że na Wiejskiej dzieją się jakieś wyjątkowo skandaliczne rzeczy. A konflikt zostanie szeroko nagłośniony, tak jak niemal rok temu aresztowanie Frasyniuka.

Taka praktyka prowokowania władzy ułatwia opozycji jeszcze jeden manewr: Pokazywania się jako ofiara i jednocześnie strona sympatyczniejsza. Gdy politycy PO i Nowoczesnej chwalili się, że ich Marsz Wolności z 16 maja jest radosny i uśmiechnięty, Dawid Wildstein



Łukasz Warzecha

PiS stanął przed wyborem, przed którym nieuchronnie staje każde państwo socjalne: komu rozdawać zabierane obywatelom pieniądze, a komu ich odmówić

Protestujący w Sejmie od ponad miesiąca opiekunowie niepełnosprawnych stawiają niezmiennie żądanie dojścia w ciągu kilkudziesięciu miesięcy do gotówkowej pomocy w wysokości 500 zł miesięcznie. To okazuje się postulatem nie do spełnienia, nawet po ogłoszeniu janosikowego podatku od „bogaczy”, czyli daniny solidarnościowej.

W tym samym mniej więcej czasie rząd zdecydował się na rozdawanie po 300 zł na wyprawki dla dziatwy szkolnej i bronił zaciekle działalności Polskiej Fundacji Narodowej, wspomaganej przez spółki Skarbu Państwa sumą 250 mln zł. Ogłaszał też, że od przyszłego roku kupujący samochody elektryczne mają być wspierani przez państwo dotacją do 25 tys. zł na sztukę.

SŁABSI I CHORZY

Rzecz w tym, że akurat protestująca w Sejmie grupa – jakkolwiek by patrzeć krytycznie na zagęszczającą się wokół niej polityczną atmosferę i coraz wyraźniejsze przechylenie się w stronę opozycji – należy do tych, którym powinno pomagać nawet bardzo liberalnie nastawione państwo. To niemal personalizacja zasady pomocy potrzebującym.

Uzasadnienie znajdziemy w historii zachodniej etyki, dziś coraz bardziej zdegenerowanej. Chrześcijaństwo sprawiło, że odbiła się ona od spartańskiego wzorca brutalnego rozprawiania się ze słabymi, chromymi, nieprzydatnymi z punktu widzenia wojska. Pojawiło się pojęcie „caritas” – czynnej miłości bliźniego w połączeniu z miłością do Boga – określające jedną z trzech teologicznych cnót.

Od trzech jednak za urzędystwianie idei caritas zabrały się państwa dysponujące publicznymi pieniędzmi, mnożą się problemy. PiS stanął właśnie przed ich typowym splotem. Im bowiem więcej pieniędzy państwo zabiera ludziom

i im bardziej nabija sobie w ten sposób kabzę, tym większa jest presja, żeby za „potrzebujących” uznawać kolejne grupy, niekoniecznie faktycznie najślabsze.

Przekonanie, że państwo ma niemal niewyczerpane zasoby, a pieniądze właściwie rosną na drzewach, zostało skutecznie utrwalone przez PiS nieustającymi komunikatami o znakomitym stanie finansów. To prawda, ale jedynie częściowa. W istocie bowiem państwo ma tylko długi.

CO MA PAŃSTWO

Niedawno w ramach propagandy sukcesu cieszone się, że polski dług publiczny spadł – owszem, ale tylko w relacji do PKB, a nie w liczbach bezwzględnych. W styczniu ubiegłego roku sięgnął bowiem biliona złotych (i oczywiście nadal rośnie). Jeszcze gorzej jest, jeśli doliczy się tzw. dług ukryty, czyli te zobowiązania państwa, które nie są zaliczane do oficjalnego długu publicznego z powodu przyjętej metody jego

kalkulacji, ale przecież nie znikają. GUS na żądanie Brukseli był niedawno zmuszony oszacować te należności. Wynosiły one na koniec 2015 r. – uwaga! – niemal 5 bln zł, czyli prawie 280 proc. polskiego PKB! Odtąd oczywiście wzrosły. W gruncie rzeczy zatem polskie państwo rozdaje pieniądze, których nie ma – i to nie ma podwójnie. Raz – bo tonie w długu, dwa – bo rząd, jak słusznie mówiła Margaret Thatcher, w ogóle nie ma własnych pieniędzy, ma jedynie pieniądze obywateli. Komunikat, że sytuacja jest znakomita, ma mniej więcej taki sens jak radość człowieka zadłużonego na 100 tys., że udało mu się spłacić 10 tys., więc może szybko pożyczyć kolejne 20 tys.

Skoro jednak uruchamia się programy „500+”, „Mieszkanie Plus”, przywraca się dawny wiek emerytalny, a na dodatek rozdaje wyprawki po 300 zł – trudno się dziwić, że po niezrealizowane dotąd obietnice zgłaszają się również niepełnosprawni ze swoimi opiekunami. Wygląda jednak na to, że państwo rozdało już



Protestujący w Sejmie opiekunowie niepełnosprawnych należą akurat do grupy, której powinno pomagać nawet najbardziej liberalne państwo

FOT. ADAM CHESTOWSKI/FORUM



lekką ręką tak dużo, że w perspektywie widać dno sakiewki. Reforma, a w gruncie rzeczy antyreforma emerytalna – najkosztowniejszy prezent PiS dla obywateli – ma w ocenie prezes ZUS, prof. Gertrudy Uścińskiej, kosztować w latach 2017–2021 54 mld zł. Słabą pociechą jest, że w tym roku koszt będzie prawdopodobnie o 200 mln niższy od wcześniej szacowanego.

Państwo, hojną ręką rozdające cudze pieniądze poprzez system redystrybucji, bez sprawdzania, czy trafiają do naprawdę potrzebujących, prosi się o kolejne protesty, postulaty, żądania i roszczenia. Sztandarowym programem tej kadencji jest przecież „500+”, które – jako program w deklaracjach cywilizacyjny – nie podlega kryterium dochodowemu. Liczy się jedynie liczba dzieci poniżej 18 lat. W dodatku program realizowany jest przez wręczanie pieniędzy do ręki zamiast poprzez rozliczenia podatkowe. Taka forma w zamierzeniu pomysłodawców lepiej wiąże beneficjentów z poli-

tycznymi darczyńcami, ale też rodzi jasne skojarzenie: wyciągasz rękę po kasę, a rząd daje.

Dzisiaj nie jest zresztą jasne, jaki właściwie ma być cel „500+”. Program niby niesocjalny, w opinii sprzyjających rządowi komentatorów przede wszystkim wyrwał wielu Polaków z biedy (co jest prawdą) – lecz w takim razie jest właśnie klasycznym programem socjalnym. Inni z kolei wskazują, że „500+” napędza popyt wewnętrzny i to ma być jego główna zasługa. Najmniej oczywiste są teoretycznie najważniejsze skutki, czyli oczekiwany wzrost demograficzny.

Jeszcze jaskrawszym przykładem rozdawniczego rozpasania i populizmu jest „wyprawka plus”, czyli 300 zł dla każdego rozpoczynającego naukę dziecka. Są oczywiście w Polsce dzieci, którym pomoc w kupnie podstawowych materiałów szkolnych jest potrzebna. I taka pomoc, jeśli już ma być i pochodzić z centralnego rozdzielnika, powinna trafić jedynie do nich.

Owszem, zawiązując kryteria, łatwo byłoby wpaść w typową pułapkę państwa o rozdętym socjalu, bo przecież weryfikacja potrzebujących może wymagać budowy specjalnych struktur. Akurat w tym przypadku wszystkie elementy systemu są na miejscu: najlepiej przecież potrzeby uczniów i ich sytuację zna sama szkoła, ewentualnie miejscowe instytucje pomocy społecznej, i na ich informacjach można by się oprzeć. Wówczas jednak nie byłoby efektu kielbasy wyborczej dla wszystkich tuż przed wyborami samorządowymi.

WNIOSEK SOCJALNY

Protestujący w Sejmie wyciągnęli zatem jedynie wnioski z sytuacji. Co więcej, ich postulat wydaje się rozsądnie skrojony. Wypłata wsparcia w gotówce jest spójna z zasadą, którą rząd przyjął w przypadku „500+”: dać gotówkę, a ludzi najlepiej ją wykorzystają. W dodatku w przypadku niepełnosprawnych mówimy o ludziach, których sytuacja jest potwierdzona i zweryfikowana. Przede wszystkim jednak protestujący nie domagają się szerokiego sypania pieniędzmi. Chcą, aby trafiły tylko do osób od urodzenia niezdolnych do samodzielnej egzystencji, a to niespełna 300 tys. ludzi. Czyli mówilibyśmy o niespełna 2 mld zł rocznie.

Rząd jednak twierdzi, że ewentualna pomoc musiałaby trafić do wszystkich niepełnosprawnych,

niezależnie od tego, kiedy dotknęło ich nieszczęście. Powołuje się tu na wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2014 r., który uznał, że świadczenia powinny być identyczne niezależnie od momentu powstania niepełnosprawności, w przeciwnym bowiem wypadku łamany jest art. 32. konstytucji, który mówi: „Wszyscy są wobec prawa równi. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne” oraz że: „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny”.

Orzeczenie, choć wydane przez „stary” TK, wydaje się wyjątkowo pasować rządowi, który przekonuje, że ze względu na nie musiałby wydać na gotówkową pomoc nie niecałe 2 mld, ale aż 9 mld zł rocznie. Trudno to tłumaczyć nie traktować inaczej niż pretekst, żeby nie wydawać nic. Istotą sprawy pozostaje bowiem pytanie, kto na państwową pomoc faktycznie zasługuje. A rozsądna odpowiedź wydaje się prosta: ci, których sytuacja rodzinna wyklucza samodzielną egzystencję, a ich bliskim uniemożliwia normalne funkcjonowanie na rynku pracy. I to właśnie, a nie sztywne kryteria – w tym również nie moment powstania niepełnosprawności – powinno być wyznacznikiem pomocy. Wyrok Trybunału nie stoi tu na przeszkodzie.

Przy tym bardzo rozsądną metodą jest mechanizm „złotówka za złotówkę” zamiast twardych progów, od których pomocy się nie przyznaje. Są przecież rodziny z niepełnosprawnymi, których sytuacja wcale nie jest tragiczna. One nie muszą otrzymywać pomocy w pełnym wymiarze. Suma powinna się stopniowo zmniejszać wraz z dochodem na osobę w gospodarstwie domowym. Żeby jednak taki system opracować, trzeba spokoju, determinacji, czasu i rozsądnej legislacji. PiS czas miał i mógł przewidzieć, że wobec orgii rozdawnictwa niepełnosprawni w końcu upomną się o swoje. Tego czasu nie wykorzystał, a teraz twierdzi, że aby pomóc potrzebującym nawet w mniejszym wymiarze, trzeba zabrać pieniądze innej grupie obywateli.

Warto pamiętać, że legendarny wielbiciel sprawiedliwości społecznej, Janosik, zawisł za swoje wyczyny za „połednie ziobro” i trudno uznać to za karę niezasłużoną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał A. Ziemkiewicz

To wojna, tyle że prowadzona środkami politycznymi. I Polska jak zwykle nie ma planu „B”

Sytuacja międzynarodowa Polski nie jest tak zła, jak wynika to z artykułu Sławomira Cenckiewicza „Zdążyć przed klęską”, zamieszczzonego w poprzednim numerze „Do Rzeczy”. Jest znacznie gorsza. Dziwna sprawa, że autor, który w ocenie historii wykazuje zawsze tyle realizmu, często odwołujący się do Cata-Mackiewicza, w sprawie konfliktu z liderami żydowskimi uległ typowemu dla naszej polskiej niedojrzałości: „Eee, nie może być aż tak źle”.

Oficjalna linia państwa jest taka, że nic się nie dzieje, Polacy, nic się nie dzieje. To tylko nieporozumienia. Narosły przez lata złych rządów, ale teraz my, dobry rząd, wyjaśnimy sobie wszystko z Żydami w przyjacielskiej, otwartej rozmowie. Przecież są ludźmi przyzwoitymi, ludźmi dobrej woli.

Otóż „oczywista oczywistość” jest taka, że nie wszyscy. Nie wiem, czy stwierdzenie tego faktu już jest antysemityzmem otwartym, czy jeszcze tylko „antysemityzmem wtórnym” (tu beczelnie wykorzystuję teorię prof. Michała „Nie uporaliśmy się dotąd z brudnym, nieogolonym, obcym cywilizacyjnie chasydem w naszych drzewach genealogicznych” Bilewicz, bo skoro z łaskawości „PiS-owskiego” rządu skasował za nią bańkę z naszej podatkowej krwawicy, to wszyscy jesteśmy jej właścicielami). Tak czy owak, trzeba nazywać rzeczy po imieniu, nawet jeśli pociąga to za sobą narażanie się wpływowym środowiskom.

@

Rzeczy mają się tak – już to trzeba tłumaczyć i przypominać? – że nakazując swojej ambasadorowi zaatakować ostro Polskę za ustawę antydefamacyjną i zrobić to właśnie podczas obchodów okrągłej rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz, w chwili, gdy były na nią skierowane kamery całego świata, premier Benjamin Netanjahu rozpoczął z nami wojnę. Bez wypowiedzenia, za to skutecznie. Było to, jak od razu napisałem i podtrzymuję, wizerunkowe Pearl

Harbor. Uderzenie dokonane z premedytacją i wyrachowaniem.

Nieszczęsna ustawa antydefamacyjna – nieudolna próba skopiowania ustawodawstwa, które wywalczyli dla swojej polityki historycznej Żydzi – nie była więc, jak można by sądzić z przywoływanego tu tekstu, początkiem ani tym bardziej przyczyną czegośkolwiek. Była bezmyślnym podłożeniem się, umożliwieniem premierowi Izraela ataku, którego nikt w najczarniejszych snach nie przewidział.

Nie brak dowodów, że liderzy PiS i ministrowie byli tym, co się stało, bezbrzeżnie zaskoczeni. Nie rozumieli, o co chodzi, co się dzieje – ta ustawa to przecież tylko taki nic nieznaczący gest wobec naiwnego elektoratu. Przecież to oczywiste, że nie będziemy próbowali zamykać do więzień zagranicznych polityków ani historyków, nikogo zresztą w ogóle. Próbowali to tłumaczyć, ośmieszając się opowieściami o „zamrożeniu” ustawy i obietnicami jej „uwalenia” w Trybunale Konstytucyjnym (który tego nie mógł zrobić, bo przypadkiem akurat mu rozpatrywanie spraw w kolejności ich zgłaszania).

A przecież Benjamin Netanjahu doskonale wiedział, że ustawa jest bezczelna, że Polska nikogo nie uwięzi i nie skaze, a już na pewno nie żadnego historyka ani „ocalonego” z Zagłady opowiadającego o swych przeżyciach.

Przewidywał też oczywisty skutek tak spektakularnie przeprowadzonego ataku: że Polacy, jak to zwykle głupi Polacy, uniosą się honorem i w odpowiedzi przeprowadzą ustawę w Senacie w najszybszym możliwym terminie, a prezydent ją ekspresowo podpisze. Gdyby Netanjahu nie chciał, aby w Polsce wprowadzono takie prawo, to przy okazjiwanej przez PiS na każdym kroku uległości spokojnie mógłby ją utracić lub poprawić po cichu. Najwyraźniej właśnie chciał, żeby ją

Dziwna wojna



Polacy uchwalili i tak pięknie podłożyli się do bicia.

Oczywiście atak trafił na podatny grunt, bo od wielu lat przygotowywany i używany, szczególnie intensywnie przez postkolonialne elity III RP, których racją istnienia – wielokrotnie o tym pisałem – było przedstawianie się Zachodowi jako cienka warstwa oświeconych, z trudem tłumiąca nacjonalistyczne, antysemickie żywioły i z tej racji wymagająca nieustannie grantów, zaszczytów i wszelkiego wsparcia. Jednak nazwanie

ustawy „holocaust law”, błyskawicznie upowszechniona narracja, że Polska chce karać ocalałych z Holocaustu za świadectwa prawdy i naukowców badających Polskie zbrodnie, że sięgając po represje prawne, Polacy sami dowodzą swej odpowiedzialności za Shoah – to się nie zrobiło samo, przez

Piotra Stankiewicza „21 polskich grzechów głównych”, o której pewnie napiszę osobno, bo mam sporo szczegółowych zastrzeżeń, ale wiele obserwacji jest tam trafnych i godnych uwagi. Chociaż oczywiście nienowych – co gorsza, nie zapowiada się, żeby pisanie o nich przestało być rzucaniem jak grochem o ścianę.

Plan naszego wstawania z kolan był taki, że zaprzyjaźnimy się z Ameryką i jako jej sojusznik będziemy mogli liczyć na pomoc. Zaprzyjaźniliśmy się zresztą – to znaczy, we własnym przekonaniu – nie tyle z Ameryką, ile konkretnie z Donaldem Trumpem. Zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że w polityce sojusz niemający alternatywy oznacza pełne podporządkowanie słabszego silniejszemu.

Na dodatek polityka amerykańska ma tę szczególną cechę, że od połowy ubiegłego wieku nie zdarzył się prezydent USA, który nie byłby proizraelski. Są jednak tacy bardziej proizraelscy i mniej proizraelscy – przy czym najbardziej proizraelscy są ci, którzy są najbardziej, cokolwiek to znaczy, „prawici”. Po lewaku Obamie – uznawanym za stosunkowo mało prożydowskiego – przyszedł uważany za konserwatystę Trump i pobił w proizraelskości wszelkie rekordy. Czyni to nasz plan „A”, zakładający, że przed Izraelem obroni nas amerykański sojusznik, czystym absurdem. A planu „B” – jako się rzekło – nie było i nie ma.

Nie ma nawet świadomości, w co grają premier Izraela i sekundujący mu Żydzi amerykańscy. Ba, nie ma nawet zastanawiania się nad tym, bo przecież oficjalnie nic się nie dzieje, to tylko nieporozumienie.

Nie będę udawał, że sam wiem cokolwiek na pewno. Wydaje mi się pewne, że Netanjahu myśli podobnie jak von Moltke młodszy w 1914 r., kiedy to argumentował, że Rosja po reformach Sto-

łypina szybko rośnie i z każdym rokiem stosunek sił będzie dla Niemiec bardziej niekorzystny – więc im szybciej wywoła się wojnę, i tak nieuchronną, tym lepiej. Dzisiaj w siłę rośnie szybko Iran, rosną też inne kraje arabskie i rośnie na całym Zachodzie znaczenie imigrantów, nienawidzących Żydów nienawiścią serdeczną, którą zresztą każde kolejne dokonanie rządu Izraela w Gazie wzmacnia. Logiczny wniosek dla premiera żydowskiego państewka położonego na zboczu dymiącego wulkanu może być tylko jeden.

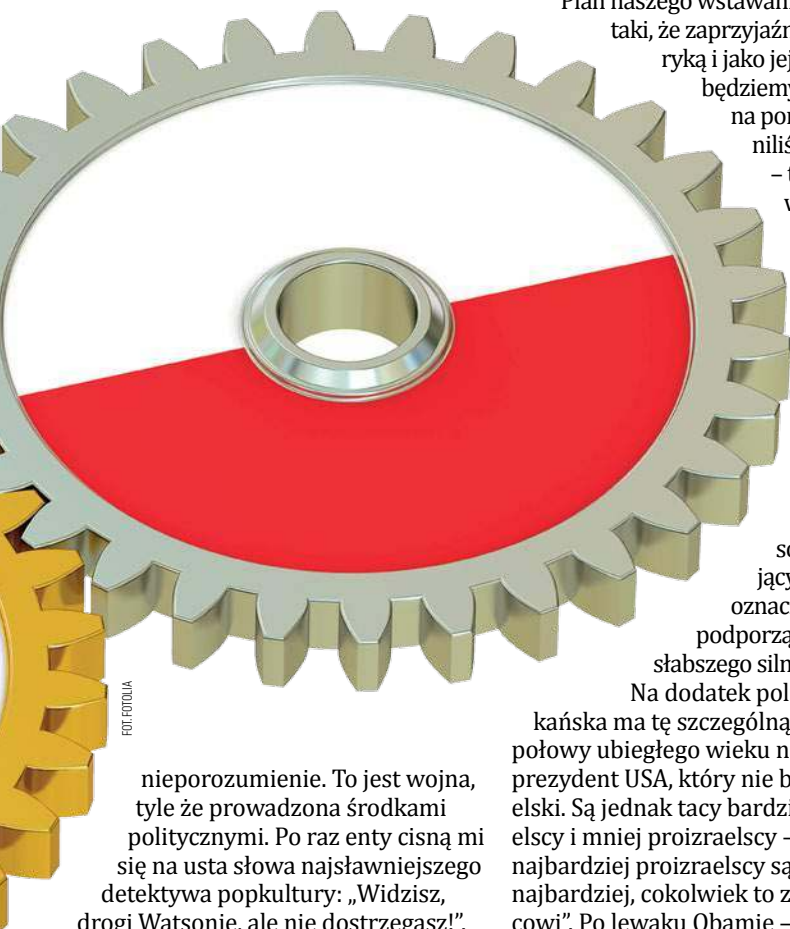
No dobrze, Izrael dąży do wojny. Jednak co ma z tym wspólnego Polska? Wydaje mi się, że po pierwsze, dążąc do prawdziwej konfrontacji, potrzebował Netanjahu na razie łatwej, „małej, radosnej wojenki”, aby podbudować swoją popularność. Poza tym w jego interesie jest wzmacnianie amerykańskich organizacji żydowskich, od lat konsekwentnie dążących do obrabowania Polski z mienia „bezsłownego”. Ta operacja może się udać tylko pod jednym warunkiem – uznania nas za sprawców Holocaustu. Żądania amerykańskich Żydów, którzy swego czasu na Zagładę patrzyli obojętnie, nie mają bowiem żadnych uznawanych w cywilizowanym świecie podstaw, poza jedną – morderca nie może dziedziczyć po tym, kogo zamordował. Logiczny z tego wniosek... wiadomo.

Jeśli rozumiemy trafnie, to to, co widzimy teraz, jest dopiero przedsmakiem ostrzału, pod jakim się znajdziemy. Przypomnijmy sobie, jak przeczolągo swego czasu Szwajcarię. Co tam jakiś Fulop – co zrobimy, gdy np. amerykańskie legislatury stanowe zaczną jedna po drugiej ogłaszać bojkot Polski? Poza bezsilnym złorzeczeniem Żydom, że są, hm, powiedzmy, podli, które oczywiście, jako dowód naszego antysemityzmu, napędzi tylko prowadzoną przeciwko nam kampanię.

Polityka, lubię powtarzać, opiera się na dwóch pytaniach: „Co nam możesz dać?” i „Co nam możesz zrobić?”. W ogóle nie odważamy się szukać odpowiedzi na drugie z nich. A jeśli odpowiedź na nie brzmi „nic”, to i pierwsze automatycznie traci sens – w takim razie oddasz wszystko, czego chcemy.

Tak, oczywiście, tłumaczyć, wyjaśniać, pokazywać... Jednak to wszystko może dać cokolwiek dopiero wtedy, gdy będziemy w stanie atakującym Polskę Żydom pokazać, że bicie Polski może zaboleć także bijącego – i że się, generalnie, nie opłaca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. FOTOLIA

nieporozumienie. To jest wojna, tyle że prowadzona środkami politycznymi. Po raz enty cisną się na usta słowa najślawniejszego detektywa popkultury: „Widzisz, drogi Watsonie, ale nie dostrzegasz!”.

@

Ta wieczna polska niedojrzałość, wytykana nam bezsilnie i bezskutecznie, choć zgodnie przez wszystkich co większych Polaków, nawet tak różnych jak Mochnacki i Norwid, Piłsudski i Dmowski, Brzozowski, Żeromski i Gombrowicz... owóż jednym z jej przejawów jest chroniczny brak planu „B”. Jeśli w ogóle mamy jakikolwiek plan, to zakłada on wyłącznie pomyślny obrót spraw. Czyste, mówiąc Wańkowiczem (jeszcze jeden do powyższej listy), „chciejstwo”. A co zrobimy, jeśli się nie uda, jeśli wystąpią jakieś przeciwności albo okaże się, że źle policzyliśmy siły? Oj tam, oj tam, nie będzie tak źle.

Mówiąc nawiasem, jest to jedna ze spraw omówionych w ciekawej książce



Tomasz P. Terlikowski

A miało być tak pięknie. SLD miał zniknąć nie tylko z sondaży, lecz także z polskiego życia politycznego, a kolorowe sweterki Włodzimierza Czarzastego miały być już tylko wspomnieniem. Niestety, nic z tego

Wracamy – oznajmił na konwencji SLD Włodzimierz Czarzasty i... stało się. Partia, która jeszcze niedawno była trupem, odżyła. W sondażach otrzymuje poparcie, które pozwala jej myśleć o wejściu do parlamentu (6 proc.), a nawet stać się trzecią siłą w nowym Sejmie (10 proc. i trzecie miejsce). Włodzimierz Czarzasty, choć jeszcze niedawno nieliczni traktowali go poważnie, dziś bryluje w mediach i mimo że zapewnia o dystansie do samego siebie („Do siebie to mam wielki, po prostu czasami nie mogę się dogonić, jak idę ulicą” – mówił w Radiu Zet) i do sondaży („Jak zacząć się pławić, to zaczną mówić: arogant, bufon, a i tak od tego uciekam kawał czasu” – mówił tamże), to nie ma wątpliwości, że musi się cieszyć. Dwa lata pracy nad wskrzeszeniem czegoś, co zdawało się być zimne jak tylna część ciała nieboszczyka, przyniosło efekty, a liderzy pozostałych sił opozycji, nie ma co ukrywać, walnie się do tego przyczynili. Na ich tle bowiem Czarzasty, który prawie ze łzami w oczach opowiada o cierpieniu byłych ubeków, wyrasta niemal na... orła racjonalności i spójności przekazu. W odróżnieniu od nich ma on także świadomość, jakie są realne potrzeby ludzi w terenie. I dlatego jego partia zyskuje w sondażach.

LEWICOWOŚĆ, ALE TAKA KONSERWATYWNA

Siłą Czarzastego, przynajmniej na tle liderów opozycji, pozostaje spójność jego przekazu. SLD pod jego kierunkiem stało się partią – i w wymiarze socjalnym, i światopoglądowym – lewicową. Na konwencji Czarzasty jasno deklarował, że... nie zamierza zmienić nic w rozwiązaniach socjalnych wprowadzonych przez Prawo i Sprawiedliwość. „Wszystkie sprawy socjalne, na które będzie pokrycie państwa, które wprowadził PiS, zostaną utrzymane.

FOT. ANDRZEJ HULIKOWSKI/FOTUM

Czarzasty – reaktywacja



Możemy dyskutować na temat modyfikacji »500+«, ale partie, które twierdzą, że trzeba go zlikwidować, albo nie wiadomo, co twierdzą, bo codziennie, w zależności od pory dnia, mają inne zdanie w tej sprawie, mówię o Platformie, się mylą” – podkreślał w czasie konwencji. To jednak nie wszystko. SLD pod kierunkiem Czarzastego uzupełniło swój program o jeszcze mocniejsze postulaty socjalne, które określa mianem trzy razy dwa tysiące. – Uważamy, że przy rozsądnym zarządzaniu finansami państwa to jest do spełnienia. Czyli każdy emeryt – najniższa emerytura 2 tys. na dziś. Każdy rencista – najniższa renta 2 tys. i to jest powiązane z najniższą płacą – tłumaczył Włodzimierz Czarzasty w TVP Info.

Nie zabrakło także strawy dla lewicy światopoglądowej, która jednak w Polsce skupia się głównie na niechęci do Kościoła (a konkretniej kleru) i kwestiach aborcyjnych. – Jesteśmy za tym, żeby kler został opodatkowany, żeby przychody Kościoła były opodatkowane. Jesteśmy za tym, żeby pomoc państwa dla Kościoła została ujawniona, bo według naszych informacji to 5 mld zł rocznie. Jesteśmy za tym, żeby religia ze szkół wróciła do sal katechetycznych. Jesteśmy za tym, żeby episkopat nie wtrącał się w bieżące zarządzanie państwem – przekonywał podczas konwencji. A w rozmowie z Pawłem Lisickim uzupełniał swój światopoglądowy program opinią, że w sali sejmowej powinny, obok krzyża, zawisnąć także gwiazda Dawida i islamski półksiężyc. Oberwało się także (choć warto przypomnieć, że w Polsce nie da się – z powodu wcześniejszych orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego – wprowadzić aborcji na życzenie) od niego PO i Nowoczesnej, gdy jej członkowie głosowali przeciwko liberalizacji prawa aborcyjnego. – Za to, co wydarzyło się w Sejmie, opozycja parlamentarna może tylko przeprosić i zamilknąć – mówił o głosowaniu nad projektem liberalizującym przepisy aborcyjne. Jednym słowem – jednoznacznie wypowiadał się we wszystkich tych sprawach, które z punktu widzenia wyborcy lewicy w Polsce są ważne. I tylko w tych – trzeba by dodać do tej konstatacji.

Czarzasty jak ognia unika kwestii, które dla jego starszych, postkomunistycznych wyborców, pozostają niestrawne w programie nowej lewicy. A zatem kwestie socjalne, obrona komunistycznej przeszłości (i to w sposób często trudny do zaakceptowania dla młodej lewicy), aborcja i antyklerykalizm są dla niego wygodnym narzędziem budowania poparcia, ale... już tzw. prawa

mniejszości seksualnych dyskretnie pomija (no, chyba że może potępić rzekomą homofobię Krystyny Pawłowicz), ma bowiem świadomość, że nie jest to kwestia istotna dla starszych jego wyborców.

KONSEKWENCJA I KONTAKT Z BAZĄ

I właśnie spójnością przekazu Czarzasty (czego zresztą ma świadomość) wygrywa z antypisowską konkurencją. On w odróżnieniu od nich ma świadomość, że dla polityka nie ma nic gorszego niż zmienianie zdania co kwadrans czy niespójność programowa. – Uczcie się, panowie, od PiS – mówił do polityków PO i Nowoczesnej. Dlaczego? Bo zdaniem Czarzastego PO i Nowoczesna pogubiły się w przekazie. – Grzegorz Schetyna ogłasza kotwicę chadecką, a następnie po sprawie aborcji wyrzuca z partii trzech chadeków. Dziwię się temu, bo przecież Platforma nie jest znana z tego, że jest za liberalizacją aborcji. To jest zupełny rozjazd – mówił w TVP1. I trudno, niezależnie od tego, jak ocenia-

Nie będę bojkotował żadnego dziennikarza albo dziennikarki bez względu na to, co kto będzie mi radził

my inne jego wypowiedzi, odmówić mu racji. Chadecka (a przypomnijmy, że taką partią, wedle własnych definicji jest PO) partia wyrzucająca posłów za głosowanie po chadecku jest przynajmniej mało wiarygodna, a głosów lewicy raczej w ten sposób także nie zbierze.

Unika także Czarzasty niepotrzebnych konfliktów z mediami, i to niezależnie od opcji. I tak, gdy politycy Nowoczesnej i PO zdecydowali się na absurdalną wojnę z Michałem Rachoniem, on odpowiada, że nie będzie bojkotował żadnego dziennikarza i że to politycy sami są sobie winni, gdy nie radzą sobie z dziennikarzami. – Polityk powinien sobie dawać radę z dziennikarzami. Pan Rachoń jest taki sam od dwóch lat. Jeżeli ktoś idzie do pana Rachonia i myśli, że go poperfumuje, że mu naleje alkoholu, że go ubierze w piżamkę i położy do snu – to nie. W związku z tym, wie pan, naprawdę apeluję do polityków o rozsądek: nie umiecie sobie dawać rady w wywiadach, to po prostu nie chodźcie na wywiady. Nie będę bojkot-

ował żadnego dziennikarza albo dziennikarki bez względu na to, co kto będzie mi radził – mówił w Radiu Zet. I choć może to razi najbardziej radykalnych wyborców antypisowskich, to z punktu widzenia SLD jest racjonalne. Tak się bowiem składa, że niemała część dawnych wyborców SLD nadal ogląda TVP Info, i to z niej czerpie wiedzę o sytuacji i wyrabia sobie opinię na temat polityków. Ci, którzy są w niej nieobecni, zwyczajnie nie mają racji.

Czarzasty ma tego świadomość, bo... tak się składa, że ma kontakt z własną bazą wyborczą. A ma go, bo zamiast oglądać TVN24, Polsat News czy nawet TVP Info, sam jedzie w teren. Kilka tygodni temu sekretarz generalny Sojuszu Marcin Kulasek opowiadał, że wraz z Włodzimierzem Czarzastym przejechali „prawie 170 tys. km, odwiedziliśmy wszystkie 16 rad wojewódzkich i ponad 160 organizacji powiatowych. Struktury to ludzie, których znamy i których pracę widzieliśmy w ich gminach, powiatach i województwach!”. I w każdym z tych miejsc długo rozmawiali (choć zapewne już bez pół literka, jeszcze bowiem w ubiegłym roku Czarzasty oznajmił, że już nie pije, bo lekarze zakazali mu tego). Nie bez znaczenia są także struktury, które SLD wciąż ma. Obecnie partia ta liczy ok. 33,5 tys. członków, a także dysponuje strukturami w 340 powiatach.

REAKTYWACJA CZY POZORY

Wszystko to każe całkiem poważnie traktować możliwość powrotu SLD na scenę polityczną. Wyborcy lewicy przecież nie zniknęli z życia publicznego, a ogromna większość z nich rozczarowała się (albo z powodu całkowitej niewrażliwości socjalnej, albo z powodu obojętności na postulaty obyczajowe) Nowoczesną i PO. To zaś oznacza, że SLD może wrócić. Nie bez znaczenia dla niego jest także mobilizacja części elektoratu postpeetpeerowskiego, który rozwścieczony być może pozbawieniem ubeków emerytur czy programem dekomunizacji nazw ulic. W tej sprawie partie postsolidarnościowe (a taką jest jednak przy wszystkich zastrzeżeniach PO) nigdy nie będą tak radykalne i wiarygodne jak postkomunistyczny SLD. On byłym ube-
kom jest skłonny uchylić nieba, a innych przyciąga spójnością przekazu, a także umiarkowaniem Włodzimierza Czarzastego, który na tle polityków „totalnie opozycyjnych” wydaje się oazą spokoju. I dlatego warto się powoli przyzwyczajać do myśli, że SLD może wrócić.



Agnieszka Niewińska

Był już posłem, rzecznikiem, partyjnym brutalem. Po wyrzuceniu z PiS zajął się PR, a teraz zadebiutował w nowej roli. Adam Hofman przepytuje polityków w programie publicystycznym

Życie po Madrycie

FOT. JUSTYNA ROBEK/ODD/VECT NEWS

W zwiastunie programu mknie ulicami Warszawy na włoskim motocyklu. Mija Sejm, Belweder, kancelarię premiera. „Codziennie przejeżdżam obok tych budynków, kiedyś w nich bywałem. Dlatego jak mało kto wiem, co tam się dzieje” – dzieli się swoimi refleksjami. „Sam tworzyłem mechanizmy władzy. Sukcesy, porażki, kampanie, intrygi... Dzisiaj patrzę na to z innej perspektywy, z dystansu” – obwieszcza, po czym zsiada z jednoślada i rusza w stronę studia portalu Wirtualna Polska. Tak program „Gabinet cieni” reklamuje nowa gwiazda Wp.pl – Adam Hofman – były polityk PiS, były rzecznik tej partii usunięty z jej szeregów wskutek tzw. afery madryckiej.

„MACIEREWICZ SHOW”

„Gabinet cieni” to program, w którym Hofman ma odpytywać tych, z którymi jeszcze niedawno zasiadał w poselskich ławach. – Na „Gabinet cieni” patrzę jak na program, w którym polityk odpowiada na pytania komentatora i znawcy polityki.

Z pewnością taka formuła jest wyjątkowa w polskich mediach – przechwalał się Tomasz Machała, wiceprezes Wirtualnej Polski, zapowiadając nowy program.

Na portal spadły gromy ze strony kolegów Machały po fachu. „Trudno mi wyobrazić sobie, że dziennikarzem zostaje jeszcze do niedawna czołowy polityk i rzecznik obecnej partii rządzącej. Tak być po prostu nie powinno” – napisał na Twitterze Andrzej Gajcy z Onet.pl, a jego redakcyjny kolega Bartosz Węglarczyk nazwał Hofmana lobbystą, zwracając tym samym uwagę na to, że Hofman miesza dziennikarstwo z PR, a firma, której jest udziałowcem – R4S – pracuje dla spółek Skarbu Państwa. R4S założona przez Mariusza Sokołowskiego, byłego rzecznika policji, oraz Michała Wiórkiewicza (współpracownika Hofmana i asystenta premierów Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego) od 2016 r. jest pod medialnym pręgierzem. Media donosiły o jej umowach na usługi, m.in. z Grupą Azoty czy Polską Wytwórną Papierów Wartościowych.

Hofman utrzymuje, że dla spółek Skarbu Państwa nie pracuje. „Lobbysta? Naprawdę Pan to napisał czy przejęli Panu konto?” – odpowiedział Węglarczykowi na Twitterze. Na prośbę o rozmowę z „Do Rzeczy” nie odpowiedział.

– Adam Hofman nie jest pierwszym byłym politykiem, który prowadzi program w mediach. To już się zdarzało na świecie – mówi prof. Jacek Dąbała, medioznawca z KUL. Z punktu widzenia etyki dziennikarskiej problem z takimi prowadzącymi pojawia się wtedy, kiedy pozorują pracę dziennikarską, a w rzeczywistości chodzi o PR, promowanie własnej osoby. Taka sytuacja może wzbudzać wątpliwości. Jeśli były polityk, człowiek działający w biznesie, decyduje się na program publicystyczny w mediach, powinien wyraźnie podkreślać, mówić widzom, że chodzi mu o biznes, zarabianie na nich, podtrzymywanie zainteresowania swoją osobą. Wtedy odbiorca ma jasność co do sytuacji.

Tomasz Machała zapewniał, że Hofman dziennikarza nie będzie udawał, a portal nie zamierza ukrywać, że to były polityk

prowadzący dziś firmę PR. – Nie zaprosiłem Adama Hofmana, żeby powiełać model radia z Torunia. Goście są tam co prawda świetni, ale prowadzący na kolanach – zapowiadał buńczucznie w rozmowie z branżowym portalem Wirtualnemedial.pl.

Machała najwyraźniej przed złożeniem tej deklaracji nie zdążył obejrzeć pierwszego odcinka programu Hofmana, którego gościem był Antoni Macierewicz. Panowie wzajemnie prawili sobie komplementy, wyliczali zasługi w wyjaśnianiu katastrofy smoleńskiej, a kontrolę nad rozmową przejął Macierewicz. – Niektórym politykom się wydaje, że dziennikarstwo to prosty zawód i każdy potrafiłby przeprowadzić wywiad. Adam Hofman pokazał, jak bardzo to nieprawdziwa teza – wobec swojego rozmówcy okazał się bezradny, nie potrafił docisnąć, wymusić konkretnej odpowiedzi na swoje pytania. To był „Macierewicz Show” – ocenia Dominik Zdort, publicysta, szef portalu Tygodnik.tvp.pl. – Gdyby na podstawie tej rozmowy wnioskować o talentach PR-owych byłego posła PiS, to należałoby powiedzieć, że nie są one wybitne. Hofman był posłem PiS, więc musiał wiedzieć, jak niewdzięcznym rozmówcą jest Antoni Macierewicz, a jednak wybrał go na swojego pierwszego gościa – co było jego pierwszym błędem. Drugi błąd był konsekwencją pierwszego: Hofman robił wrażenie, jakby bał się byłego szefa MON – dodaje publicysta.

Profesor Dąbala nie sądzi, by program Hofmana zdobył szeroką widownię, a na portalu Wp.pl został na dłużej. – To po prostu nudna koncepcja na program. Problem z audycjami prowadzonymi przez byłych polityków jest taki, że wcześniej mogliśmy usiąść przed komputerem, żeby odnaleźć dawne wypowiedzi pana Hofmana. Przekonań radykalnie nie zmienił, więc nie sądzę, żeby mógł widza cokolwiek zaskoczyć. Jego widownią mogą być co najwyżej ci, którzy dawniej z nim sympatyzowali. Był rzecznikiem partii, więc wielu odbiorców mediów będzie podawać w wątpliwość jego wiarygodność i bezstronność – ocenia medioznawca.

NOWA FIGURA SEJMOWEGO PĄCZKA

Jednak na utratę wiarygodności Hofman zapracował już jako poseł. Jeszcze niespełna cztery lata temu był jednym z czołowych polityków PiS. Nieustannie w mediach, w Sejmie otoczony wianusz-

kiem dziennikarzy gotów popisać się ripostą, złośliwym porównaniem, bon motem, który przez cały dzień wałkowa-ły telewizje, stacje radiowe czy internetowe portale. Młody polityk (rocznik 1980) miał wizerunek bezwzględego, cynicznego, nazbyt pewnego siebie i kochającego luksus, dlatego nawet wielu wyborców PiS odetchnęło z ulgą, kiedy został wykluczony z partii po tak zwanej aferze madryckiej. „Fakt” opisał wyjazd posłów PiS – Adama Hofmana, Adama Rogackiego i Mariusza Antoniego Kamińskiego – do Madrytu na spotkanie Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Znaleźli się pod lupą po tym, jak awanturę na pokładzie samolotu wywołały żony posłów. Później się okazało, że politycy, choć na spotkanie polecili tanimi liniami, to z kasy Sejmu pobrali zaliczkę na poczet podróży samochodem. W obradach uczestniczyli symbolicznie, głównie podpisując się pod listą obec-

Hofman znów jest częstym gościem w mediach. Występuje w nich już w nieco innym charakterze – jako komentator, znawca politycznego PR. – Odebrałem dużą lekcję pokory, ale widocznie było mi to potrzebne. Może to był ostatni czas, by w życiu coś zmienić? Pewien mądry, życzliwy mi człowiek powiedział niedawno: „W sumie to dobrze, że wypadłeś z polityki, bo co ty byś robił? Do końca życia byłbyś posłem?”. No właśnie, do końca życia być w Sejmie, jeszcze co najmniej trzydzieści lat... – mówił w marcu 2017 r. Robertowi Mazurkowi w „Dzienniku Gazecie Prawnej”.

DOBRE RADY DLA PREMIERA

Dzisiaj zasiadając w studiach radiowych i telewizyjnych, radzi politykom, jak mają zadbać o wizerunek, przekonać do siebie wyborców. Znów dzieli się bon motami. Premierowi Mateuszowi Morawieckiemu w RMF FM doradzał niedawno, żeby „wrócił do Excela i korpogadki,

Wiceprezes Wp.pl chwalił się, że Hofman nie będzie powiełał modelu radia z Torunia. Jednak poległ w rozmowie z byłym szefem MON

ności, by pobrać przysługującą im dietę. Hofman po usunięciu z partii nie wystartował w wyborach.

Po tym, jak partyjni koledzy wylali go z PiS, dziennikarze przestali dzwonić, a telewizje zapraszać. I jak sam opowiadał w wywiadach, pustkę zapełnił sportem. Hofman biega, ale nie jest to zwykłe rekreacyjne bieganie, tylko jego ekstremalna wersja. Jego specjalnością są ultramaratony, czyli dystanse dłuższe niż 42,195 km. Bierze udział w biegach górskich – na Śnieżkę, granią Tatr, we włoskich Dolomitach. Na swoich profilach społecznościowych umieszczał nie tylko fotografie z tras biegowych, lecz także chwalił się nową figurą i zdrową dietą. Nieustannie pokazywał zdjęcia zawartości własnego talerza: jarmuż z młodymi ziemniakami, burger z fasoli albo wegańskie danie z trufkami, botwin-ką, porem i fenkułem – zwykle oznaczono hasztagiem #hofmangotuje.

Pamięć mediów i wyborców jest krótka. Już nie wypominają mu na każdym kroku ani afery madryckiej, ani drobniejszych skandali, takich jak nagrania z wyjazdowego posiedzenia klubu PiS, na którym przechwalał się wielkością przyrodzenia.

a nie udawał kogoś, kim nie jest”, a PO przestrzegali, że ich kandydat na prezydenta Wrocławia Kazimierz Michał Ujazdowski to „Magdalena Ogórek Schetyny”.

Dawni partyjni koledzy Hofmana na razie nie rzucili się do komputerów, by oglądać go w nowej roli. – Własny program? W ogóle nie wiem, o czym pani mówi – dziwi się posłanka Elżbieta Kruk. Arkadiusz Mularczyk o programie słyszał, ale nie miał okazji obejrzeć. Z ciekawością projektowi przygląda się za to Tadeusz Cymański. – To wręcz fascynujące, jeszcze nie widziałem, ale zaraz obejrzę – deklaruje. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Chociaż kolega Hofman odszedł z polityki w atmosferze skandalu, to chyba całkiem dobrze sobie radzi w biznesie. A teraz, słysząc o obniżkach pensji poselskich, pewnie śmieje się w kułak. Nikt mu już dawnych win nie wypomina, często bywa w mediach, jest cenionym komentatorem, świetnie się teraz prezentuje. To zdolny człowiek, pokazał, jak można z klasą odejść z polityki. Zerwał mosty, ale ich nie spalił i teraz złośliwie nas nie krytykuje. Jak mnie zaprosi do programu, to rozważę tę propozycję.



Radosław Wojtas

Jego zeznania pomogły skazać gangsterów z Pruszkowa. Zainteresowanie mediów zrobiło z niego celebrytę. Masa trafił do aresztu, podejrzany m.in. o... załatwianie pracy w policji

Najtańsze bilety kosztowały 65 zł. W droższym pakiecie – za 100 zł – oprócz wejścia na spotkanie z Masą była książka z autografem gangstera celebryty. Najpierw miało ono odbyć się w Poznaniu, ale zostało odwołane. Po fali krytyki właściciel obiektu, w którym zaplanowano kontrowersyjny event, odwołał rezerwację. Nie bez trudności udało się zorganizować spotkanie z Masą w Warszawie.

Chętnych nie brakowało. Współautor bestsellerowych książek wszedł do sali strzeżony przez kilku uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Oprawa godna człowieka, na którego swego czasu pruszkowska mafia miała wydać wyrok śmierci. Czy takie spotkania nie są podejmowaniem niepotrzebnego ryzyka? – Ten strach już się zdezautował. Żyjąc ileś lat z wyrokiem śmierci, po prostu kiedyś już przestajesz o tym myśleć i się śmiesz z tego – mówił Masa w telewizji internetowej należącej do spółki, w której ma 40 proc. udziałów i jest prezesem jej zarządu.

Nie trzeba dużego wysiłku, by poznać prawdziwą, zmienioną tożsamość Jarosława Ł. (dawniej S.). Każdy w KRS może poznać jego pełne nazwisko i znaleźć adres domu pod Łodzią, w którym jest zarejestrowana jedna ze spółek, gdzie Masa jest współudziałowcem.

Narracja Masy o tym, że „śmierć towarzyszy mu każdego dnia” i jest „jednym z najlepiej pilnowanych ludzi w Polsce” może więc dziwić. Masa mówił też jednak, że jest całkowicie zresocjalizowany i jest przykładnym obywatelem, a teraz prokuratura formułuje przeciw niemu osiem zarzutów. Wraz z Masą w przestępczą działalność miał być zamieszany również m.in. naczelnik Wywiadu Kryminalnego z Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi Zbigniew G. Zdaniem śledczych istnieją mocne dowody na to, że Masa wręczał mu

Koronny celebryta

łapówki. Kłopoty z prawem ma również m.in. syn gangstera celebryty.

ZĘBY „PRUSZKOWA”

Jarosław Ł. nigdy nie był grzecznym chłopcem. – Byłem diabłem – mówił o sobie w jednym z wywiadów. Twarde pięści i postura budząca respekt były tym, co wyróżniało Masę od młodości. – Chciałem być silny i trzaskać w japo – opowiadał Wirtualnej Polsce. – Byłem troszkę grubszej kości, ale wszędzie dostawałem baty, już od przedszkola. Byłem biednym dzieckiem, a dzieci potrafią być okrutne – tłumaczył. I dodawał, że za sprawą regularnych treningów szybko się to zmieniło, a już w wieku 17 lat dorabiał, stojąc na bramce. Sprzyjały mu w tym geny. Masa to syn boksera, który nie odniósł jednak dużych sukcesów. Gdy Jarek z Komorowa pod Warszawą miał dwa lata, ojciec został w rodzinę, a opieką nad synem zajęła się matka.

Młody chłopak chodził do Technikum Samochodowego w Grodzisku Mazowieckim oraz do Zespołu Szkół Budowlanych w Pruszkowie. Szybko zajął się nielegalną działalnością: zaczął handlować walutą, poznawać ludzi z półświatka. W Pruszkowie i okolicznych miejscowościach zaczął nawiązywać znajomości, które w latach 90. zaowocowały powstaniem jednej z najbardziej bezwzględnych polskich organizacji przestępczych. Wtedy Masę poznał Mirosław Dąbrowski, ps. Misiek z Nadarzyna, który nie należał do grupy pruszkowskiej, ale znał się z najważniejszymi w niej postaciami i sam nie był w tym czasie grzecznym chłopcem. – Poznałem go w Pruszkowie, jak Wojtek [Wojciech K., pseudonim Kiełbasa – przyp. red.] go przytulił, stali pod pewexem na Prusa. Latali razem, robili różne drobne historie i tak zaczął się wkręcać, aż w latach 90. powstała grupa pruszkowska. Sam zachodzę w głowę, dlaczego Jarek doszedł w „Pruszkowie” tak wysoko. Dzięki Wojtkowi na pewno jakiś tam prestiż zdobył, gdzieś go tam Wojtek wkręcił, miał sentyment do niego – mówi „Do Rzeczy” Misiek z Nadarzyna.

„Drobne historie” zaczęły przeradzać się w poważniejsze i przynoszące coraz większe zyski przestępstwa. „Pruszkowscy” zaczęli wymuszać haracze, kraść samochody, napadać na tiry przewożące papierosy. W napadach tych brał udział również Masa. Jak wspominał już jako świadek koronny, na jednej takiej akcji mógł zarobić nawet ponad 100 tys. zł.

Gangsterzy zaczęli żyć na poziomie, o jakim w Polsce lat 90. mało komu się śniło. „Piep... Turków, kocham Pruszków” – wykrzykuje na zachowanym do dziś amatorskim nagraniu jeden z bossów grupy „Słowik”, skacząc z jachtu do wody na zagranicznym wyjeździe. Po latach w materiale TVP Masa powie, że grupa na jedną kolację potrafiła wydać kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Jednak nie wszystkie pieniądze były przez gangsterów przeznaczane na hulanki. Zaczynają się inwestycje – i w działalność nielegalną, i w półlegalne biznesy. Ogromne zyski przynoszą hazard i narkotyki. Masa otwiera w Pruszkowie restaurację La Cucaracha, a w Warszawie Planetę, jedną z najmodniejszych w tym czasie dyskotek.

Grupa się rozrasta. Młodzi lgną do Masy. – To były czasy, kiedy na samo hasło „Pruszków” ludzie dostawali czkawki. Młodzież się garnęła, chciała zabłysnąć, no i łączyła się solidna ekipa – mówi nam Misiek z Nadarzyna. Masa tworzy pod sobą pruszkowską podgrupę. „Ja byłem troszkę więcej niż kapitanem. Obojętnie, jakby nazwać, czy pułkownikiem, czy generałem, to nie byłem marszałkiem, którymi byli starzy »pruszkowscy«. [...] Ja byłem zębami »Pruszkowa«” – mówił w jednym z wywiadów.

Policja była bezsilna lub skorumpowana. – W tamtych czasach to policja bała się przestępców, a nie odwrotnie. Jak policjant po służbie na piechotę do domu w bloku wracał, to taki miał zamykać „pruszkowskich”? A kto do domu wróci? – mówi Misiek z Nadarzyna. Gangsterzy mieli też układy polityczne. „Bywaliśmy na różnych rautach. Tak jak u polityków, tak i u biznesmenów. Chcieli być z nami, chcieli popisywać się znajomością z nami. Natomiast oni popisywali się swoją wiedzą, a myśmy pilnie słuchali” – mówił Masa w reportażu TVP z 2012 r.

W 1993 r. Masa trafia na krótko do aresztu, oskarżony przez kelnerkę o gwałt. Kobieta wycofała zarzuty, ale gangster niedługo po tych wydarzeniach zaczyna współpracować z policją.

Wielkie pieniądze i poczucie bezkarności zaowocowały brutalną walką o wpływy. Na ulicach polskich miast padają strzały, wybuchają bomby. Giną nie tylko gangsterzy (m.in. Kiełbasa wprowadzający Masę w ten świat, jeden z najważniejszych „pruszkowskich” – Pershing), lecz także mający bliskie relacje z „Pruszkowem” minister sportu Jacek Dąbski. Od kul

i bomb giną też osoby postronne. Wreszcie polskie służby na poważnie zaczynają zajmować się walką z mafią. Powstaje CBŚ. W 1999 r. Masa trafia do aresztu pod zarzutem wymuszania haraczy. Idzie na współpracę. Zostaje jednym z pierwszych w Polsce świadków koronnych.

PISTOLET I MYSZKA

Chociaż ma wiele na sumieniu, to wszystkie jego grzechy mają być mu darowane. Wystarczy, że będzie zeznawał przeciw dawnym kompanom. I zeznaje. Zarząd „Pruszkowa” trafia za kratki, ale trudno tu mówić o wielkim sukcesie. Ludzie, którzy byli oskarżeni o kierowanie najbardziej bezwzględną grupą przestępczą w kraju, na zlecenie której ludzie byli porywani, torturowani, ginęli, dostają wyroki po kilka lat więzienia. Kilkanaście osób zostaje uniewinnionych. „Prokuratura poszła na skróty. Większość zarzutów oparła na zeznaniach świadków koronnych, bez wsparcia innymi dowodami” – oceniła w uzasadnieniu wyroku sędzia Beata Najjar.

Masa, na którego „pruszkowscy” mieli wydać wyrok śmierci, zmienia tożsamość. Jest wolny. Względnie, bo pod ciągłą ochroną. W innych krajach świadek koronny staje się duchem. Zmienia miejsce zamieszkania, wizerunek, wtapia się w tłum. Masa idzie inną drogą. Występuje w mediach, wydaje książki. „Masa o bossach polskiej mafi”, „Masa o kilerach polskiej mafi”, „Masa o kobietach polskiej mafi”, ostatnio... poradnik dotyczący ćwiczeń na siłowni. „Nikt w Polsce nie może się pochwalić sprzedażą 1,6 mln książek” – chwali się w swojej internetowej telewizji. I zapowiada kolejne książki. Mimo że państwo polskie wypłaca mu comiesięczną pensję (jej wysokość to tajemnica), Jarosław Ł. prowadzi kilka biznesów.

Jest aktywny w mediach społecznościowych. Opowiada o starych czasach, wrzuca zdjęcia i nagrania z lat „pruszkowskiej” beztroski. Ciepłe kraje, jachty, drogi alkohol, piękne kobiety... Raczej nie zniechęca dziesiątek tysięcy osób oglądających jego profil do omijania przestępczej drogi. Uczy się social mediów, coraz rzadziej używa wulgarnego języka, choć czasem puszcza ją mu nerwy. Zwłaszcza gdy ktoś zarzuci mu konfabulację. Zwłaszcza gdy tym kimś jest ktoś z kręgów mafijnych.

Nie tylko Masa jest aktywny w mediach. Książkę wydał też Słowik (jeden z bossów „Pruszkowa”), Chińczyk (gangster „Pruszkowa”) prowadzi profil na Facebooku i kanał na YouTube, była żona Słowika

też wydaje książki, występuje w mediach, a na Facebooku jej profil oprócz imienia i nazwiska zawiera dopisek „Królowa Życia”.

Większość wymienionych to wrogowie Masy. W Internecie przerzucają się wzajemnymi oskarżeniami. Odbiór ich internetowych potyczek zdaje się dla nich ważny. „Tego hejtu jest OK, dużo, tylko zobacz, ile jest lajków. Gdyby wszyscy ci, którzy piszą hejt, i wszyscy użytkownicy, którzy lajkują, gdyby ich porównać, no to niewspółmiernie wielka armia jest tych ludzi, którzy lajkują” – opowiadał były gangster na YouTube.

Masa już jako popularny autor skonfliktował się również z Andrzejem Gołotą. Zarzucał bokserowi, że walkę z Michaellem Grantem (którą polski pięściarz wygrywał, ale w 10 rundzie zszedł z ringu) ustawił Pershing, bo postawił na przegraną Polaka. Gołota pozwał Masę i wygrał w pierwszej instancji.

Swojej aktywności nie ogranicza do wąskiej grupy tematów. Mówi nawet o polityce. „Bardzo lubię Biedronia. Mam dużo znajomych, którzy są gejami, i to są naprawdę świetni ludzie” – wyznał „Super Expressowi”. Czasem wrzuca zdjęcia z plaży czy z dobrej restauracji. „Nie potrafiłem się oprzeć, bo mnie zadziwiło to miejsce, naprawdę świetny posiłek tam zjadłem” – wyjaśniał zapytany o to, czy powinien upubliczniać informacje o miejscach, w których bywa. Niedawno zorganizował konkurs. Fani mieli przysyłać kreatywne zdjęcia z jego książką. No i nadsyłali. Jedna z czytelniczek sfotografowała się w koronkowych majtkach na tle wanny, ktoś wysłał zdjęcie swojego dziecka „czytającego” jedną z książek Masy, ktoś zaaranżował scenkę gangsterskiej egzekucji z trzema bmw w tle.

Misiek z Nadarżyna twierdzi, że Masa może sobie pozwolić na celebrytstwo, bo wie, że nic mu nie grozi, a kominiarka i ochrona to część kreowanego wizerunku. – W Łodzi wszyscy wiedzą, gdzie chodzi na siłownię, gdzie je. Gadałem ze starymi „pruszkowskimi”, każdy już to olał i się śmieje. Kto by się miał mścić? I za co? Ktoś ukradnie rower i dostaje pięć lat, chłopaki samochody kradli, dostawali po 12 lat, a za kierowanie grupą pruszkowską były wyroki po pięć-sześć lat. Gdyby były mocne dowody, to za taką potężną grupę dostaliby po 25 lat. To kto się na nim będzie mścić? – mówi Mirosław Dąbrowski.

Profesor Brunon Hołyst, ceniony prawnik i kryminolog, nie ma wątpliwości, że



nie tak powinno wyglądać życie świadka koronnego. – Nie słyszałem o tego rodzaju praktykach, by świadek koronny został celebrytą. Tak bez wątpienia nie powinno się stać – ocenia profesor. I dodaje, że policja powinna nie tylko ochraniać Masę, lecz także go kontrolować. – Powinien być monitorowany, dla policji nie powinno być zaskoczeniem, że popełnił kolejne przestępstwa. I powinna mu również pomóc w resocjalizacji, gdyby zauważyła jakieś działania świadczące o powrocie na przestępczą drogę – mówi prof. Hołyst.

NOWI KOLEDZY MASY

Tak jednak najwidoczniej nie było. A ani biznes, ani praca nad kolejnymi książkami, ani status celebryty Masie nie wystarczały. W listopadzie 2017 r. wątek Masy przewiął się w śledztwie prowadzonym przez lubelski wydział Prokuratury Krajowej. Dochodzenie dotyczyło wymuszeń rozbójniczych i oszustw dokonanych przez zorganizowaną grupę przestępczą. Z wieloletkowego dochodzenia wyodrębniono sprawę Masy. W grę wchodziły oszustwa i korupcja.

Kilka miesięcy pracy pozwoliły na zebranie – zdaniem prokuratury – mocnych dowodów. 16 maja zatrzymano gangstera i pięć innych osób. Najcięższe zarzuty pod adresem Jarosława Ł., o których mówi prokuratura, to wyłudzenie kredytów z ośmiu banków na łączną kwotę prawie 700 tys. zł, ale też korupcja i powoływanie się na wpływy.

Kiedyś to policja i prokuratura „odwróciła” Masę. Tym razem było inaczej. Prokuratura zarzuca Zbigniewowi G., naczelnikowi Wywiadu Kryminalnego z Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi, że przyjmował od świadka koronnego korzyści majątkowe. Masa nie płacił

pieniędzmi, ale... sterydami. Policjant miał też przyjąć od gangstera ok. 2 t pelletu, czyli materiału grzewczego o wartości ok. 1,5 tys. zł. Co Masa dostawał w zamian? Informacje o toczących się postępowaniach i przychyłność. Relacje gangstera i wysokiego rangą funkcjonariusza policji były na tyle dobre, że Masa miał obiecać mu łapówkę w zamian za pozytywne rozstrzygnięcie rozmowy kwalifikacyjnej kandydata do służby w policji. Policjant został zawieszony w obowiązkach i tymczasowo aresztowany.

Ponadto, współdziałając z innymi osobami, miał oszukać przedsiębiorcę. Firma budowlana położyła kostkę brukową na posesji zajmowanej przez Masę, ale nigdy nie otrzymała zapłaty. Wartość usługi i materiałów szacuje się na ok. 160 tys. zł. Gangster miał też składać fałszywe zeznania w sprawie o wykroczenia drogowe.

Wśród osób, które usłyszały zarzuty, jest również syn Masy – Mariusz Ł. Wspólnie z ojcem i łódzkim przedsiębiorcą Wojciechem Z. mieli skorumpować urzędnika II Urzędu Celnego w Łodzi w związku z toczącym się przeciwko synowi Masy postępowaniem w sprawie nieodprowadzenia należnego podatku z tytułu sprowadzenia do kraju audi Q5.

Prokuratura zaznacza, że sprawa jest rozwojowa. Nie wyklucza ani kolejnych zatrzymań, ani rozszerzenia zarzutów. Masa nie przyznał się do winy, ale trafił do aresztu. Grozi mu 10 lat więzienia.

Czy straci „koronę”? Jest wiele osób, które twierdzą, że nigdy nie powinien jej dostać. W książce Sylwestra Latkowskiego i Piotra Pytlakowskiego „Koronny nr 1. Pseudonim Masa” Janusz Kaczmarek, były prokurator krajowy i minister spraw wewnętrznych, który brał udział w pracach nad nowelizacją ustawy o świadkach koronnych, mówi: „Jest przykładem, kto nie powinien być świadkiem koronnym. Wynikało to z informacji o jego wysokiej randze w strukturach kierowniczych, ba, nawet o udziale, a przynajmniej takie pojawiały się informacje, w zabójstwach, jak również wszelkiego rodzaju problemów związanych z jego ochroną, gdzie w zasadzie w którymś momencie poczuł się bardziej pewnego rodzaju celebrytą, występującym w programach telewizyjnych, wydającym coraz więcej książek, problemów z jego majątkiem i informacji, że dopuszcza się, będąc świadkiem koronnym, kolejnych czynów przestępczych, co tak de facto eliminuje świadka koronnego z tego, żeby być tym świadkiem”. © Wszelkie prawa zastrzeżone



„W korporacji nauczyłem się warsztatu
– to istotne, gdy później budujesz własny biznes”

Nowy program o biznesie, samochodach i rynku kapitałowym
#BIZNESwDRODZE

Na program zapraszają:



Oglądaj wyłącznie na
www.inwestorzy.tv

Ambasadorka Polski



**Z Arael Zurli, autorem
książek biograficznych
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert**



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Aktorkę Helenę Modrzejewską określano mianem ambasadorki Polski. Na wyrost?

ARAEŁ ZURLI: W pełni sobie na to miano zasłużyła. O swojej ojczyźnie pamiętała wszędzie, dokądkolwiek się udawała, i wykorzystywała każdą okazję do opowiedzenia cudzoziemcom o tym nieistniejącym na ówczesnych mapach kraju. Marzyła o wprowadzeniu na amerykańskie sceny sztuk polskich autorów (niestety, nie udało się to z powodu braku dobrych tłumaczy). Wspomagała finansowo polskie instytucje kulturalne.

Kto był jej ojcem?

Oficjalnie – urzędnik miejski Michał Opid, z którym związała się jej owdowiała matka Józefa Bendowa z domu Misel. Helenkę, jako dziecko nieślubne, zarejestrowano więc pod panieńskim nazwiskiem matki, ale na co dzień nazywano Opidówną. Nieoficjalna, bardzo romantyczna wersja głosiła, że prawdziwy ojciec to książę Władysław Sanguszko z podkrakowskich Gumnisk, szczególnie iż jego legalna córka, również o imieniu Helena, była do Modrzejewskiej niezwykle podobna. Obie Heleny znały się i darzyły wielką sympatią.

Czemu bohaterka książki związała się z człowiekiem żonatym?

Gustaw Adolf Sinnmayer (Zimajer), 15 lat starszy od Heleny, był kolegą jej najstarszego brata Józefa, więc w domu Bendów pojawiał się bardzo często. Pomagał pani Bendowej w interesach, z młodszymi dziećmi odrabiał lekcje, zabierał całą rodzinę do teatru, wprowadził też zwyczaj głośnego czytania książek. To on – wbrew woli matki – nakłonił Helenkę do kształcenia się w kierunku aktorskim, załatwiając jej lekcje gry i śpiewu. Dorastająca dziewczyna miała do niego bezgraniczne zaufanie, które prawdopodobnie z premedytacją wykorzystał, czego efektem stała się nieślubna ciąża. Był już żonaty z młodszą, zamożną wdową, ale losy tego małżeństwa nie są nam znane.

Dlaczego Helena przybrała pseudonim?

Chodziło o to, pod jakim nazwiskiem będzie występować na scenie. Miała już dziecko, więc nie mogła użyć nazwiska Misel, ponieważ musiała udawać mężatkę. Żonaty Zimajer nie mógł jej użyć swojego, aby nie zostać jawnym bigamistą, natomiast nazwisko Opid nikomu się nie podobało. Teatralny kolega zaproponował, więc „Modrzejewską” i odtąd Helena z Gustawem przedstawiali się jako państwo Modrzejewscy; tak też Helena pisała o byłym partnerze we wspomnieniach.

Jej małżeństwo wywołało skandal towarzyski?

Legalnym mężem aktorki został Karol Bodzenta Chłapowski z dobrej wielkopolskiej rodziny, który ujrawszy ją na scenie, zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nie był typem uwodziciela, raczej roztargnionego fajtlapy, ale ślub z nim stanowił dla aktorki ogromny awans społeczny. Rodzina Chłapowskich przyjęła to z najwyższym oburzeniem, z czasem jednak ułagodził ją urok Heleny i tylko najstarszy brat Karola pozostał nieprzejednany do końca życia. Należy podkreślić, że Modrzejewska nie była już skromną prowincjonalną aktorką, lecz wielką gwiazdą, uwielbianą za talent i urodę. Dzięki obopólnym ustępstwom i autentycznej wzajemnej miłości małżeństwo okazało się bardzo szczęśliwe.

Nie zachowały się filmy utrwalające jej kunszt? Ani nagrania jej głosu?

Filmy były wtedy rzadkością, ale wydaje się dziwne, że nikt nie utrwalił głosu tak niebywale popularnej aktorki. Zwłaszcza w Ameryce musiały być jakieś nagrania, lecz może nie dochowały się do naszych czasów. Nie ma powodu tego żałować. Poziom ówczesnej fonografii był taki, że z czarownego głosu Modrzejewskiej pozostałoby zapewne zniekształcone skrzeczenie, a my dziwilibyśmy się, co tak zachwycało jej



ARAEŁ ZURLI
„NA WSKROŚ
PIĘKNA. HISTORIA
HELENY
MODRZEJSKIEJ”
ISKRY 2018

współczesnych. Nie mówiąc już o tym, że styl gry aktorskiej również znacząco się zmienił od tamtych czasów, więc dzisiaj niekoniecznie musiałyby wzbudzać entuzjazm.

Jakie były najsławniejsze kreacje Modrzejewskiej?

Przed wszystkim tytułowa w „Marii Stuart” Schillera, zagrana przez nią aż 620 razy. Największe wrażenie wywierała scena przed egzekucją, gdy pogodzona z Bogiem i własną śmiercią królowa powoli wstępuje na szafot, szepcząc z posagowym spokojem psalm „De profundis”. Często wcielała się też w rolę lady Makbet, zupełnie nieprzystającej do charakteru Modrzejewskiej, która usilnie starała się wydobyć z tej bezwzględnej zbrodniarki okrucy człowieczeństwa. Dlatego widzom najbardziej zapadała w pamięć scena somnambulizmu, gdy postać w białym nocnym stroju z rozpaczliwym jękiem snuła się po scenie, obłąkańczo ocierając dłonie z nieistniejącej krwi. Natomiast jako Rozalinda z „Jak wam się podoba” Modrzejewska zachwycała promienną urodą oraz wspaniałą figurą w obcisłych renesansowych spodenkach, ponieważ grała dziewczynę przebijającą się za chłopca. Jej Julia była nie tylko liryczna, lecz także namiętna: widzowie ujrzeni, jak przechodzi przez nią dreszcz, gdy Romeo po raz pierwszy ją pocałował. Publiczność uwielbiała Modrzejewską również w utworach mniej ambitnych: jako otrutą przez rywalkę XVIII-wieczną francuską aktorkę w „Adrienne Lecouvreur”, umierającą na gruźlicę szlachetną kurtyzanę w „Damie kameliowej” czy historyczną Gilbertę we „Frou-Frou”. W tej ostatniej roli paliła na scenie papierosy!

Dorobiła się na scenie majątku?

Zarabiała w Ameryce olbrzymie sumy, ale miała również ogromne wydatki. Jako gwiazda musiała olśniewać, co wymagało kosztownych strojów, klejnotów, zatrzymywania się w najdroższych hotelach, wręczania wysokich napiwków. Poza tym pomagała pozostawionej w Polsce licznej rodzinie, która z czasem nauczyła się bezwzględnie ją eksploatować. Dużo pieniędzy pochłaniało też rancho, nieudolnie prowadzone przez Karola.

O miano aktorki numer jeden konkurowała z Sarah Bernhardt i Eleonorą Duse. Z jakim skutkiem?

Mówiąc najkrócej – Modrzejewska była gwiazdą amerykańską, one – europejskimi. Miały odmienny styl gry. Obydwie przeżyły ją o kilkanaście lat, więc ich pamięć zdążyła się mocniej utrwalić, co można nazwać pośmiertnym zwycięstwem.

Salonka do dyspozycji łagodziła trudy artystycznych wojaży po USA?

Podczas objazdów Modrzejewskiej najbardziej dokuczały kwestie związane z noclegami w hotelach. Występy kończyły się późnym wieczorem, a żeby zdążyć na pociąg, należało wstać wcześniej rano, tymczasem bezwzględnie potrzebowała ośmiu godzin spokojnego snu. Salonka zapewniała komfort, lecz i tak praca w trakcie tournée była mordercza. Pokonywano ogromne odległości, występowano w dziesiątkach miast, zmieniały się klimat, kuchnia, publiczność, zaś aktorzy musieli się do tego wszystkiego dostosować. Czasami naprędce zmieniano sposób poruszania się na scenie, ponieważ miejscowe dekoracje zostały rozmieszczone zupełnie inaczej, niż wymagała tego treść sztuki. Garderoby były z reguły brudne, ciasne i niedogrzone. Nie zawsze znajdowano czas na porządną posiłek. Modrzejewska musiała udzielać wywiadów, przyjmować zaproszenia na przyjęcia, pokazywać się publiczności także prywatnie, zawsze nienagannie ubrana i uczesana. Męczyło ją to dużo bardziej niż gra, zresztą cyfry mówią same za siebie: w ciągu 30 lat Modrzejewska objechała z występami Amerykę 23 razy, ostatni raz w wieku 67 lat, gdy była już bardzo wyczerpana śmiertelną – jak się potem okazało – chorobą. W przerwach bynajmniej nie wypoczywała, lecz płynęła do Europy na kolejne występy.

W tamtych czasach sztuki szybko schodziły z afisza, a aktorzy musieli znacznie bardziej obciążać pamięć...

Przykładem są poznańskie występy Modrzejewskiej, podczas których ujrzał ją Karol Chłapowski. Przez trzy miesiące zagrała 38 razy w 30 sztukach, na ogół bardzo ambitnych, w swoich najlepszych rolach, a do tego doszło jeszcze pięć premier. Co oznacza, że pięciu dużych ról musiała się uczyć od zera! Wskutek ciągłych

zmian repertuaru na przyswojenie sobie nowej roli aktor nierzadko miał tylko parę dni. Oczywiście, że pomagali mu suflerzy, ale w przypadku długich monologów należało jednak polegać na własnej pamięci, niekiedy zawodnej. Helenie tekstowe potknięcia na scenie się nie zdarzały. Nie korzystała też z pomocy suflera.

Użyła imienia bohaterce „Ogniem i mieczem”, gdyż była niespełnioną miłością autora powieści?

Henryk Sienkiewicz rzeczywiście tajemnie kochał się w starszej od niego o sześć lat Modrzejewskiej, już wówczas pani Chłapowskiej, więc powieściowa kniaziówna Helena ma także jej aparycję: „Była to młoda panna wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych”, która miała oczy „czarne, aksamitne a łzawe, a mieniące się, a ogniste”. Jej głos wydawał się „tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fletów”.

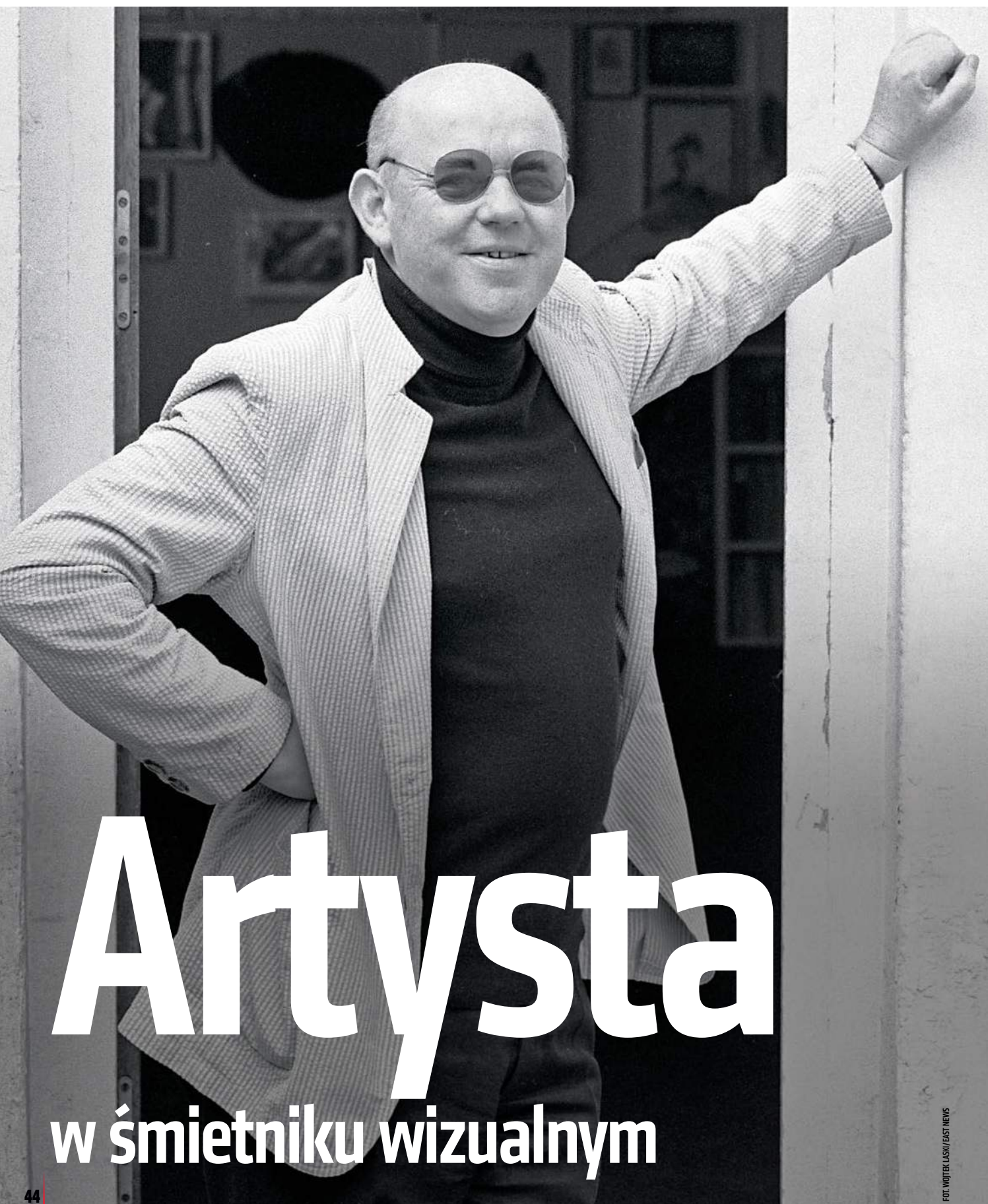
U schyłku życia związała się z Rycerzami Kolumba...

To istniejąca do dzisiaj katolicka organizacja założona w 1882 r., działająca wówczas na gruncie charytatywnym. Oboje Chłapowscy byli głęboko religijni i brali czynny udział w życiu parafialnym niezależnie od aktualnego miejsca zamieszkania. Zajmowali się także dobroczynnością, niekiedy pojmowaną w bardzo staroświecki sposób, bo Helena szyła sukienki dla biednych dzieci i ubierała dla nich lalki pod choinkę. Miała na to czas pod koniec życia, gdy rozstała się z teatrem, co uczyniła głównie wskutek nasilającej się choroby. Cierpiała na przewlekłe zapalenie nerek, tzw. zespół Brighta, w tamtych czasach nieuleczalny.

Objawiało się to częstymi przeziębieniami, kaszlem, katarrem oraz bólami głowy połączonymi z niedającą się opanować sennością. Umarła w Wielki Czwartek 8 kwietnia 1909 r., mając 69 lat, i zgodnie ze swoją wolą została pochowana w rodzinnym grobie na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Araeł Zurl – pseudonim tajemniczego autora/ autorki biografii luminarzy kultury polskiej: „Bagienna niezapominajka. Nieznane życie Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”, „Wojciech Kossak. Malarz polskiej chwały”, „Szkło i brylanty. Gabriela Zapolska w swojej epoce”. Niedawno do księgarni trafiła książka pt. „Na wskroś piękna. Historia Heleny Modrzejewskiej”.



Artysta

w śmietniku wizualnym



Joanna Bojańczyk

Wielka wystawa wybitnego grafika Romana Cieślewicza, twórcy projektowania graficznego, w Muzeum Sztuki Zdobniczej w Paryżu

Dobrze, że na stulecie odzyskania niepodległości przypomina się nie tylko spiżowych bohaterów historycznych, lecz także ważne postacie współczesności, do tego mniej znane. Retrospektywa twórczości wybitnego grafika Romana Cieślewicza zorganizowana przez paryskie Musée des Arts Décoratifs wspólnie z Instytutem Adama Mickiewicza dobrze temu służy. Młodsze roczniki nie znają Cieślewicza, pamięta go głównie środowisko artystów oraz starsze pokolenie czytelników z sentymentem wspominających dawny miesięcznik „Ty i Ja”. Ten fenomenalny magazyn czasów PRL sukces zawdzięczał

w dużej mierze właśnie Cieślewiczowi, jego dyrektorowi artystycznemu.

Urodzony w 1930 r. we Lwowie Cieślewicz skończył krakowską ASP w roku 1955. W tym przedpaździernikowym czasie trzeba było wypowiadać się konspiracyjnie i być może dlatego działająca już od połowy lat 50. XX w. słynna polska szkoła plakatu okazała się tak nowatorska i tak twórcza. Przemawiała niedośłownie, operowała skrótami, abstrakcją, skojarzeniem. Twórcy nie szukali tego, o co dzisiaj walczą wydawcy – masowego czytelnika. Zwracali się do elity i ani się tego nie wstydziła, ani tego nie ukrywali. Na luksus sztuki niekomercyjnej mogli sobie pozwolić, bo państwo nie wymagało, żeby artystyczny plakat przełożył się na korzyści materialne. Jeśli coś reklamowało, to teatr, film, festiwal – wydarzenia, które i tak finansowało państwo.

A jednak te ambitne poczynania nie wystarczały twórcom. Szukali swobody, nowych inspiracji.

Z gomułkowskiej Polski stłamszonej ideologicznie i wynędzniałej materialnie tłumnie wyjeżdżali muzycy, filmowcy, pisarze. I Cieślewiczowi „mała stabilizacja” przestała wystarczać. W 1963 r. wyjechał

do Paryża, podążając za żoną rzeźbiarką Aliną Szapocznikow.

OBSESJA MASY

Od razu został zaangażowany przez Petera Knappa w magazynie „Elle”. Najpierw jako szef makiety pisma, zaraz potem jako dyrektor artystyczny. Wówczas był to magazyn nie tak komercyjny jak dziś, ale ambitny, nieobawiający się nowych rozwiązań, nieschlebający czytelnikowi. Cieślewicz pracował też dla „Vogue’a”. Praca w magazynach zapewniła mu rozpoznawalność, a dzięki niej – nowe propozycje. Projektował okładki popularnych livres de poche, książek kieszonkowych, które wychodziły w wielotysięcznych nakładach. Zaangażował się we współtworzenie nowego magazynu sztuki „Opus”, został pierwszym szefem agencji grafiki M.A.F.I.A. Od 1975 r. wykładał w paryskiej Ecole Supérieure des Arts Graphique. Swoje prace wystawiał jako członek Międzynarodowego Związku Grafików.

Tym, co najbardziej uderzyło Cieślewicza po przyjeździe do Francji, był zalew prasy, wszechobecna powódź obrazów codziennie atakujących wyobraźnię

REKLAMA

PRESTIGE MJM, VECTOR MANAGEMENT I UNITED TALENT AGENCY PREZENTUJĄ

AN EVENING WITH STEVEN WILSON

12 lipca 2018
Hala Stulecia we Wrocławiu

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl, EMPIK

NOWY ALBUM **TO THE BONE** STEVENWILSONHQ.COM



Prestige 10 lat MJM

ANTYRADIO

cgm.pl

wprost

Multikino

PO RZECZY

empik

GAZETA BANKOWA

pap

Gitarzysta

PRESS SERVICE

WP

STRÖER

VIXON

■ i zaraz znikających, aby dać miejsce nowym. „Masa, masa jako taka zawsze mnie fascynowała – opowiadał. – Masa sztukasów, niemieckich bombowców, które widziałem na niebie w wieku dziecięciu lat. Tamta masa mnie przerażała. Masa tupolewów, którą jako 13-latek widziałem koło Nowosybirsk, była wciągająca. Masa drukowanego papieru, którą zobaczyłem w Paryżu, była szokująca. Masa informacji, gazet, obrazów, które w poniedziałek zalewają paryskie śmietniki. Mam obsesję masy. Przemijająca masa obrazów. W niej widzę obraz współczesności”.

ŚMIETNIK WIZUALNY

Paryska wystawa prezentuje chronologicznie i tematycznie 700 dzieł Romana Cieślewicza. Rysunki, kolaże, fotomontaże, szkice, plakaty, projekty, okładki, zapiski – zebrane przez kuratorkę wystawy Amélie Gastaud, specjalistkę od twórczości Cieślewicza. Po raz pierwszy zaglądamy do archiwów artysty udostępnionych przez jego żonę Chantal Petit Cieślewicz, która była także na wernisażu.

Roman Cieślewicz czujnie reagował na rzeczywistość – codziennie przeglądał gazety i magazyny, wycinał, odkładał, segregował, układając z języka mediów własny język. W jednej z sal odtworzono jego pracownię mieszczącą się w dozorcy domu w podmiejskim Malakoff. Na stole nożyczki, tubki kleju, wycinki z gazet. Na półkach 350 segregatorów i pudeł podzielonych na tematy – surowiec do dalszej pracy: Archimboldo, Architektura, Auschwitz, Egipt, Einstein, Kantor, Katastrofy, Nogi, Lenica, Oczy, Piosenki, Psy i koty, Religia, Rosja, Samochód, Topor, Wałęsa, Witkiewicz...

Fragmenty kalendarzyka pokazują, że w rozkładzie zajęć Cieślewicza nie istniał czas wolny. Godziny, dni, miesiące szczelnie wypełnione miał pracą.

WYOSTRZAĆ SIATKÓWKĘ

Miał krytyczne spojrzenie na świat. Nie obawiał się deformacji obrazów, porządek rzeczy służył mu do tego, żeby go kwestionować. „Zastanowić się nad tajemniczym przepływem rzeczy, nieustannym tworzeniem nowych historii. Rolą grafika jest wyostrzać siatkówkę, walczyć z banałem reklamy” – uważał. Ze śmietnika wizualnego składał własną rzeczywistość, banał przekształcał w absurd. „Nie jestem artystą. Kiedyś

jeszcze w Polsce Stanisław Jerzy Lec ostrzegł mnie, że uczciwość artystyczna jest przeszkodą w zostaniu artystą. I dlatego uważam się za członka bractwa rzemieślników obrazu. Plakaty robię jak szewc buty, dzisiaj szewcy są gatunkiem ginącym. Plakaciści też. Szkoda, bo bardzo lubię to, co robię” – wyznawał.

Che Guevara, marksistowski rewolucjonista zamordowany przez armię boliwijską w latach 60., funkcjonuje jako superbohater lewicującej Europy lat 60. Ulice i młodzieżowe pokoje pełne są plakatów z jego podobizną z fotografii Kubańczyka Alberto Kordy. Cieślewicz poddaje ten wizerunek obróbce: zaczerpnia kontury głowy i czapkę, dodaje tło różowe i pomarańczowe, na twarzy bez

Roman Cieślewicz czujnie reagował na rzeczywistość – codziennie przeglądał gazety, układając z języka mediów swój własny język

rysów umieszcza hasło „Che si”. Zdjęcie ukazuje się na okładce trzeciego numeru magazynu „Opus”, poświęconego rewolucji kubańskiej, i od razu zostaje ikoniznym symbolem politycznym, sztandarem studenckich buntów z 1968 r.

Na warsztat Cieślewicza dostaje się też Mona Lisa, emblemat światowego malarstwa, który w XX w. stał się masowym obrazkiem doklejającym, gdzie się da. Sparodiował go już Marcel Duchamp, potem tajemnicza Włoszka dostawała się kolejno w łapy Salvadora Dalí, Andy’ego Warhola, Fernanda Légera. Nożyczki Romana Cieślewicza każą jej przechodzić następne transformacje: jej twarz zbliża się i oddala, dzieli się na setki kawałeczków, staje się cyklopem, Mao Tse-tungiem, Che Guevara. „Piękna nie jest moim zdaniem właściwym słowem na określenie Mony Lisy. Dla mnie jest ona raczej pociągająca, przenikliwa. Potrafi przekazać geopolityczny ton naszej epoki, zdemaskować jej hipokryzję” – oceniał artysta.

REKLAMA ŚMIERDZI

Gdy wyjeżdżał z Polski w wieku 33 lat, był już uznanym artystą z setką plakatów na koncie, wieloma nagrodzonymi. W niespełna dziewięć lat po przybyciu do Francji miał pierwszą wystawę – i to w paryskim Musée des Arts Décoratifs. W roku 1993 równie

ambitna placówka Centrum Pompidou poświęciła mu retrospektywę, muzeum w Grenoble wystawiło go w roku 2001. Uczestniczył w pięciu wystawach zbiorowych w nowojorskim Museum of Modern Art.

Oko, koło, kolor czerwony, powtarzalność to ulubione motywy Cieślewicza. Oko, czyli najistotniejszy wyraz osobowości człowieka. Koło to wspomnienie Lwowa i okrągłych bochenków chleba, po który małego Romana posyłano do sklepiu Izaaka Weintrauba... W kolażach repetytywnych jeden motyw powtarza się rytmicznie w dziesiątkach identycznych serii. Zdjęcia modelek, aktorek, muzyków pop codziennie uparczywie i nachalnie atakują z mediów.

Ale u Cieślewicza ta powtarzalność staje się kpina ze współczesności.

– Miał umiejętność odpowiadania na świat, robił to nieustannie, w każdym temacie, na każdy dostępny sposób – mówi grafik i scenograf Mariusz Chwedeżuk, przyjaciel Cieślewicza z polskich czasów.

– Nowatorstwo Cieślewicza polegało na odwróceniu się od uroków i prawideł tradycyjnej grafiki wydawniczej, w której tekst nie wchodził w zaskakujące interakcje plastyczne z ilustracją – ocenia krytyk sztuki Andrzej Biernacki. – On patrzył w stronę rozwiązań zastosowanych w magazynach zachodnich lat 50. i 60., m.in. autorstwa Warhola, a także we współczesnej sztuce, np. u Rauschenberga. Stamtąd zestaw chwytów, które Cieślewicz potrafił wykorzystać i twórczo wzbogacić. Multiplikacje motywów, przeskalowania ich rozmiaru na stronie, rozmijanie się plamy barwnej z rysunkiem, dwubarwność, monochromatyzm, odwracanie ilustracji do góry nogami, i „wchodzenie ilustracji na tekst”... Priorytetem była graficzna kompozycja strony, ale sam tekst był tylko elementem układu całości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa organizowana jako część międzynarodowego programu kulturalnego „Polska 100” w ramach programu wieloletniego „Niepodległa” na lata 2017–2021.



Piotr Gociek

Film o Hanie Solo niemal w całości składa się z wyjaśnień. Czas zmienić nadtytuł „Gwiezdne wojny” na „Gwiezdna nostalgia”

Solo

szybki i wściekły



Wyscigi samochodów z serii kinowych hitów „Szybcy i wściekli” przerób na gwiazdne gonitwy, weź trochę „Ceny strachu”, dopraw szczyptą „Ucieczki w kajdanach”. Pamiętaj o podstawowej zasadzie filmów o sympatycznych rabusiach: nie kradną pieniędzy po to, żeby chodzić w szynszylach, lecz żeby zerwać ze złodziejskim życiem. A tak w ogóle to już na pewno ich ostatni skok, po którym będą żyli długo i szczęśliwie. Nie zapomnij, że z reguły życie złoczyńców wiódł dlatego, że zadali się z niewłaściwymi ludźmi i że niewłaściwi ludzie zwykli łatwo nie odpuszczają. Zwłaszcza tym, którzy marzą o ostatniej robocie.

Ponieważ są to nowe „Gwiezdne wojny”, zapisz sobie, że musi się tu znaleźć jakaś gwiazdna kantina, „Sokoł Millennium”, jakiś robot, który zachowuje się bardziej ludzko od niejednego człowieka, imperialni szturmowcy w białych ryszstunkach oraz ich oficerowie w ciemnozielonych mundurach. Dorzuć do tego trochę zabawnych obcych, przygotuj tradycyjny zestaw małego podróżnika po świecie gwiazdnej sagi: planeta z pustynią, planeta ze śniegiem, planeta z kopalnią. Pamiętaj, że gdziekolwiek jesteś – w jaskini w wielkiej asteroidzie, na morzu wewnątrz pięknej planety czy w galaktycznych chmurach – zawsze znajdzie się większa ryba.

Wszystko to wymieszaj, wstrząśnij i ładnie przystrojone pokaż w kinie, najlepiej na ekranach 3D. Sukces murowany, gościom będzie smakować, w kasie też wszystko zagra, jak należy. Kiedy ktoś zapyta: „Co w tym nowego?”, odpowiedz: „Przecież najbardziej lubimy piosenki, które znamy”. Gdy ktoś będzie miał pretensje: „Ileż tu kawałków, które już znamy!”, odpowiedz z dumą, że składasz hołd nostalgii.

Chciałem też napisać: „Mamy za to pierwszy w dziejach film gwiazdnej sagi, w którym nie ma ani słowa o rycerzach Jedi i Mocy”, ale nie mogę, bo choć rzeczywiście ani jedno słowo nie pada, to zobaczycie na koniec króciutki fragment (oczywiście nie powiem jaki), który przypomina widzom, że rzecz dzieje się we Wszechświecie, w którym nie wszystko załatwia się blasterem, nożem czy granatem.

PRZESZŁOŚĆ PRZEMYTNIKA

Co z tego wszystkiego wyszło? Film „Han Solo: Gwiezdne wojny – historie”, czyli druga (po „Łotrze 1”) propozycja pojedynczej fabuły niezwiązanej bezpośrednio z dziejami rodziny Skywalkerów, ale przynależącej do uniwersum „Gwiezd-



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

nych wojen”. Zaplanowano trzy takie eksperymenty. Bohaterem trzeciego miał być łowca nagród Boba Fett, ale z ostatnich doniesień wynika, że szybciej może to być Obi-Wan Kenobi. Tak czy inaczej, przygotujcie się na więcej. Jeśli „Han Solo” odniesie sukces, to doczeka się trylogizacji, czyli dwóch sequeli. A oprócz tego wiadomo już, że Rian Johnson, reżyser należący do kanonicznej serii „Ostatniego Jedi”, ma przygotować zupełnie nową gwiazdną trylogię, z nowymi bohaterami i w nowych dekoracjach.

Na razie jednak dostaliśmy solowy film o Hanie Solo, który niemal w całości składa się z wyjaśnień. To znaczy: w rozmaitych poprzednich filmach serii słyszeliśmy napomykania o ciekawych epizodach z dawnego życia Hana Solo (dawnego, to znaczy zanim jeszcze Solo i Luke Skywalker ruszyli ratować księżniczkę Leię), teraz wszystko nam ładnie wyjaśniono i pokazano. Gdzie wychował się i dorastał sympatyczny przemytnik, u kogo pobierał pierwsze lekcje złodziejstwa, kogo kochał i przez kogo był kochany, skąd wziął parę szczęśliwych kostek do gry, które niedawno widzieliśmy w „Ostatnim Jedi” przekazywane Lei przez Luke’a, jak poznał kudłatego Chewbacce, dlaczego tak nie lubi Imperium (z wzajemnością), w jakich okolicznościach zdobył „Sokoła Millennium” (pamiętacie, że chodziło o grę w karty?) itd. Bardzo ważne dla fabuły filmu „Solo” jest to, co powiedział Han do Luke’a i Obi-Wana Kenobiego w „Nowej nadziei”, gdy po raz pierwszy spotkali się w kantine na Tatooine: że jego statek „zrobił trasę na Kessel poniżej 12 jednostek standardowych!”.

Disney zrobił więc (rękami reżysera Rona Howarda i scenarzystów Lawrence’a oraz Jonathana Kasdanów) dokładnie to, czego oczekiwali fani. Na wzdychanie: „Ależ fajnie byłoby zobaczyć, jak... (tu wpisz swoje pytania związane z przeszłością Hana Solo)” odpowiedzieli: „Ależ proszę bardzo”. Takie ustawienie fabuły sprawia, że głównym powodem ekscytacji widza nie jest pytanie: „Co się wydarzy?”, lecz: „Kiedy wydarzy się to, czego z grubsza oczekujemy?”. Lawrence Kasdan napisał

scenariusz do najlepszego w dziejach „Gwiezdnych wojen” filmu, czyli „Imperium kontratakuje”. Jonathan to jego syn, aktor i brat Jake’a Kasdana, utalentowanego reżysera i scenarzysty.

Ron Howard jest twórcą niezwykle sprawnym („Piękny umysł”, „Wyścig”, „Za horyzontem”) i wyposażonym w odpowiednią wrażliwość miłośnika fantastyki (dowodem jego wcześniejsze filmy, takie jak „Willow” czy „Kokon”). Prace nad „Solo” przejmował w połowie drogi, z rąk wyrzucanych innych reżyserów, duetu Phil Lord i Christopher Miller. Ci zaś stracili robotę, bo chcieli ponoć nakręcić film zbyt śmieszny i zbyt dziwny, to znaczy zbyt odległy od ducha „Gwiezdnych wojen”.

„OGLĄDAŁO”

Wracając do samego filmu. Zaczyna się jak u Dickensa, tyle że zamiast Żyda Fagina, który zmuszał do kradzieży małego Olivera Twista, mamy tu wielką gąsienicę wodną zwaną Lady Proxima, kierującą podobnym przedsięwzięciem. Wszystko to dzieje się na planecie Korelia okrytej gęstymi chmurami, gdzie życie ludzkie nie jest wiele warte, a wszystko kręci się wokół gigantycznych stoczni, w których powstają potężne (i wysokiej jakości) statki kosmiczne. Oprócz młodego Hana w szajce Proximy znajdziemy m.in. piękne dziewczę imieniem Qi’ra. Oprócz miłości połączy ich coś jeszcze: marzenie, by za wszelką cenę wyrwać się z tego podłego miejsca i podróżować po odległych zakątkach Galaktyki.

Bardzo ciekawe są wydarzenia nieco późniejsze, bo mówią o tym, jak właściwie wyglądały relacje młodego Hana i imperialnej floty. Przy okazji wyjdzie na jaw, jak Han dostał nowe nazwisko, a my zwiędzimy wraz z nim jedną z „wyzwalanych” przez siły Imperium planet – tu z kolei będzie okazja poczuć się jak w okopach I wojny światowej. I tu właśnie nastąpi seria spotkań, które odmienią życie Hana na zawsze.

O podstawowych elementach wspominałem na początku tego tekstu. Kto pamięta reguły rządzące podobnymi opowieściami, ten szybko może sobie ułożyć

w głowie listę możliwych rozwiązań, nie ma ich zbyt wiele. Skoro Han trafi do świata zawodowych rabusiów, to będzie musiał udowodnić swą przydatność, zmierzyć się z lekcją „wszyscy wszystkich zdradzają” oraz pamiętać, że w przestępczym fachu każda próba wydostania się z kłopotów zazwyczaj pakuje cię w kolejne, jeszcze większe kłopoty. Gwiazdny film sensacyjny z elementami komedii – tak właściwie powinniśmy nazywać „Solo”, bo jeśli chodzi o opowiadaną historię, to bliżej mu raczej do takich klasyków kryminału jak „Włoska robota” niż do „Nowej nadziei” albo „Imperium kontratakuję”.

„Oglądał” – mruknął jeden z kolegów po fachu, opuszczając salę kinową po prasowym pokazie. Tak, dodam, ale jednak na poziomie, to znaczy nakręcone z bigłem. Tyle tylko, że dziś zbyt wiele filmów nas do ekstrapoziumu realizacyjnego przyzwyczaiło. A oglądając sekwencje rozgrywające się na Kessel, nie mogłem pozbyć się uczucia déjà vu. Ileż takich więziennie-kopalnianych planet widzieliśmy jak nie w „Star Treku”, to w „Kosmos 1999”?!
Najbardziej podobał mi się w „Solo” początek, biję też brawo postaci rabusia Becketta, którego świetnie gra Woody

Harrelson, kradnąc każdą scenę, w której się pojawia. Dobry jest Donald Glover jako młody Lando Calrissian. Część obsady pozostawiła mnie zupełnie bez emocji, np. dziewczyna Becketta (Thandie Newton) i – co gorsza – ukochana Hana, piękna Qi'ra. Obsadzona w tej roli Emilia Clarke udowodniła bowiem, że podobnie jak w „Grze o tron” bardziej nadaje się do tego, żeby wyglądać, niż grać. Paul Bettany jako budzący grozę gangster Dryden Vos też wypadł letnio, może zbyt wielu już widzieliśmy złoczyńców, którzy swym znakiem firmowym uczynili płynne przechodzenie od uprzejmej konwersacji do morderczej furii. Jest kłopot z samym Hanem Solo – grający go Alden Ehrenreich porusza się dokładnie po liniach, które wyznaczył Harrison Ford, tyle że jego krzywy uśmiech jest mniej uroczy.

BEZ „WOW!”

„Solo” to efekt kompromisu. Zagorzałym fanom gwiazdnej sagi daje sporo materiału



★ ★ ★ ★ ★

REŻ. RON HOWARD
„HAN SOLO: GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE” („SOLO: A STAR WARS STORY”)
USA 2018

wyst. Alden Ehrenreich, Emilia Clarke, Woody Harrelson, Danny Glover

do roztrząsania, ale nie jest filmem nadmiernie hermetycznym. Z kolei tym, którzy w nosie mają całą mitologię Lucasa, sprzedaje dwie godziny rozrywki w ekstrawaganckich dekoracjach, coś na kształt kosmicznej „Mission: Impossible”. Zabrakło mi w tej historii elementu nieprzewidywalności, kreatywnego szaleństwa, efektu „wow!”. Jednak przecież nigdy nie mogliśmy się tego spodziewać po filmach wysoko wykwalifikowanego rzemieślnika Rona Howarda.

Proszę zwrócić uwagę: zarówno „Łotr 1”, jak i „Solo” to kino niepotrzebne. Ten pierwszy jednak bogatszy był w znaczenia, miał w sobie pewną tragiczną surowość i posępny urok, choć zawdzięczał je podkradzeniu pomysłu z „Parszywej dwunastki” i wsparciu całości na fundamencie „Nowej nadziei”. Ten drugi to już tylko kolekcja barwnych obrazków, elegancko tasowanych przez wytrawnego hollywoodzkiego fachurę. Nostalgia to zyskowny biznes – ze szkodą dla nostalgii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

IL DIVO

TIMELESS

Koncert z okazji
jubileuszu 1050-lecia
Archidiecezji Poznańskiej
pierwszego biskupstwa w Polsce

22 czerwca 2018
Poznań, Ostrów Tumski

Bezpłatne wejściówki - szczegóły: www.archpoznan.pl Bilety na miejsca siedzące: eBilet.pl, EMPIK

PROGRAM OBCHODÓW JUBILEUSZU

PIĄTEK, 22 czerwca 2018
WIARA I KULTURA

- Procesja Maryjna przez Stary Rynek
- Śpiewanki Wielkopolskie
- Koncert Il Divo

SOBOTA, 23 czerwca 2018
JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI

- Spotkanie wspólnot i stowarzyszeń katolickich
- EUCHARYSTIA JUBILEUSZOWA PRZED KATEDRĄ
- Koncert uwielbienia

NIEDZIELA, 24 czerwca 2018
JESTEŚMY W RODZINIE

- Festyn rodzinny na Ostrowie Tumskim



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CIEMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Trzy wcielenia Mosze Waksa

Amerykanie mają Leonarda Zelig, Polacy – Michała Waszyńskiego. Obaj do perfekcji opanowali sztukę mimikry, lecz nasz rodak był człowiekiem z krwi i kości, a nie fantazmatem.

Struktura „Księcia i dybuka” przywodzi na myśl „Obywatela Kane’a”. Jak na ironię Orson Welles, bawiąc na początku lat 50. w Italii, zakolegował się z Waszyńskim. Gdyby zdołał naciągnąć go na zwierzanie, mógłby z tego powstać film wyprzedzający epokę. Jednak „principe Michele” o swojej przeszłości nie rozmawiał nawet z przyjaciółmi od serca i przyszywaną rodziną.

We Włoszech uchodził za wzorowego katolika i polskiego arystokratę na uchodźstwie. Od niechcenia wspominał o utraconym pałacu pod Warszawą. Tak świetnie grał rolę dobrze urodzonego, że

prawdziwi książęta i hrabiowie uznali go za swego. Maska przyrosła mu do twarzy.

Jak przystało na eleganta i dżentelmena, Waszyński potrafił trzymać fason w każdych okolicznościach. Nie dbał o pieniądze, po prostu je miał. Czasem tylko zachowywał się dziwnie – stroił od ludzi, kazał się wozić nocą po Rzymie swym rolls-royce’em z herbem i pozłacanymi klamkami, tłumacząc szoferowi: „Szukamy dybuka”. Brano to zapewne za niegroźne dziwactwo celebryty.

Dla włoskich rozmówców Niewiery i Rosołowskiego Waszyński jest jedną z twarzy epoki dolce vita, gdy męska część ludzkości dzieliła się na fanów Sophii Loren, Claudii Cardinale i Giny Lollobrigidy, zaś w studiach Cinecittà powstawały hollywoodzkie superprodukcje.

„Principe” umiał wyłowić przyszłe gwiazdy z tłumu pretendentek, wkraść się w łaski milionerów, skorych do inwestowania w X męża.

Cięcie i jesteście w przedwojennej Warszawie. Młody człowiek, kręcący w ekspresowym tempie komedie i melodramaty, deklaruje wiarę w magię kina. Filmy Waszyńskiego biją rekordy powodzenia, choć krytycy pastwią się nad nimi w sposób sadystyczny. Emerycy z Kowla odczytują na odwrocie zdjęcia zapisane cyrylicą prawdziwe nazwisko reżysera. Imię matki wskazuje na żydowskie pochodzenie. Na zdewastowanym cmentarzu prawdopodobnie pochowani są przodkowie „księcia”. Nikt z rodziny wojny nie przeżył. W Izraelu odnajdują się jednak dalsi krewni. Twierdzą, że Mosze Waks, skonfliktowany z bliskimi, wyjechał z Kowla jako nastolatek. W Warszawie udawał, że nie zna jidysz, w Rzymie zmienił nawet charakter pisma.

Etapy reporterskiego śledztwa ilustrują fragmenty filmów Waszyńskiego, dobrane tak, by sprawiał wrażenie autobiograficznych komentarzy. Cytaty z dzienników świadczą, że reżysera „Dybuka” ściagały demony przeszłości. W życiu, inaczej niż w kinie, nie można bezkarnie wyrzec się korzeni. ©



★★★★★
REŻ. ELWIRA
NIEWIERA, PIOTR
ROSOŁOWSKI
„KSIĄŻĘ I DYBUK”
POLSKA 2018



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BELLA I SEBASTIAN 3”

Nowe „Gwiezdne wojny” wymiotły z kin konkurencję, więc wśród premier wyróżnia się tylko propozycja przygotowana na Dzień Dziecka. To ostatnia część trylogii „Bella i Sebastian”. Tym razem chłopiec musi chronić nie tylko Bellę, lecz także jej trzy siostrzyczki, przed poprzednim właścicielem, który pojawia się niespodziewanie

na scenie i z pomocą sądu egzekwuje swoje prawa. Za całość odpowiada Clovis Cornillac, popularny aktor, który debiutował w roli reżysera komedią „Randka w ciemno” (2015 r.). © © **Piotr Gociek**
„Bella i Sebastian 3”, reż. Clovis Cornillac, wyst. Félix Bossuet, Tchény Karyo, Clovis Cornillac, Francja 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Paryż i dziewczyna” („Jeune femme”), reż. Léonor Serraille, Francja/Belgia 2017
- „Wyszczekani” („Show Dogs”), reż. Raja Gosnell, USA 2018
- „Mario”, reż. Marcel Gisler, Szwajcaria 2018
- „Przygoda Nelly” („Nellys Abenteuer”), reż. Dominik Wessely, Niemcy 2016



DODATEK SPECJALNY

Sowiecka gra przeciw Polsce

- Infiltracja służb II RP
- Katyń i anty-Katyń
- Komuna rozbija emigrację



Partner wydania

ORLEN

TYGODNIK LUBICKI
**DO
RZECZY**



Od rewolucji bolszewickiej walka Moskwy z Polską weszła w najbardziej dramatyczną fazę. FOT. FOTOLIA

SPIS TREŚCI

IV–VII PIOTR ZYCHOWICZ **OPERACJA „TRUST”**

W latach 20. bolszewicy założyli fałszywą organizację monarchistyczną i przeprowadzili w Europie wielką operację dezinformacyjną. Jedną z jej ofiar padł wywiad II RP

VIII–XI ZBIGNIEW KARPUS **ANTY-KATYŃ**

W 1990 r. Gorbaczow kazał służbom specjalnym, naukowcom i dziennikarzom rosyjskim stworzyć mit o mordowaniu przez Polaków sowieckich jeńców w 1920 r.

XII–XVI MACIEJ ROSALAK **WIELKIE OSZUSTWA STALINA**

Dezinformacja, jaką uprawiają obecne władze rosyjskie, tkwi korzeniami w zakłamaniu własnej historii, a zwłaszcza okresu II wojny światowej, od 1939 r. poczynając

XVII–XIX SŁAWOMIR CENCKIEWICZ **KOMUNA I EMIGRACJA**

Komunistyczni funkcjonariusze dążyli po wojnie do rozbitcia polskich uchodźców na Zachodzie, ich inwigilacji i sprowadzenia jak największej ich liczby do kraju



Piekielne sprzężenie

Na okładce tego dodatku umieściliśmy trzy odznaki – trzech wcieleń policji politycznej działającej w Rosji po bolszewickiej rewolucji. Wszystkie mają swe źródło w formacji utworzonej przez Feliksa Dzierżyńskiego już w 1917 r. o skróconej nazwie CzeKa, co oznacza: Wsierossijskaja Czriezwyczajnaja Komissija po Bor'bie c Kонтrewoliucyjey i Sabotażom (Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kонтrewolucją i Sabotażem). Miała ona odznakę również z owym mieczem karzącym wrogów władzy sowieckiej, bo też ona i jej następczynie wykonywały – a ostatnia wykonuje nadal – niemal identyczne zadania.

Mamy więc NKWD – Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych), istniejący pod tą nazwą w latach 1917–1946, ale odgrywający w pełni swą złowieszczą rolę od wielkiej czystki w 1934 r. Następne jest KGB – Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego), jaki spadkobiercy Stalina założyli w 1954 r. I dzisiejsze wcielenie: FSB – Fiedieralnaja Służba Biezopasnosti (Federalna Służba Bezpieczeństwa) utworzona w 1995 r. Funkcjonariusze tych służb do tej pory mówią o sobie z dumą: czeikiści. W rodakach budzą strach, ale i – czego Polacy nie są zdolni pojąć – szacunek oraz podziw.

Wykonywali i wykonują wiele zadań. Szpiegują za granicą i inwigilują w kraju, dezinformują, nadzorują media i podsuwają im do rozpowszechniania kłamstwa, terroryzują, dokonują zamachów i prowokacji, śledzą, więżą i przesłuchują. Stanowili podporę imperium rosyjskiego w wydaniu sowieckim i stanowią ją nadal za czasów Putina.

Rosjanie byli imperium światowym i chcą być nim nadal. Ich cele oraz przedsięwzięcia dotyczą niemal całego świata, a czołowych państw Zachodu zwłaszcza. Polska już od XVIII w. nie jest ich głównym, równorzędnym rywalem, ale – może właśnie dlatego oraz z racji położenia – właśnie ona od 300 lat zbiera od nich najstraszliwsze razy. Poza zbrojną agresją mamy do czynienia z dywersją w dziedzinie informacji. I tak np. mord katyński został zdwojony kłamstwem katyńskim, a potrojony wierutną bzdurą o „polskich obozach koncentracyjnych”, w których rzekomo zabijano czerwonoarmistów wziętych do niewoli w 1920 r. Mit szerzenia owego anty-Katynia cynicznie nakazał piewca „głasności” Michaił Gorbaczow w 1990 r. i trwa on do dziś.

Z dyfamacją spotykaliśmy się zarówno od wschodu, jak i od zachodu. II Rzeczpospolitą nazwano w Związku Sowieckim „bękartem wersalskim”, a w Niemczech – „państwem sezonowym”, co brzmi mniej trywialnie, ale wychodzi na to samo. A co wyszło, ujrzeliśmy we wrześniu 1939 r.: sojusz Hitlera ze Stalinem. Współdziałanie Niemców i Rosjan zawsze było, jest i będzie dla nas groźne, ale tym razem ów sojusz okazał się dla Polski śmiertelny. Zauważmy przy tym, że pogardliwe określenie naszej gospodarki jako „polnische Wirtschaft” uzupełniał „pańską Polskę białopolaków”, a „niższość rasowa” – „wrogość klasową”. W piekielnym wydaniu dotknęło nas sprzężenie myśli i słowa oraz czynu. Na zachodzie wystąpił wtedy Selbstschutz, a na wschodzie komunistyczne jacejki. Tam mordowaniem i poniewieraniem Polaków zajęli się gestapowcy, tu – czeikiści. ©©

Maciej Rosalak



REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPÓŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Włodzimierz Zakrzewski (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **SUNDAY**



Boris Sawinkow przed bolszewickim sądem FOT. WIKIPEDIA

Operacja „Trust”



Piotr Zychowicz

Bolszewickie tajne służby w latach 20. przeprowadziły w Europie wielką operację dezinformacyjną. Jedną z jej ofiar padł wywiad II RP

Wszystko zaczęło się od niewielkiej grupki byłych carskich urzędników i oficerów.

Panowie ci w 1921 r. założyli w Moskwie tajną strukturę o szumnej nazwie Monarchistyczna Organizacja Centralnej Rosji (MOCR). W rzeczywistości był to kanapowy klub dyskusyjny, którego członkowie w kłębach papierosowego dymu rozprawiali o starych dobrych czasach i snuli marzenia o powrocie dynastii Romanowów.

Czuja sowiecka bezpieka szybko wykryła nieudolnie zawiązany „spisek”. Zamiast postawić monarchistów „pod stienku”, bolszewicy zdecydowali się na inne rozwiązanie. Postanowili zinfiltro-

wać, a następnie przejąć kontrolę nad MOCR. Sami pomysłodawcy projektu zapewne nie przypuszczali, że zapoczątkuje on największą operację inspiracyjno-dezinformacyjną w historii tajnych służb.

PRZECIWKO BIAŁYM

Historycy spierają się, kto wymyślił operację „Trust”. Wszystko jednak wskazuje na to, że było to dzieło polskich renegatów. Jedni badacze wskazują na samego szefa Czecha Feliksa Dzierżyńskiego, inni na jego zastępcę Wiaczesława Mienżyńskiego. Jeszcze inni uważają, że pomysł narodził się w przewrotnym umyśle por. Wiktora Steckiewicza. Był to

szef siatki polskiego wywiadu w Piotrogradzie, który został przewerbowany przez Sowietów i zrobił zawrotną karierę w czerezwyczejce.

Operacja rozpoczęła się skromnie, od pozyskania jednego z członków MOCR, byłego carskiego oficera Aleksandra Jakuszewa. Został on uprowadzony i wtrącony do celi na Łubiance. Postawiony przed wyborem „zdrada albo kula w łeb”, zgodził się przejść na stronę czerwonych. Potem już poszło gładko. Cała organizacja została opanowana przez oficerów i agentów bezpieki. Jej ideowi członkowie zostali wyeliminowani, a zastąpili ich ludzie podstawieni przez służby.

Funkcjonariusze z Łubianki napisali deklarację ideową MOCR i opracowali jej – oczywiście radykalnie antykomunistyczny – program. Wymyślili też strukturę organizacyjną i sieć nieistniejących placówek terenowych.

Fikcyjnym wodzem MOCR został gen. Andrzej Zajonczkowski, Polak, były carski oficer, który podczas rewolucji

wstąpił do Armii Czerwonej. Rolę jego zastępcy i przyszłego ministra wojny odegrał kolejny były rosyjski oficer służący bolszewikom – gen. Nikołaj Potapow. Obaj oficerowie stanowili tylko parawan. Główną postacią w MOCR był niejaki Kasatkin. Pod tym fikcyjnym nazwiskiem krył się stary łotewski prokurator-czekista Aleksandr Oppenput.

Kolejnym krokiem było przeniesienie operacji za granicę. Udało się to zrobić dzięki pozyskaniu do współpracy działacza emigracyjnego Jurija Artamonowa,

państwa. W urzędach, fabrykach, Armii Czerwonej, a nawet na Kremlu. Ta olbrzymia armia konspiratorów szykowała się do puczu, który miał przywrócić stary porządek. Potrzebowała jednak wsparcia od emigracji...

Mystyfikacja trafiła na podatny grunt: emigranci, marzący o powrocie do ojczyzny i obaleniu czerwonego reżimu, połączyli haczyk. Agenci GPU (policja polityczna po przekształceniu Czeka, formalnie w strukturach NKWD) mówili zaś to, co biali chcieli usłyszeć. Emisa-

nych prawosławnych mszach, które... odprowadzali czekici. Pokazywano im tajne lokale organizacji, zapoznawano z systemem szyfrów... Po powrocie, zachwyceni tym, co zobaczyli, utwierdzali przywódców emigracji w przekonaniu o potęgze MOCR.

W efekcie tych wszystkich działań biała rosyjska emigracja została całkowicie sparaliżowana i przestała stanowić zagrożenie dla bolszewików. Skłócona, zinfiltrowana i naszpikowana agentami, znalazła się pod pełną kontrolą GPU. Pierwszy cel operacji „Trust” został osiągnięty.

WOJNA WYWIADÓW

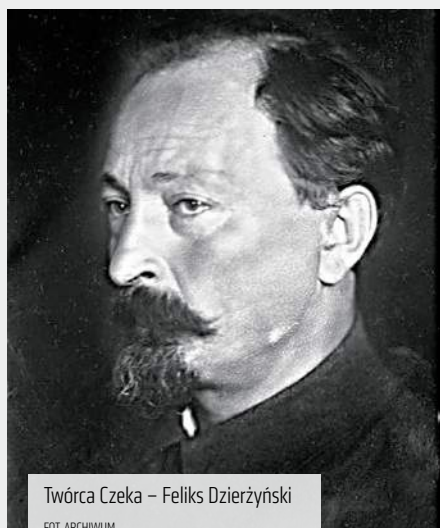
Najważniejszą ofiarą, która wpadła w sieci „Trustu”, nie byli jednak wcale biali emigranci. Były nią europejskie służby wywiadowcze. Pierwszych do gry wciągnięto Estończyków. Przedstawiciele MOCR zaproponowali rezydentowi estońskiego wywiadu w Moskwie, kpt. Romanowi Birkowi, sprzedaż ściśle tajnych dokumentów dotyczących potencjału wojennego i gospodarczego Związku Sowieckiego.

Estończycy dali się nabrać. Uwierzyli w istnienie MOCR i zaczęli kupować od organizacji rzekomo wykradzione przez jej członków papiery. Były one oczywiście spreparowane przez GPU. Wytwarzali je specjaliści z utworzonej na Łubiance komórki dezinformacyjnej „Krzywe Zwierciadło”.

Estończycy nie śmierzdzieli jednak groszem i na dłuższą metę nie stać ich było na współpracę z „Trustem”. Postanowili więc zwrócić się do Polaków. Propozycja w siedzibie polskiego Oddziału II przy ul. Brackiej wywołała entuzjazm. Zadziałał podobny mechanizm jak w przypadku białych emigrantów. Pokusa pozyskania bezcennych informacji z terenu wroga okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek. Polacy podjęli samobójczą grę z „Trustem”.

Tak jak w przypadku Estończyków zaczęło się od kupowania dokumentów. Polski wywiad płacił za nie „rosyjskim monarchistom” twardą walutą lub ekskluzywnymi towarami niedostępnymi w Związku Sowieckim. Doszło do tego, że Warszawa przekazała MOCR nawet pewną ilość kokainy. Wszystko to oczywiście trafiało w ręce czekistów.

W 1921 r. „Dwójka”, aby ułatwić kontakt z nowym „sojuszniakiem”, otworzyła w Moskwie placówkę łącznikową



Twórca Czeka – Feliks Dzierżyński

FOT. ARCHIWUM



Genrich Jagoda – ludowy komisarz spraw wewnętrznych 1934–1936

FOT. ARCHIWUM

który pracował jako tłumacz w poselstwie brytyjskim w Tallinie. Zwerbowany przez Wiktora Steckiewicza Artamonow stał się łącznikiem między MOCR a centrami białoruskimi w Paryżu, Warszawie, Berlinie, Belgradzie i innych stolicach Europy.

Rozpoczęła się wielka gra, starannie reżyserowana przez Dzierżyńskiego i stworzoną przez niego na Łubiance specjalną grupę operacyjną. Na jej czele stanął piekielnie inteligentny oficer Czeka Artur Artuzow. To on wyznaczał role poszczególnym aktorom i wymyślał fabuły kolejnych intryg.

Artamonow i Jakuszew zaczęli podróżować po Europie, gdzie spotykali się z przywódcami rosyjskiej emigracji. Obu agentom GPU udało się przed rosyjskimi działaczami roztoczyć wielką iluzję. Przekonali ich, że w bolszewii działa potężna organizacja opozycyjna. Siatki MOCR miały rzekomo opłacać całą Rosję sowiecką. W konspiracji miały być zaprzysiężone tysiące rosyjskich patriotów pracujących we wszystkich newralgicznych instytucjach komunistycznego

riusze „z kraju” – jako dzielni uczestnicy podziemnej walki z bolszewizmem – byli zapraszani na emigracyjne salony i dopuszczani do największych sekretów białych organizacji. Emigranci przekazywali również przedstawicielom MOCR spore sumy, które miały iść na „walkę z bolszewizmem”. W rzeczywistości zasilaly budżet operacyjny GPU.

W ten sposób antykomunistyczna emigracja nie tylko zaczęła finansować sowieckie służby, lecz także dała się całkowicie zinfiltrować bolszewikom. Dzięki misternie skonstruowanym intrygom przedstawiciele MOCR jeszcze bardziej skłócili ze sobą frakcje, na które podzielona była emigracja.

Na Zachód zaczęli przyjeżdżać z oficjalnymi wizytami przywódcy „konspiracji”. A do Sowietów zapraszano wysłanników organizacji emigracyjnych. Na miejscu przejmowali ich przedstawiciele MOCR – w rzeczywistości oficerowie GPU – i odgrywali przed nimi wielką komedię. Emisariusze emigracji brali udział w konspiracyjnych „zebraniach członków MOCR”, a nawet podziem-



Z prawej – obok Stalina – ludowy
komisarz spraw wewnętrznych
Nikołaj Jeżow 1936–1938 FOT. WIKIPEDIA

■ z MOCR o kryptonimie Czajka. Prowadzący ją oficerowie Władysław Michniewicz i Edward Czyżewski spotykali się regularnie z Kasatkinem-Opperputem. Spotkania odbywały się w konspiracyjnym mieszkaniu lub na parkowych ławkach. Potem zaś panowie zaczęli umawiać się w... polskim konsulacie.

„Nigdy Czyżewski, Michniewicz i kolejni oficerowie łącznikowi, którzy utrzymywali kontakt z Kasatkinem, nie zadali mu podstawowego pytania: Czy był kiedykolwiek przesłuchiwany przez GPU w sprawie wizyt w placówkach dyplomatycznych? – pisał prof. Andrzej Krzak, autor książki »Czerwoni Azefowie«. – Dlaczego nikogo z oficerów wywiadu nie zastanowił fakt, że w kraju totalnej inwigilacji obywatel ZSRS wchodził kilka razy dziennie do konsulatu RP?”

Tak, bez wątpienia Polacy popełnili szkolne błędy. Wielkim zwolennikiem współpracy z MOCR był kpt. Michał Talikowski, szef Referatu „Wschód” Oddziału II. Jego zapału nie ostudziło nawet to, że analitycy polskiego wywiadu alarmowali, iż większość dokumentów dostarczanych przez „Trust” jest bezwartościowa.

Polski wywiad stał się wkrótce głównym partnerem i sponsorem rzekomej monarchistycznej konspiracji. Na granicy polsko-sowieckiej utworzył on „okna”, przez które do Europy zaczęli napływać kurierzy i emisariusze MOCR, a w rzeczywistości szpiedzy GPU. Mało tego, Polacy

udostępnili im swoją pocztę dyplomatyczną. W efekcie materiały wywiadowcze pozyskane na Zachodzie przez sowieckie siatki szpiegowskie zawoził do Moskwy... pracownicy polskiego MSZ.

„Umożliwiło to swobodne działanie MOCR w całej Europie – pisał prof. Andrzej Krzak. – Polska zobowiązała się do przerzutu kurierów i wysłanników organizacji oraz zaopatrywania ich w paszporty i wizy Rzeczypospolitej. Polski wywiad stał się niestety na kilka lat nieświadomym pomocnikiem bolszewickich służb specjalnych”.

W 1923 r. w Warszawie utworzone zostało przedstawicielstwo MOCR, na którego czele stanął sam Artamonow. Szarmancki arystokrata szybko owinął sobie wokół palca Talikowskiego, który zaufał Rosjaninowi bezgranicznie. Wydał mu nawet specjalne zaświadczenie, że jest związany z polskim Sztabem Generalnym. Zaświadczenie takie otwierało wiele drzwi, a w razie przypadkowej kontroli żandarmerii lub policji stawiało polskich funkcjonariuszy na baczność.

Doszło do tego, że Artamonow był niemal codziennym gościem w siedzibie polskiego wywiadu przy ul. Brackiej. Inni agenci GPU uzyskali dostęp do pomniejszych placówek Oddziału II, a nawet pozwolono im korzystać z laboratorium mikrofotografii polskich tajnych służb! W ten sposób poznali w najdrobniejszych szczegółach ludzi i metody działania „Dwójki”.

Trudno wręcz uwierzyć, że polscy oficerowie nie nabrali podejrzeń, widząc, że Artamonow nie przestrzega w Warszawie elementarnych zasad konspiracji. Rosjanin chodził do restauracji, teatrów i nocnych klubów, spacerował po Łazienkach i otwarcie spotykał się z „emisariuszami z kraju”. Podobnie zachowywali się przywódcy MOCR Jakuszew i Potapow, którzy w 1923 r. przybyli do polskiej stolicy z oficjalną wizytą (!). Panowie ci spotykali się z czołowymi polskimi politykami, którym składali daleko idące oferty polityczne.

Już wcześniej w Moskwie Opperput obiecał polskiemu oficerowi, że w razie wybuchu wojny Rzeczypospolitej z Sowietami członkowie MOCR utworzą oddziały dywersyjno-sabotażowe i wywołają na tyłach Armii Czerwonej powstanie. Teraz Jakuszew i Potapow zaproponowali Polakom podpisanie formalnego sojuszu z białymi Rosjanami. Polacy mieliby uznać MOCR za prawowity rząd Rosji, a MOCR zagwarantowałaby Rzeczypospolitej uznanie jej wschodniej granicy.

Jakuszew i Potapow zapowiedzieli, że MOCR na rok 1924 planuje pucz, który doprowadzi do obalenia bolszewizmu. Potrzebuje jednak pomocy z zewnątrz. W tym celu agenci GPU proponowali, aby polskie władze wzdłuż granicy z Sowietami rozmieściły oddziały białej kawalerii gen. Piotra Wrangla.

Oferty te były na tyle poważne, że przekraczały kompetencje wywiadu. Dlatego Oddział II zorganizował spotkanie Jakuszewa i Potapowa z ministrem spraw zagranicznych Romanem Dmowskim. Ten jednak zdecydowanie odmówił podpisywania jakichkolwiek układów z podejrzanymi przybyszami z Sowietów. Jak podkreślił prof. Krzak, Dmowski wykazał się przy tym znacznie większą ostrożnością i zdrowym rozsądkiem niż oficerowie Oddziału II. Czyli – zdawałoby się – specjaliści w wykrywaniu wrogich prowokacji.

Polski wywiad wojskowy był tylko jedną z tajnych służb nabytych w butelkę przez bolszewików. W trakcie operacji „Trust” zdołali oni w większym lub mniejszym stopniu zinfiltrować wywiady m.in. Estonii, Finlandii, Francji, Czech, Rumunii, Wielkiej Brytanii i wielu innych państw.

„Działalność agentury GPU – raportował Artur Artuzow – doprowadziła do tego, że sztaby europejskich wywiadów były w 95 proc. zaopatrywane w materiały przygotowane w Ludowym Komisariacie Obrony oraz Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych. Służby te miały taki obraz naszych możliwości wojskowych, jaki my chcieliśmy im pokazać”.

To, że nie tylko polski wywiad dał się nabrać „Trustowi”, stanowi jednak dla nas marne pocieszenie. Jak bowiem słusznie podkreślił polski historyk zajmujący się służbami II Rzeczypospolitej, dr Konrad Paduszek, od Polaków wypadałoby wymagać nieco większej znajomości Rosji i bolszewizmu niż od Francuzów i Brytyjczyków.

MASKI ZOSTAJĄ ZDJĘTE

Wielka gra „Trustu” zakończyła się w 1927 r. W kwietniu tego roku całą Europą wstrząsnęła sensacyjna wiadomość. Ze Związku Sowieckiego do Finlandii uciekł jeden z czołowych działaczy MOCR Aleksandr Kasatkin. Oddał się tam w ręce oficerów fińskiego wywiadu, którym oświadczył, że naprawdę nazywa się Oppperput i od wielu lat jest czekistą prowokatorem. A MOCR nie istnieje. Jest iluzją stworzoną przez GPU w celu dezinformowania i penetrowania zachodnich służb wywiadowczych. Można sobie tylko wyobrazić, jaki efekt słowa te wywołały w centralach europejskich służb wywiadowczych. Było to istne trzęsienie ziemi.

Nas jednak oczywiście najbardziej interesuje to, co się działo w Warszawie. Dla polskich służb było to potężny wstrząs. Początkowo oficerowie „Dwójki” łudzili się, że Oppperput kłamie. W Warszawie powołano specjalną komisję, która miała ocenić skalę penetracji Oddziału II przez bolszewików. Na jej czele stanął ppłk Ludwik Bociański. Miała ona pełny wgląd w dokumentację, a oskarżeni przez Oppperputa oficerowie złożyli przed nią obszernie wyjaśnienia. Prawdziwym celem komisji Bociańskie-

go nie było jednak wyjaśnienie afery „Trustu”, ale jej zatuszowanie.

„Kierownictwo Oddziału II nie tylko nie zarządziło żadnych dochodzeń prokuratorskich, ale nawet inwigilacji wybranych oficerów Sztabu Generalnego – pisał Marek Świerczek, analityk, który zajmuje się operacją »Trust« . – Komisja obradowała w ekspresowym tempie i już w lipcu 1927 roku zakończyła swe prace, umarzając postępowanie wyjaśniające wskutek nieodnalezienia winnych niemal sześćdziesięcioletniej klęski wywiadu polskiego”.

Aferę próbował „wyjaśniać” również kpt. Talikowski. Osobą, która mu w tym pomagała, był zaś... jego przyjaciel Artamonow. Tak, to nie pomyłka. Sowiecki agent miał dostęp do śledztwa mającego



Oficer Czecha – Artur Artuzow

FOT. ARCHIWUM

ocenić skalę bolszewickiej infiltracji w polskich służbach... Na szczęście Talikowski ostatecznie został zdjęty z szefostwa Referatu „Wschód”, a na jego miejsce powołano kpt. Niedzińskiego. „Wywiad nasz na Wschód jest całkowicie opanowany przez kontrwywiad przeciwnika” – napisał w 1928 r. Sytuację określił on jako całkowitą „supremację” bolszewików.

Podobnego zdania był inny oficer wywiadu, Stefan Mayer, który stwierdził, że dla GPU „nie było nic tajnego w polskiej służbie wywiadu”.

Była to katastrofa, z której wywiad II RP nigdy się nie podniósł.

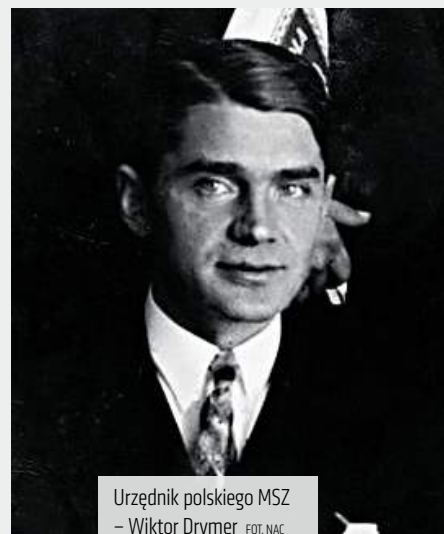
TRIUMF BOLSZEWIKÓW

Oppperput podczas przesłuchań w Hel-sinkach twierdził, że przeszedł „wewnętrzną przemianę” i dlatego porzucił

służbę bolszewikom. Było to oczywiście kłamstwo. Nawet przez chwilę nie przestał być czekistą. Jego „ucieczka” na Zachód była ostatnim akordem operacji „Trust”. Wielkim finałem zaplanowanym przez reżyserów z Łubianki.

GPU, gdy wokół MOCR zbierało się coraz więcej czarnych chmur, samo postanowiło zdekonspirować MOCR i zakończyć operację. Dzięki temu inicjatywa i kontrola nad wielką grą do końca była w rękach Moskwy. Dekonspiracja nastąpiła na jej warunkach.

Zachodnie służby znowu o „Truście” dowiedziały się tylko tyle, ile chcieli im powiedzieć Sowieci. Sam Oppperput, aby dowiedzieć, że jego przemiana była szczerą, poprowadził do Sowietów grupę rosyjskich białych dywersantów. Mieli oni



Urzędnik polskiego MSZ

– Wiktor Drymer FOT. NAC

dokonać wielu spektakularnych aktów terroru wymierzonych w bolszewików.

Oczywiście nic z tego nie wyszło.

Oppperput wystawił swoich towarzyszy bezpiece i wszyscy zostali zgładzeni. On sam służył zaś dalej sowieckiej bezpiece i – jak głosi legenda – podczas II wojny światowej stanął na czele bolszewickiej siatki szpiegowskiej w okupowanym przez Niemców Kijowie. Został jednak rozpoznany i rozstrzelany przez gestapo.

„Trust” tymczasem stał się dumą kolejnych pokoleń czekistów. Modelową operacją, którą analizowano podczas szkoleń przyszłych sowieckich bezpieczeństwa. W efekcie została jeszcze wielokrotnie powtórzona, w coraz bardziej skomplikowanych wariantach. A kto wie, czy nie jest powtarzana do dziś.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Rosalak

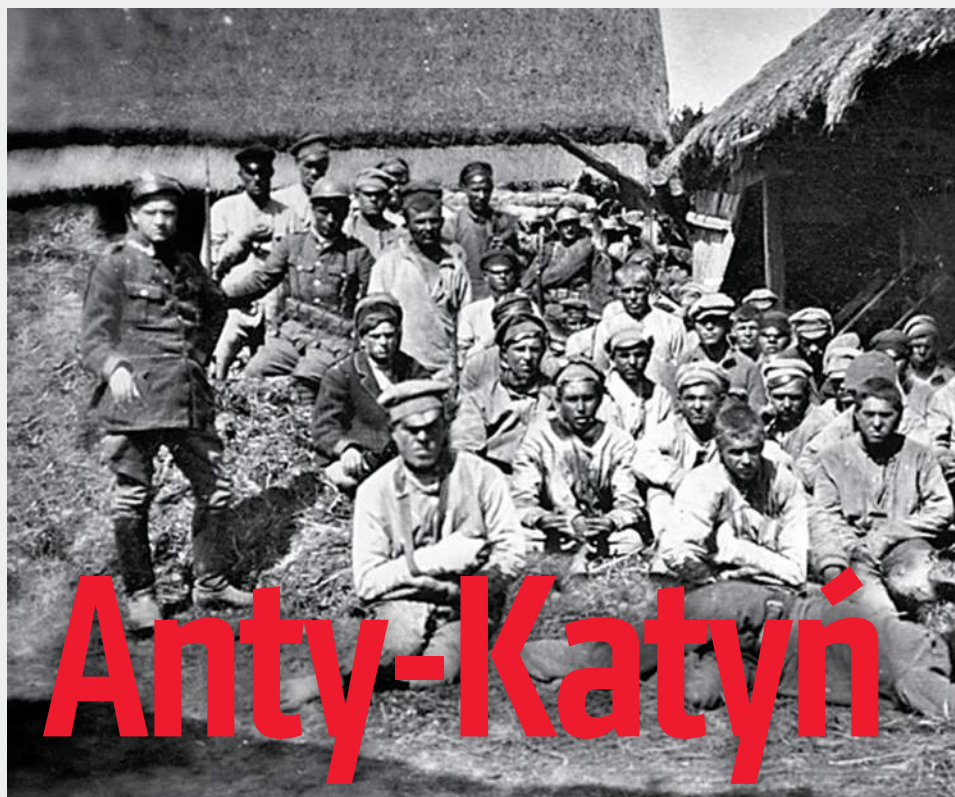
Wyjątkowo perfidną próbą uczynienia z Polski kraju morderców jest mit anti-Katynia dotyczący jeńców sowieckich z 1920 r.

Mit anti-Katynia został stworzony z inicjatywy Michaiła Gorbaczowa, dążącego do „przykrycia” zbrodni katyńskiej. Był on wówczas jeszcze generalnym sekretarzem Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, a także pierwszym w historii prezydentem Związku Sowieckiego (od 15 marca 1990 do grudnia 1991 r.). Jego autentyczną zasługą było oficjalne przyznanie, że to Sowietci zamordowali wiosną 1940 r. tysiące polskich jeńców na rozkaz najwyższych władz ZSRS. Jednocześnie tenże Gorbaczow rozkazał Akademii Nauk ZSRS, Prokuraturze ZSRS, Ministerstwu Obrony ZSRS i KGB do 1 kwietnia 1991 r. zebrać materiały dotyczące rzekomego mordowania jeńców sowieckich przez Polaków w 1920 r.

Z ZSRS DO ROSJI

Fakt owego nakazu Gorbaczowa potwierdziły wiarygodne osoby, m.in. prof. Inessa Jazborowska, historyk i socjolog, zajmująca się m.in. kwestią zbrodni katyńskiej oraz członkini Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych. Od tamtego momentu Rosjanie brną – tak jak w kłamstwo katyńskie – w kłamstwo o rzekomych mordach jeńców sowieckich w „polskich obozach koncentracyjnych”.

Zauważmy, jak gorliwie kłamstwo sowieckiego jeszcze rodowodu podchwycano w demokratycznej podobno Rosji. O tym, na czym ono polega – a także o wysiłkach „uczonych” rosyjskich, którzy starają się wbrew faktom sprokurować odpowiednie uzasadnienia – mówi poniżej prof. Zbigniew Karpus. Od ćwierćwiecza wysiłki te wspiera prasa rosyjska. Czynią tak zarówno periodyki historyczne – choćby „Woprosy Istorii” i „Wojenno-Istoričeskij Žurnal” – jak i wielonakładowe dzienniki: „Krasnaja Zwiezda”, „Rossijskie Wiesti” oraz „Niezawisimaja Gazieta”. Piszą i publikują dziennikarze dyspozycyjni wobec władzy, ale zapewne wielu z nich działa z własnej nieprzymuszonej woli. Ich narracja brzmi: w latach 1919–1920



to Polacy najpierw mordowali Rosjan, a ci dopiero po 20 latach wzięli odwet. Odwet tym bardziej uzasadniony, że wśród rozstrzelanych oficerów polskich znajdowali się winni mordu Rosjan...

Na przełomie dekady 1990 i 2000 do antypolskiej akcji dyfamacyjnej przyłączyły się czynniki oficjalne. W 1998 r. rosyjski prokurator Jurij Czajka zażądał od polskiej minister sprawiedliwości i prokuratora generalnego Hanny Suchockiej wszczęcia śledztwa w sprawie śmierci sowieckich jeńców. Minister Suchocka wyjaśniła, że nie ma żadnych podstaw do tego, a polskie archiwa są otwarte dla historyków rosyjskich. W 2001 r. nowy prezydent Rosji Władimir Putin stwierdził – i to przed wizytą w Polsce – że trzeba pamiętać nie tylko o Katyniu, lecz także o „polskich obozach koncentracyjnych w Tucholi i Puławach, Strzałkowie i Baranowiczach, gdzie po wojnie 1919–1920 barbarzyńsko zamordowano 80 tys. wziętych do niewoli czerwonoarmistów i gdzie stosowano tortury przerastające swym okrucieństwem te, które uprawiali zbrodniarze w Oświęcimiu”.

Do rzekomych zbrodni polskich w 1920 r. nawiązuje też wystawa o stosunkach rosyjsko-polskich, otwarta 20 kwietnia 2018 r. w rosyjskiej części katyńskiego Zespołu Memorialnego. Kłamstwa, które zawiera – a także decyduje

urządzenia takiej wystawy wśród katyńskich grobów – skrytykował szef polskiej sekcji zasłużonego Stowarzyszenia Memoriał – Aleksandr Gurjanow. Kłamstwa dotyczą zresztą i innych kwestii, np. układu Ribbentrop-Mołotow.

Cyniczna, zorganizowana przez państwo rosyjskie dezinformacja zatruwa nadal umysły mieszkańców Rosji, ale sieje przecież także ziarna podejrzeń wobec Polski wśród społeczeństw innych krajów.

PROPAGANDA MARTWYCH LICZB

A oto fragmenty rozmowy z prof. Zbigniewem Karpusem („Historia Do Rzeczy”, nr 7/2013).

MACIEJ ROSALAK: Ilu naprawdę było tych jeńców? Ilu zmarło w obozach? Gdzie się one znajdowały?

ZBIGNIEW KARPUS: Jest duży problem z określeniem liczby jeńców z wojny lat 1919–1920, czyli od czasu pierwszych starć z prącymi na nasze ziemie bolszewikami od początku 1919 r. aż do zakończenia działań zbrojnych w październiku roku następnego. Brakuje wielu dokumentów, które zostały zniszczone podczas bombardowania Warszawy w 1939 r. i podczas powstania warszawskiego, część przejęli okupanci niemieccy, a od nich być może sowieccy. W efekcie liczby jeńców bolszewickich dokładnie – z okre-



Żołnierze sowieccy wzięci do polskiej niewoli w 1920 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE FILMU „CO MOGA MARTWI JEŃCY”

śleniem wziętych do niewoli, czasu, kiedy to nastąpiło, miejsca osadzenia oraz losu każdego z nich – ustalić się nie da. Nie ma kompletu dokumentów, które by to umożliwiała.

Odkrywa się jednak nowe źródła, np. świadectwa działań naszych ekip lekarskich ratujących chorych jeńców...

To są dokumenty ważne, świadczące o polskiej opiece medycznej, ale drugorzędne, jeśli chodzi o podstawowe, wspomniane wyżej ustalenia. Podobnie jest z na pewno ciekawymi, ale marginalnymi wspomnieniami rodzinnymi. Brak dokumentów wytwarzanych przez takie instytucje jak wojsko i MSZ próbowaliśmy uzupełnić przez badania w Rosji, gdzie w pierwszej połowie lat 90. udostępniano szerzej archiwa państwowe. Jeździliśmy tam i jeździmy nadal, ale dokumenty dotyczące wojny lat 1919–1920 są, powiedziałbym, w stanie tragicznym. Jest ich mało, bo ani Armia Czerwona, ani organy państwa sowieckiego nie tworzyły wtedy dokumentów, z których można byłoby się dowiedzieć, ilu żołnierzy liczyły dokładnie ich oddziały.

W mojej pracy doktorskiej musiałem odpowiedzieć na pytania o jeńców sowieckich, wykorzystując to, co pozostało w Polsce. A więc: ilu ich wzięto do niewoli, w jakich obozach osadzono, ilu z nich

zmarło, ilu repatriowano po zawarciu pokoju w Rydze. Zacząłem od końca, czyli od wymiany jeńców po wojnie, kiedy zostało to zarejestrowane po obu stronach w Baranowiczach i Równem, gdzie znajdowały się punkty wymiany. Tutaj też są kłopoty, bo różnica między polskimi a sowieckimi danymi wynosi prawie 10 tys.

Kto ich zarejestrował więcej?

Co ciekawe – oni. Wedle naszych danych oddaliśmy ok. 67 tys., a oni przyjęli rzekomo ponad 75 tys. Wyjaśnię zaraz, skąd wzięła się różnica, ale strona rosyjska nie chce tego przyjąć do wiadomości. W każdym razie liczbę jeńców oddanych po wojnie można ustalić.

Natomiast gorzej wygląda sprawa z ustaleniem, ilu do niewoli wzięto. Istniało Biuro Rejestracji Jeńców Wojennych i Internowanych w Wojnie o Niepodległość i Granice 1918–1921 w Oddziale I Ministerstwa Spraw Wojskowych i ono miało spis wszystkich wziętych do niewoli (także Czechów, Litwinów, Niemców oraz Ukraińców). Skąd to wiemy? Otóż do wszystkich miast, gdzie istniały okręgi wojskowe, wysyłano pisma, by dowództwa okręgów oddały dokumentację jeńców i internowanych. Gromadzono je w Warszawie, tworząc jeden centralny spis, aby można było odpowiedzieć na pytania, co się stało z tą czy inną osobą. Sam znalazłem potwierdzenie, że korespondencja w takich sprawach była prowadzona między stroną polską a sowiecką do 1937 r. W czasie II wojny rejestr jednak zaginął. Ponieważ nie można wykluczyć, że znalazł się w końcu w rękach sowieckich, należy dokładnie szukać go w Moskwie.

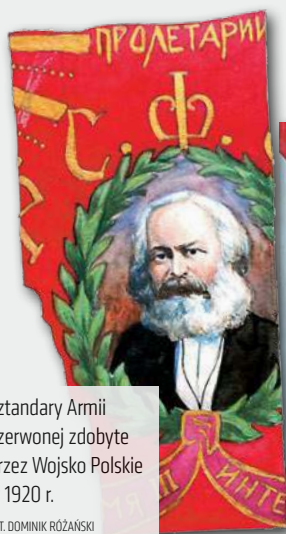
Strona rosyjska jednak dziś podejrzewa, że to my ten rejestr ukrywamy. Sam spotkałem się z zarzutem, że ukrywamy archiwalia, co dla polskiego historyka jest nie tylko obraźliwe, lecz także wprost niezrozumiałe. Po 1990 r. nie ma u nas tajnych archiwów dotyczących historii międzywojnia.

Skoro rejestr jest niedostępny bądź go w ogóle nie ma, to jak można podać choćby prawdopodobną liczbę wziętych do niewoli?

Mniej więcej od listopada 1920 r. były wydawane komunikaty o sytuacji w obozach, do których mam dostęp i które wydajemy drukiem (Rosjanie się tym nie interesowali). Komunikaty są tym ciekawsze, że właśnie wtedy Polacy, po zawarciu rozejmu w październiku, zakończyli w obozach jenieckich werbunek do oddziałów – kozackich, ale nie tylko – walczących z bolszewikami. Z dokumentów tych wynika, że w obozach przebywało wówczas ok. 80 tys. jeńców.

Strona rosyjska nie przyjmuje tego do wiadomości. Uważa, że tych jeńców było od 150 tys. do nawet 290 tys. Rozbieżność ogromna. Nie biorą pod uwagę, że choć walki polsko-bolszewickie trwały od zimy 1919 do jesieni 1920 r., to intensywne działania wojenne obejmowały głównie lato 1920 r. Krasnoarmiejcy dostawali się do naszej niewoli w większej liczbie dopiero podczas Bitwy Warszawskiej, a potem niemeńskiej, a ponieważ liczebność armii po obu stronach w ogóle nie była duża (nie ma nawet porównania z I wojną światową), to podawanie 200-tysięcznej rzeszy jeńców jest bez sensu. Zwłaszcza że oni nawet nie są w stanie ustalić, ilu żołnierzy prowadzili ich dowódcy...

Może też starają się w ten sposób ukryć fakt masowej dezercji nowo wcielanych do Armii Czerwonej rekrutów...



Sztandary Armii Czerwonej zdobyte przez Wojsko Polskie w 1920 r.

FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI





„Komitet rewolucyjny” w Polsce (1920)
– Skworec, Dzierżyński, Marchlewski, Kon

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W BIAŁYMSTOKU

Oni nie wiedzą ani tego, ilu zdezerterowało, ani ilu wcielono, a pułki i dywizje nie miały pełnego stanu osobowego. Proszę zwrócić uwagę, że mamy tu do czynienia z ewenementem: zwykle z zażenowaniem podaje się liczby własnych żołnierzy, którzy poddają się wrogowi, a oni w tym przypadku wyrażnie starają się je zawyżać (poza tym nie mają własnych dokumentów, lecz jedynie polskie, i to niebywale przetrzebione). To zawyżanie własnych strat ma cel wyraźnie polityczny – przykrycie sprawy Katynia. Chcą wykazać, że w polskich obozach straciło życie znacznie więcej ich żołnierzy niż internowanych oficerów i funkcjonariuszy polskich z Kozielska, Ostaszkowa, ze Starobielska, z tzw. listy ukraińskiej...

Nie ujawniono też dotychczas katyńskiej listy białoruskiej zapewne dlatego, aby liczbę zamordowanych Polaków jeszcze o kilka tysięcy obniżyć. Hasło anty-Katynia rzucił Gorbaczow niemal natychmiast po tym, gdy przyznał, że za mord katyński odpowiada państwo sowieckie...

To był „prikaz” wydany 3 listopada 1990 r. Akademii Nauk, ministerstwu obrony, Komitetowi Bezpieczeństwa Państwowego ZSRS i innym organom oraz organizacjom państwowym. Miały do 1 kwietnia 1991 r. zebrać materiały archiwalne dotyczące tych faktów z historii stosunków polsko-sowieckich, które przyniosły uszczerbek stronie sowieckiej. Dokładnie tak ujmuje to Nikołaj Maliszewski w nr. 1 „Wojenno-historycznego archiwum” z bieżącego roku. Związek Sowiecki został rozwiązany, ale „prikaz” obowiązywał i obowiązuje nadal w Rosji.

Wróćmy jednak do moich ustaleń na podstawie komunikatów o sytuacji w obozach, wydawanych od jesieni 1920 do końca 1921 r. w liczbie około stu egzem-

plarzy, o których Rosjanie mówią, że podają celowo zaniżone dane. Po co władze polskie miałyby fałszować sprawozdania tworzone na własny użytek? Tego nie mówią, ale widocznie u nich taka praktyka była i jest stosowana. No więc biorąc pod uwagę szacunkowe liczby wziętych do niewoli i przebywających w niej po zakończeniu działań wojennych, uważam, że zmarło od 16 do 18 tys. jeńców. Oczywiście, jest to szacunek, bo nawet nie mamy pewności, ilu dokładnie zmarło w Strzałkowie i Tucholi, czyli w tych największych obozach.

Zmarli czy zostali zamordowani?

U nas nie mordowano jeńców w obozach w ogóle, a rozkaz mordowania wydany „z góry” – tak jak w przypadku Katynia – był niewyobrażalny. Historycy rosyjscy szukali u nas takiego rozkazu wydanego przez Piłsudskiego! To świadczy o tym, że nie mają pojęcia o honorze i zasadach polskiego Wodza Naczelnego. Jeśli zdarzały się przypadki złego traktowania jeńców, to pisała o tym prasa, wysyłano specjalne komisje, które ukrócały taki proceder (m.in. ukarano za to przysięgłego historyka Władysława Pobóg-Malinowskiego, służącego w Strzałkowie). Raz rzeczywiście postrzelono jeńca, ale podczas demonstracyjnego złamania dyscypliny obozowej, już po zakończeniu wojny.

W Tucholi mogło umrzeć nieco ponad 2 tys. jeńców przez ok. 11 miesięcy. Natomiast w Strzałkowie będzie to ok. 8 tys. Na 6,5 tys. skończyły się rejestry, które pozostały w starostwie wrzesińskim. Pozostałe, moim zdaniem, zostały wysłane do Warszawy i tam zaginęły razem z całym centralnym rejestrem.

Co głównie było powodem śmierci jeńców bolszewickich?

Umierali przede wszystkim wskutek chorób, a zwłaszcza epidemii cholery, grypy i tyfusu, które rozprzestrzeniały się zresztą na potęgę w samej Armii Czerwonej, oraz czerwonej wywoływanej warunkami sanitarnymi. Warunki w ziemiankach obozów, trzeba przyznać, były prymitywne. Swoje robiły brud i chłód. Natomiast nie głód; wbrew utartemu mniemaniu Polska wtedy nie głodowała – w przeciwieństwie do Rosji sowieckiej, gdzie ludzie z głodu umierali. Polska miała nadwyżki żywności. Oczywiście, występowało niekiedy niedożywienie spowodowane małym urozmaicheniem diety, brakiem niektórych artykułów, o czym zresztą szczegółowo pisałem. Nie można jednak porównywać wyżywienia w naszych obozach do głodzenia na śmierć jeńców sowieckich w obozach niemieckich podczas wojny 1941–1945. A Rosjanie to czynią, świadomie czy nieświadomie mijając się z faktami.

Ile było obozów?

Też nie możemy dokładnie powiedzieć. Największymi były te już wymienione, zbudowane przez Prusaków podczas wojny, ale poza tym istniały inne, wybudowane również przez Austriaków i wykorzystywane później ad hoc przez Polaków. Przejściowo osadzano jeńców w twierdzach, np. brzeskiej i toruńskiej. Jedynym wzniesionym przez Polaków obozem był ten w Rembertowie.

To zapewne ten, w którym wziętych do niewoli żołnierzy bolszewickich opisywał Edgar D'Abernon, chwając zresztą sposób obchodzenia się z nimi Polaków....

To ten. Służył jednak do czasu, bo barkami kierowano Wisłą osadzonych tam do Laskowic na Pomorzu, a potem kolejną do Tucholi. Przed doprowadzeniem do docelowych obozów zbierano wziętych do niewoli w tzw. punktach koncentracyjnych, które Rosjanie nazywają – kolejne ogromne nadużycie z ich strony – „polskimi obozami koncentracyjnymi”. Dobrze to brzmi propagandowo, zwłaszcza że razem z identycznie nazywanymi niemieckimi obozami z czasów II wojny światowej Polska jawi się jako jakieś zagłębienie obozów koncentracyjnych.

Putin z Obamą mogli tu znaleźć wspólny język...

Właśnie. Jednak w 2004 r., w efekcie kilkuletniej współpracy polsko-rosyjskiej, wydano w Rosji zbiór dokumentów,

w którym przyjęto moje szacunkowe dane dotyczące liczby jeńców, którzy stracili życie w polskich obozach, czyli od 16 do 18 tys. Nie wykluczam, że było ich jeszcze mniej – ok. 15 tys., ale ponieważ danych szczegółowych nie ma, jakiś margines błędu trzeba było zawrzeć. Obecnie staramy się – tak jak wymaga się przy tego typu pracach – przygotować imienne dane zmarłych, z wymienieniem, na jaką chorobę i kiedy zmarli. Zakończyliśmy już prace w odniesieniu do Tucholi, zaczyna my następne.

Skoro w 2004 r. przyjęto pańską wersję, a dalsze konkretne prace się toczą, to dlaczego – w ramach propagandy „antykatyńskie” – padają tak wysokie liczby ofiar jak 40, 60, a nawet 100 tys.?

Ponieważ na początku lat 2000. w sprawę zaangażował się sam prezydent Putin, któremu wówczas zależało na wspólnym zespole historyków polskich i rosyjskich. Znalazły się wówczas pieniądze na sfinansowanie pracy z ich strony i trzeba było też wydać drukiem jej owoc. Przyjęto więc moje szacunki. Potem zaczęto je jednak podważać, sięgając nawet po propagandę sowiecką i nazywając Tucholę „obozem śmierci”.

Wzięło się to stąd, że tak nazwał ją dziennikarz gazety emigrantów rosyjskich „Za Swobodu” (wydawanej w Polsce i za polskie pieniądze), myląc fakty i tworząc typowy humbug dziennikarski. Zamieścił wziętą z imaginacji liczbę 22 tys. ofiar (białych oficerów i Kozaków zresztą, a nie żołnierzy sowieckich!), informację o publikacji zamieścić w swoim sprawozdaniu szef polskiego wywiadu Ignacy Matuszewski, to z kolei – jako dokument polskiej instytucji mówiący nie o humbugu, ale o stanie faktycznym – zamieszczono w kłamliwie spreparowanym przypisie opracowania z czasów ZSRS, a dziś powołują się na to historycy rosyjscy. Przyjechali tu szukać nie naszej pomocy, ale dwóch dokumentów: rozkazu Piłsudskiego o „rozstrzeliwaniu jeńców sowieckich” oraz tego sprawozdania Matuszewskiego. Pierwszego oczywiście nie znaleźli, bo go nigdy nie było, a drugi odszukali, ale nadal absurdalnie traktują go jako potwierdzenie astronomicznej liczby zamordowanych krasnoarmiejców.

Zwraca uwagę, że szukanie argumentów o anty-Katyniu i nagłaśnianie ich przez moskiewską propagandę nasiliło się od połowy lat 2000., kiedy Polska zaczęła szukać sprawiedliwości w sprawie Katy-



Józef Stalin w latach 20. FOT. ARCHIWUM

nia w Strasburgu. Nawet historyk, który w 2004 r. przyjął moją wersję 16–18 tys. ofiar, dziś usztywnia swoje stanowisko. Żeby otrzymać większą liczbę zmarłych, trzeba przyjąć większą liczbę wziętych do niewoli. I stąd nieuprawniona stanem rzeczywistym rewizja rejestrów ze wspomnianych wcześniej punktów wymiany jeńców w Berdyczowie i Równem. Bierze się też pod uwagę, jak zawsze podczas każdej wojny, zawyżane, a nieweryfikowane komunikaty naszych jednostek o wziętych do niewoli bolszewikach i stąd wychodzą liczby przekraczające 200 tys., co jest niemożliwe choćby z tego prostego powodu, że liczebność całych frontów Armii Czerwonej była mniejsza.

Przecież liczb nie można mnożyć w nieskończoność, bo osiąga się granice absurdu.

Na Zachodzie, gdzie prowadzono badania nad losem jeńców, ustalono, że w obozach traciło życie kilkanaście

procent osadzonych. Dane dotyczące wojny bolszewickiej nie odbiegają więc od średniej europejskiej. Co ciekawe, historyków z Rosji nie ciekawią ani te statystyki, ani raporty misji humanitarnych, które badały warunki panujące w polskich obozach. Zresztą raporty czerwono krzyskie, zwłaszcza amerykańskie, nie są wcale nazbyt dla nas korzystne. Krytykuje się w nich organizację i warunki obozowe, nieraz nie biorąc zresztą pod uwagę sytuacji na froncie ani naszych możliwości, np. brak świeżej pościeli...

Rosjanie starają się, aby liczba zmarłych i rzekomo zamordowanych krasnoarmiejców nie była mniejsza od liczby ofiar zbrodni katyńskiej. Jakby chodziło o ewentualne pieniężne zadośćuczynienia. Trzeba dodać parę tysięcy do listy ofiar, to dodają...

[...]

Profesor Nikita Pietrow, wiceprzewodniczący Memoriału, podał, że Sowiet mordowali byłych jeńców, którzy powrócili z naszej niewoli do Kraju Rad, w ramach operacji polskiej NKWD w latach 1937–1939. Może w ramach anty-Katynia włącza się tam ofiary własnych zbrodni do puli zbrodni popełnionych rzekomo przez Polaków?

Niewykluczone, że stara się tam ukryć także te własne zbrodnie, podobnie jak zawyża się liczbę ofiar zbrodni niemieckich w ZSRS. Podstawową sprawą jest jednak to, aby Rosjanie zaprzestali wysuwania pod naszym adresem nieprawdziwych oskarżeń. Niech przyjadą i wskażą na polskiej ziemi miejsca ukrycia zwłok, tak jak my potrafimy wskazać doły śmierci w Katyniu, Miednoje, Charkowie i Bykowni. Niech wymienią z nazwiska rzekomo pomordowanych żołnierzy Armii Czerwonej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
rozmawiał Maciej Rosalak



Historyk Zbigniew Karpus – jest profesorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Napisał m.in. książkę: „Jeńcy i internowani rosyjscy i ukraińscy na terenie Polski w latach 1918–1924” oraz kilkadziesiąt artykułów na ten temat, a także – wraz z Giennadijem Matwiejewem i Waldemarem Rezmerem – wydał zbiór dokumentów dotyczących jeńców bolszewickich w Polsce.



Zwłoki pomordowanych przez NKWD w lwowskim więzieniu pod koniec czerwca 1941 r. FOT. ARCHIWUM

1939–1945. Cztery wielkie oszustwa Stalina



Maciej Rosalak

Generał Klemens Rudnicki, późniejszy zdobywca Bolonii, tak pisał, odpływając z sowieckiego Krasnowodsk w 1942 r.: „Gdyby mnie ktoś wówczas zapytał, jakie wrażenie o tej ziemi wryło mi się najsilniej w świadomość – odpowiedziałbym: nieludzkie kłamstwo, perfidne kłamstwo, które z kraju tego wyгнаło prawdę, zamieniło się w system, odebrało człowiekowi godność, sponiewierało go i zbrukało...”

Deinformacja, jaką uprawiają obecne władze rosyjskie, tkwi korzeniami w zakłamaniu własnej historii, zwłaszcza zaś okresu II wojny światowej. Profesor Nikita Pietrow z rosyjskiego Memoriału tak ujął ów problem („Historia Do Rzeczy”, nr 2/2013):

„Rzecz w tym, że rosyjska władza nie jest gotowa do rozmowy o tym, iż system sowiecki, jej poprzednik, był przestępczy, zbrodniczy. I z punktu widzenia władz to temat dziś zabroniony.

Rosyjska władza co najwyżej przystanie na stwierdzenie, że w czasach sowieckich były pewne postacie popełniające przestępstwa, np. Stalin i jego otoczenie. Rosyjska władza nie jest gotowa postawić znaku równości między tamtymi przestępstwami a charakterem samego reżimu sowieckiego, ponieważ swoją legitymizację, a przynajmniej jej część, wywodzi ona z tamtego reżimu. Przedstawiciele naszej władzy obawiają się, że uznanie zbrodniczości tamtego reżimu odbije się negatywnie na dzisiejszej

Rosji. A przecież słuszniej i uczciwiej byłoby przerwać te zbrodnicze więzi”.

SOJUSZNIK HITLERA

Szef sekcji polskiej rosyjskiego Memoriału – Aleksandr Gurjanow – tak powiedział PAP o przedstawieniu paktu Ribbentrop-Mołotow na niedawno otwartej w Katyniu (!) wystawie: „Został nazwany jako pakt o nieagresji i jest tam półgębkiem wspomniany jako taki krok wymuszony w celu obrony granic Związku Radzieckiego. Formalnie figuruje wzmianka i o tajnym protokole, ale z kłamliwym twierdzeniem, że nie przesądzał on losu państwa polskiego. Natomiast o rozbiórce – nie tylko Polski, ale całej strefy leżącej między Niemcami a Związkiem Radzieckim, o bandyckim podziale tych ziem wraz z ludnością – nie ma ani słowa. Istota tego paktu leży w protokole i uzgodnieniu rozbioru ziem, a nie w formalnych ustaleniach o nieagresji. To jedno z największych przekłamań tej wystawy, absolutnie w duchu sowieckiej narracji”.

O zakłamywaniu istoty sojuszu Stalina z Hitlerem tak pisał Norman Davies („Szlak

nadziei”): „Nie były znane warunki paktu między Niemcami a Rosjanami. Dowódcy Armii Czerwonej siali wszędzie dezinformację, często sprawiając wrażenie, że mają na celu wspieranie Polski przeciwko Niemcom. Prasa sowiecka pełna była mamiących słów o przyjaźni i braterstwie. Prawdziwe intencje Stalina stały się jasne, gdy było już za późno, żeby na nie zareagować. Wiele książek historycznych, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i w Rosji, przeskakuje lata 1939–1941, jakby nie było o czym wspominać w tym okresie. Amerykanów i Rosjan nauczono myśleć, że wojna zaczęła się dopiero wtedy, gdy ich kraje otwarcie się w nią zaangażowały. [...] W rzeczywistości podczas trwania paktu niemiecko-sowieckiego Hitler zaatakował i podporządkował sobie osiem państw, a Stalin – pięć”.

Obaj najeźdźcy dopuszczali się mordów na Polakach już podczas działań wojennych. Kontynuowali je następnie w sposób zorganizowany, a celem stały się przede wszystkim polskie elity. Spotkania przedstawicieli gestapo i NKWD wskazują na porozumienie i współdziałanie hitlerowców oraz bolszewików w tym przedsięwzięciu. Doszło do nich już 27 września w Brześciu, następnie we Lwowie, w Krakowie, Przemyślu, a w lutym 1940 r. w willach Telimena oraz Pan Tadeusz w Zakopanem. Niemiecka akcja „AB”, rozstrzeliwania w Palmirach i wywózki do Oświęcimia odbywały się w tym samym czasie, kiedy Sowietnicy wywozili tysiące Polaków na wschód, wtrącając ich do więzień i dokonywali zbrodni katyńskiej. Polskie kresy postradały polityków, urzędników państwowych, dowódców wojskowych, osadników, ziemian, twórców, dziennikarzy, prawników. Hitlerowcy i bolszewicy mordowali Polaków równolegle, jakby ścigając się, kto zastrzeli, zakatuje bądź sponiewiera więcej. Uderza zarówno synchronizacja zbrodniczych przedsięwzięć, jak i podobieństwo stosowanych metod.

Wkraczając na terytorium Rzeczypospolitej czerwoonoarmiści byli poinstruowani, żeby zjednać ludność



Związane ręce ofiary mordu w Katyniu FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

białoruską oraz ukraińską i wykorzystać ją do rozprawy z tą częścią Polaków, których władza sowiecka uważała za element obcy ideologicznie i wrogi. Dlatego gospodarstwa Białorusinów i Ukraińców miały być chronione, a także mogli oni wspólnie z bohaterską Armią Czerwoną rabować Polaków. Politrucy wprost wzywali zarówno cywili, jak i żołnierzy Wojska Polskiego niepolskiego pochodzenia do bandytyzmu: „Obracajcie swą broń przeciw obszarnikom i kapitalistom!”, „Bijcie oficerów i generałów!”. Padło to na podatny grunt zwłaszcza na Ukrainie. Kierowane przez moskiewskich funkcjonariuszy i komunistycznych dywersantów milicje „ludowe”, złożone na ogół z miejscowych wyrzutków społecznych, przystąpiły do dzieła.

Dowódca Frontu Ukraińskiego Siemion Timoszenko podpisał ułotkę, która była po prostu instrukcją rzezi: „Bronią, kosami, widłami i siekierami

bij odwiecznych swoich wrogów – polskich panów, którzy przekształcili twój kraj w bezprawną kolonię, którzy ciebie polonizowali, w błocie zdeptali twój kulturę i zamienili ciebie i twoje dzieci w bydło, w niewolników”. Dezinformacja padła na podatny grunt. I tak tracili domy i mienie, a także ginęli – często makabryczną śmiercią – ziemianie, osadnicy wojskowi, księża w wiejskich parafiach, a nawet zwykli chłopcy, których obciążały polskie pochodzenie, wiara

rzymskokatolicka, a już szczególnie jaki taki dobytek.

WIELKA TROJKA

Do alianckich „aktów strzelistych” czasu II wojny światowej należy Karta atlantycka. 14 sierpnia 1941 r. u wybrzeży Kanady podpisali ją Winston Churchill i prezydent USA (które jeszcze nie przystąpiły do wojny) Franklin Delano Roosevelt. Zwłaszcza umęczeni mieszkańcy okupowanych krajów z nadzieją odebrali słowa o prawie wszystkich narodów do posiadania własnych rządów i własnych niepodległych państw, do rozwoju gospodarczego i życia w pokoju. O zasadzie pokojowego rozstrzygania sporów międzynarodowych, zgodnie z zasadami sprawiedliwości i prawa międzynarodowego...

24 września 1941 r. na konferencji międzynarodowej w Londynie Kartę atlantycką podpisali członkowie koalicji antyhitlerowskiej, w tym – a jakże! – Związek Sowiecki. Uczynił to jednak z jednym zastrzeżeniem: uznania przez sprzymierzonych granic istniejących w czerwcu 1941 r. I tak wielki rabuś stawał się wielkim sprzymierzonym wraz z przyobiecany przez Hitlera i zagarniętym łupem w postaci trzech państw bałtyckich, rumuńskiej Mołdawii, połowy Polski i części terytorium Finlandii.

Co na to opinia publiczna Zachodu? Cóż, niemal cała prasa brytyjska, tak entuzjastyczna wobec polskiego sojusznika przed niespełna rokiem, kiedy hurricane'y i spitfire'y z białoczerwonymi szachownicami broniły Anglii



■ przed samolotami Luftwaffe, diametralnie zmieniała ton. Prokomunistyczna „Tribune” używała zwrotów zapożyczonych z moskiewskiej „Prawdy”, pisząc o „feudalnej Polsce uciskającej obce narodowości” i w „bandyckim napadzie” zdobywającej Wilno, niemającej więc prawa do granicy z 1939 r. Być może zresztą tezy ówczesnej prasy sowieckiej o wschodnich terenach RP „całkowicie zamieszkałych przez Rosjan”, mijające się ze stanem faktycznym o tysiąclecie, i o upadku Polski, „gdyż współdziałała z reakcyjnymi potęgami”, były bezkrytycznie przyjmowane nad Tamizą... Z kolei 3 sierpnia tygodnik „Truth” wyrażał satysfakcję, że „układ polsko-sowiecki pozwala Anglii umyć ręce od spraw Europy Wschodniej”. Celne stwierdzenie, trzeba przyznać...

Podczas rozmów z Władysławem Sikorskim, prowadzonych w Moskwie na początku grudnia 1941 r., Stalin wymigał się od jednoznacznego przywrócenia status quo sprzed wspólnej z Hitlerem napaści na Polskę we wrześniu 1939 r. Stało się to źródłem nieszczęść, które rychło dotknęły Polaków pozostających nadal na „niehumanitarnej ziemi” – Sowietci uniemożliwiali dotarcie łagierników i zesłańców do armii gen. Władysława Andersa, nie respektowali polskiego obywatelstwa Białorusinów, Ukraińców i Żydów, zamykali delegatury polskiej ambasady, zatrzymywali i więzili ludzi, pozbawiali ich środków do życia.

Alianci zachodni nie spełniali oczekiwań Polaków i jednoznacznie nie poparli naszego prawa do granic sprzed września 1939 r. Mimo wizyty gen. Sikorskiego w Waszyngtonie (1942) Roosevelt niczego absolutnie nie przyrzekał w sprawie naszych granic wschodnich, tyle że kazał zawiesić w gabinecie mapę z przedwojennym kształtem RP. Oczekiwanie nasze były całkowicie słuszne z moralnego, a także prawnego punktu widzenia, ale okazywały się mrzonką w zestawieniu z zimną, brutalną polityką.

Okazało się to zwłaszcza po odkryciu przez Niemców grobów katyńskich, kiedy Stalin bezczelnie wyparł się sprawstwa mordu oraz zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem RP na Uchodźstwie. Jak pisze Davies: „nie tylko zerwał stosunki, ale z pomocą światowego ruchu komunistycznego rozpoczął głośną propagandę przeciw wszystkim, zwłaszcza Polakom, którzy nie przyjmowali kłamliwej wersji zdarzeń podawanej przez Kreml. W Wiel-

kiej Brytanii większość społeczeństwa wierzyła w sowiecką propagandę, którą wspierała też cenzura wojenna. Brytyjska prasa nie dość, że wskazywała palcem na nazistów, to oprócz nielicznych wyjątków powtarzała oszczerstwa Moskwy pod adresem Polaków, których przedstawiano jako »faszystów«, »sympatyzujących z nazistami«, »kiepskich sojuszników«, »tchórzy, którzy boją się walczyć« i »antysemitów«.

Szydercze i szkalujące komentarze na temat charakteru Andersa i domniemanego »braku dyscyplin« jego wojsk zaczęły krążyć nie tylko w prasie, lecz także w oficjalnych raportach, jakby były potwierdzonym faktem. Anders napisał do brytyjskiego ministerstwa wojny, żeby



Oficer NKWD FOT. ARCHIWUM

przeciw temu zaprotestować. Panujące jednak błędne mniemanie o Związku Sowieckim było zbyt silne. Opinia brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych na temat Andersa opisywała go jako »walecznego, ale wojowniczo nastawionego żołnierza, mającego wysokie mniemanie o pozycji Polaków... i niebiorącego pod uwagę realiów współczesnej światowej polityki«. Pod hasłem »realia światowej polityki« kryła się lizusowska uległość MSZ wobec Stalina».

Zdradę aliantów dopełniły postanowienia wielkiej trójki (raczej: trojki) pod koniec 1943 r. w Teheranie i w lutym 1945 r. w Jałcie. Na początku

lipca (1945) alianci cofnęli uznanie dla Rządu RP na Uchodźstwie, a konferencja w Poczdamie rychło przypieczętowała najgorszy, napisany przez Stalina scenariusz: kolejny rozbiór Polski i oddanie jej we władanie Sowietom.

KŁAMSTWO KATYŃSKIE

Kłamstwo oczyszczające z wszelkiej winy Sowietów za ludobójstwo katyńskie, długo przyjmowane oficjalnie przez Zachód za dobrą monetę, było zbrodnią. Kalało pamięć ofiar, zadawało ból i prowadziło do wyrządzania dalszych krzywd ich rodzinom, pozwalało Rosjanom głosić kłamliwą wersję historii II wojny światowej, stanowiło wreszcie mit założycielski komunistycznej Polski Ludowej. Oto jak powstało to kłamstwo, które zresztą nadal przyjmuje za prawdę znaczna część Rosjan.

Jego ślad znajdujemy już 13 października 1940 r. podczas rozmowy szefów NKWD – Ławrientija Berii i Wsiewołoda Mierkułowa z ppłk. Zygmuntem Berlingiem. Ten ostatni przypominał o oficerach internowanych w Kozielsku i Starobielsku. Mierkułow zmieszał się. „Ach, ci nie” – odparł. „Popełniłszy z nimi wielki błąd...” Beria nie dał mu dokończyć: „Nie ma ich w ZSRR” – uciął. Jesienią 1941 r. wiceszef sowieckiego MSZ Andriej Wyszyński powiedział ambasadorowi RP Stanisławowi Kotowi: „Liczba 9500 oficerów polskich, rzekomo znajdujących się w ZSRR, nie potwierdziła się. W zestawieniach NKWD nigdy taka liczba oficerów nie figurowała, również ludowy komisarz obrony jej zaprzecza”. 14 listopada sam Stalin, indagowany przez Kota w tej sprawie, zapytał przez telefon: „NKWD? Tutaj Stalin. Czy wszyscy Polacy zostali zwolnieni? Bo jest tu u mnie ambasador polski, który mówi, że nie wszyscy”. Odkłada słuchawkę i mówi półgłosem jakby do siebie: „Oni mówią, że wszyscy zwolnieni”. Kiedy 3 grudnia o oficerów zapytał na Kremlu gen. Władysław Sikorski, Stalin oświadczył: „Oni uciekli”. Anders: „Dokądże mogli uciec?”. Stalin: „No, choćby do Mandżurii”.

18 marca 1942 r. Stalin powiedział Andersowi i szefowi jego sztabu płk. Leopoldowi Okulickiemu: „Ja już wydałem wszystkie rozkazy, by ich zwolnić. [...] Nie wiem, gdzie są. Na co mnie ich trzymać? Może byli w obozach na terenach, które zajęli Niemcy, i rozbiegli się”. Okulicki: „Niemożliwe – o tym byśmy wiedzieli”.

Ambasador RP Tadeusz Romer obliczył, że od lipca 1941 do kwietnia 1943 r. władze polskie przedłożyły urzędowi ZSRS 50 oficjalnych próśb o pomoc w odnalezieniu zaginionych jeńców.

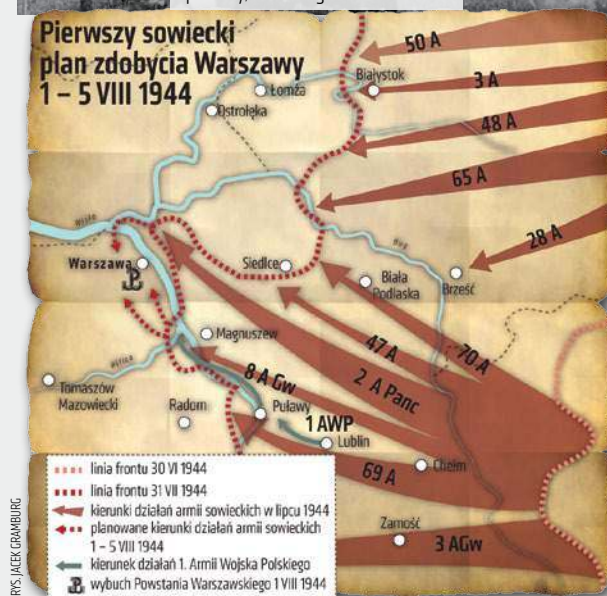
W kwietniu 1943 r., po ogłoszeniu przez Niemców odkrycia katyńskich grobów i prośbie rządu polskiego skierowanej do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o sprawdzenie na miejscu stanu faktycznego, Radio Moskwa nadało komunikat rządu ZSRS, który przypisał Niemcom zamordowanie polskich jeńców w 1941 r., a odkryte szczątki ludzkie nazwał „stanowiskiem archeologicznym”. Stalin w listach do Churchilla i Roosevelta oskarżył rząd RP o kolaborację z Niemcami. Przywódcy aliantów nie zgodzili się wprowadzić oskarżeń, ale skrytykowali skierowanie sprawy do MCK przez władze polskie. 26 kwietnia ZSRS zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem RP w Londynie.

1 maja 1943 r. organ PPR „Trybuna Wolności” opublikował deklarację KC z 23 kwietnia, uznającą Niemców za sprawców mordu katyńskiego, a rząd RP w Londynie i władze Polskiego Państwa Podziemnego za „pomocników Goebbelsa”. Takie stanowisko późniejsze władze PRL będą utrzymywać do końca lat 80., kiedy na ogłoszenie winy ZSRS zdecyduje się Michaił Gorbaczow. Instrukcja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z 12 marca 1952 r. nakazywała natomiast ściganie i stawianie przed sądem „osób i grup rozpowszechniających oszczerce wersje w sprawie Katynia”. Do 1956 r. za wrogą propagandę – z pewnością dotyczącą też Katynia – represjonowano 15 tys. Polaków.

Władze USA utajniły oskarżające Sowietów raporty i skarciły płk. Henry’ego J. Szymańskiego, oficera łącznikowego US Army przy Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie, oraz płk. Johna Van Vlieta, który oglądał katyńskie groby. 18 listopada 1951 r., podczas tzw. zimnej wojny, Izba Reprezentantów Kongresu USA powołała komisję Raya J. Maddena, która



Posąg Chrystusa wśród ruin Warszawy. Sowietci nie udzielili pomocy, choć mogli FOT. NAC



po roku badań opublikuje obszerny raport ze śledztwa i – bezskutecznie! – zaleci rządowi USA, by uznać sowieckie sprawstwo mordu i wnieść sprawę przed Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze. Podobny raport złożył też swym władzom ambasador brytyjski przy rządzie polskim na uchodźstwie Owen O'Malley. Dokument pozostał utajniony do 1972 r.

24 stycznia 1944 r. raport powołanej przez Sowietów komisji profesora chirurgii Nikołaja Burdenki utrzymywał,

że w 1941 r. 11 tys. jeńców polskich zamordowali Niemcy. Rok później potwierdzili to kłamstwo sterroryzowani profesorowie Marko Markow z Sofii i František Hájek z Pragi, którzy w 1943 r. stwierdzili prawdę podczas prac międzynarodowej komisji lekarskiej. Na początku lipca 1946 r. Sowietci złożyli bezczelny wniosek do Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze oskarżający Niemców o katyńską zbrodnię. Wyrok Trybunału z 30 września 1946 r. pominął sprawę Katynia. Oskarżenie więc upadło, ale na obciążenie winą Sowietów już zabrakło woli.

CZERWONA ZARAZA

Z myślą o prawdziwym odrodzeniu Rzeczypospolitej po zwycięstwie nad Niemcami walczyli i ginęli żołnierze Armii Krajowej, zdobywający Wilno i Lwów, heroiczni powstańcy warszawscy, lotnicy i marynarze, żołnierze spod Monte Cassino i Falaise. Walczyli i ginęli właściwie – od Teheranu '43 – daremnie... Aliantom zachodnim było wygodnie brać za dobrą monetę wszelkie kalumnie, jakie Stalin rzucał na legalny rząd polski i Polskie Siły Zbrojne, władze Polskiego Państwa Podziemnego oraz na wiernych im żołnierzy niepodległościowej konspiracji.

Toteż Sowietci mieli wolną rękę w zwalczaniu partyzantki Armii Krajowej na naszych kresach północno-wschodnich (bolszewicki zarządca Białorusi gen. Panteleimon Ponomarenko wydał stosowny rozkaz swoim partyzantom tuż po zerwaniu stosunków z rządem polskim), a następnie na ziemiach centralnej Polski. 31 sierpnia 1944 r. Stalin wydał ściśle tajny rozkaz dowódcom trzech będących tu wówczas frontów Armii Czerwonej oraz podległym im dowódcom LWP, aby rozbrajać oddziały AK, a oficerów internować. Akcją „Burza”, podczas której – wspomagając wojska sowieckie! – występowały jawnie AK oraz Delegatury Rządu RP, określił: „hitlerowskie szpiegostwo stara się przeniknąć na terytorium działań wojennych Armii Czerwonej i zostać na terytorium zwolnionej

■ Polski pod pretekstem polskich oddziałów Armii Krajowej”.

Rozpoczęła się na „białych Polaków obława”. Widać, niedostatecznie brutalna, bo jesienią 1944 r. sowiecki dyktator zrugął kierownictwo PPR za opieszałość w zwalczaniu „faszystów”, czyli polskich organizacji niepodległościowych. Do końca wojny i jeszcze długo po niej dziesiątki tysięcy patriotów ginęły w samoobronie, były mordowane (tak jak w lipcu 1945 r. w Puszczy Augustowskiej) lub zsyłane na Wschód.

Szczytem bezprawia była zdradziecka prowokacja NKWD w marcu 1945 r., której skutkiem było porwanie i wywiezienie do Moskwy 16 przywódców podziemia niepodległościowego. Kiedy o ich los zapytali – zaalarmowani przez Polaków – alianci, Sowietci udali, że o niczym takim nie wiedzą. Na początku maja, jak gdyby nigdy nic, powiedziano jednak o „aresztowaniu” grupy „dywersantów”, a 19 czerwca

rozpoczęto w Moskwie ich proces. Oskarżeni o nielegalną działalność polityczną, zbrojną i dywersyjną przeciw Związkowi Sowieckiemu i jego armii, zeznawali po miesięcznym śledztwie na Łubiance, z wielodniowym pozbawianiem ich snu. Podczas procesu starała się dzielnie trzymać większość oskarżonych, z delegatem Rządu na Kraj Stanisławem Jankowskim oraz dowódcą AK gen. Leopoldem Okulickim włącznie. Obydwaj otrzymali najwyższe wyroki – odpowiednio 8 i 10 lat – żaden też z nich żywy z sowieckiego więzienia nie wyszedł.

Przykładem najbardziej zakłamej, zbrodniczej perfidii były sowieckie reakcje podczas powstania w stolicy. 13 razy radiostacja polskich komunistów „Kościuszko” nadawała wezwania do „ludu Warszawy”, aby „chwycił za broń”, a inni figuranci sowieccy rozlepiali plakaty tej treści na ulicach. Kiedy zaś powstanie wybuchło, Sowietci czekali z założonymi rękami.

Żołnierz batalionu „Parasol” Józef Szczepański „Ziutek” nawiązał do tego we wstrząsającym wierszu „Czerwona zaraza”: „Czekamy na ciebie, czerwona zarazo, / byś wybawiła nas od czarnej śmierci, / byś nam Kraj przedtem rozdarłaś na ćwierci, / była zbawieniem witany z odrazą”.

Jak bezspornie udowadnia prof. Ni-kołaj Iwanow („Powstanie Warszawskie widziane z Moskwy”), marsz. Konstanty Rokossowski miał plan i wystarczające siły, aby zająć miasto w ciągu pierwszych dni powstańczych walk, ale dostał rozkaz: „Zatrzymać czołgi!”. Z kolei odmowa lądowania samolotów alianckich z pomocą dla powstańców na lotniskach połowych Armii Czerwonej prowadziła do ograniczenia tej pomocy i ogromnych strat. Wtedy też – bodaj po raz pierwszy tak dotkliwie – Brytyjczycy i Amerykanie zdali sobie sprawę ze złej woli i z kłamstw Sowietów. Nic dobrego dla Polski, niestety, z tego nie wynikło. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gehlen – dezinformator w dobrej wierze?



Przedziwna kariera wiodła go od OKH podczas wojny do CIA i BND po jej zakończeniu

O byłym generale Wehrmachtu – Reinhardzie Gehlenie – dotychczas krążą dziwne pogłoski. Niektóre okazują się tak nieprawdopodobnymi zmyśleniami, jak choćby to, że przygotował zamach na życie gen. Karola Świerczewskiego, a także na... prezydenta Johna F. Kennedy'ego (cóż za rozrzut!). Bardziej prawdopodobne byłoby to, że odpowiada za

ukucie oszczerstwa o „polskich obozach koncentracyjnych i zagłady”, gdyby nie fakt, iż również ta pogłoska nie znalazła potwierdzenia źródłowego. Natomiast poważnego potraktowania wymagałoby stwierdzenie celowej dezinformacji Amerykanów, jaką podobno stosował, gdy po wojnie współpracował z CIA.

Urodzony w 1902 r., w wieku 16 lat zdążył zaciągnąć się do armii jeszcze podczas trwania I wojny światowej. Tak jak jego ojcu udało się ożenić z flamandzką arystokratką, tak on ożenił się w 1931 r. z córką krewnego jednego z generałów Fryderyka Wielkiego. Kariera w armii wyraźnie wtedy przyspieszyła; trafił nawet na jakiś czas do Sztabu Generalnego (1935). Pierwsze lata II wojny światowej spędził także w sztabach – od dywizji do Oberkommando des Heeres (Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych), gdzie w 1942 r. powierzono mu kierowanie Wydziałem Obce Armie „Wschód”. Urzędował wtedy

w mazurskich Mamerkach, niedaleko Wilczego Szańca pod Kętrzyńnem.

Prowadząc wywiad operacyjny całego frontu wschodniego, rozwinął sieć szpiegowską, zbierając przede wszystkim informacje o Armii Czerwonej, a także o sowieckiej agenturze. W grudniu 1944 r. otrzymał rangę generała, choć denerwował Hitlera kasandrycznymi wieściami o sytuacji wojennej. Miesiąc przed końcem wojny stracił stanowisko, ale nie stracił ogromnego archiwum swego wydziału. Przewidując ukryć je w opuszczonej kopalni bawarskiej, a wykorzystał po zatrzymaniu przez Amerykanów, którzy nie tylko po roku badań zwrócili mu wolność, lecz także zaproponowali zajęcie, które przeniósł go do historii.

Oto do 1956 r. zarządzał założoną przez siebie firmą szpiegowską Gehlen Org, pracującą przede wszystkim – ale nie tylko – dla CIA, a następnie objął kierownictwo wywiadu zachodnioniemieckiego – BND (Bundesnachrichtendienst).

Na tym stanowisku pozostał do 1968 r., będąc solą w oku przede wszystkim dla Sowietów, których świetnie rozpracowywał (i ich „pożytecznych idiotów” na Zachodzie), a także dla ludzi, którzy nie mogli pogodzić się z zatrudnianiem przez niego byłych funkcjonariuszy hitlerowskich, nawet z krwią na rękach.

A wracając do problemu zasygnalizowanego na początku, powiedzmy, że jego raporty dotyczące siły militarnej Sowietów – a zwłaszcza ich możliwości ataku rakiet z głowicami atomowymi – były i są uznawane za przesadzone. Wywoływały one zwiększanie nakładów USA na broń rakietową dalekiego zasięgu i – w efekcie – wyścig zbrojeń wielkich mocarstw. Nasuwają się dwa pytania: Czy rzeczywiście była to celowa dezinformacja z jego strony? A jeśli tak, to czy dezinformował w dobrej wierze, czyli w trosce o siłę paktu północnoatlantyckiego narażonego na atak Sowietów, który pozostałby bez odpowiedzi? © © (M.R.)



Proces TUN (Tatara, Utnika, Nowickiego)
w 1951 r. FOT. STANISŁAW WIDOWSKI/PAP



Sławomir Cenckiewicz



Piotr Włoczyk

Sowiecki model zastosowano w walce z naszą emigracją po 1945 r. w trzech wielkich operacjach wywiadowczych Polski Ludowej – mówi dr hab. Sławomir Cenckiewicz w rozmowie z Piotrem Włoczykiem

PIOTR WŁOCZYK: Jak Polska Ludowa podzieliła polską emigrację?

PROF. SŁAWOMIR CENCKIEWICZ: Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej polscy komuniści zaapelowali do emigrantów o powrót do kraju. Już w „Manifestie PKWN” wezwali emigrantów do powrotu, zaznaczając jednakże, że „dla tych, którzy zdradzili Polskę we wrześniu 1939 r., granice Rzeczypospolitej będą zamknięte”. Koncepcja przeciwstawienia „zdrowych mas żołnierskich” „reakcyjno-faszystowskiemu bankrutom politycznym” winnym klęski wrześniowej będzie od tej pory jednym z podstawowych kierunków walki propagandowej z wychodźstwem wojennym.

Czy Moskwa musiała jakoś specjalnie zachęcać władze PRL do zwalczania emigracji?

Polska Ludowa była kopią Związku Sowieckiego, więc białe i antykomunistyczne wychodźstwo automatycznie stawało się wrogiem komunistów. Sowieci w latach 20. prowadzili jedną z największych operacji wywiadowczych o krypt. Sindikat, która wymierzona była w białoruską emigrację – jej celem było zniszczenie siły antykomunistycznego uchodźstwa poprzez ściągnięcie do ZSRS liderów i osób cieszących się autorytetem, chirurgiczne operacje likwidacyjne i przerzut agentur – i która miała dezintegrować uchodźstwo.

To wszystko brzmi dosyć znajomo.

Właśnie ten model walki z polskim uchodźstwem zastosowano po 1945 r. i analizując chociażby trzy wielkie operacje wywiadowcze Polski Ludowej: „Ośrodek”, „Cezary” i „Condemned”, widać wyraźnie, że są wzorowane na „Sindikacie”.

Dzisiaj mogłoby się wydawać, że nieuznawany od lipca 1945 r. przez aliantów rząd londyński niewiele w gruncie rzeczy mógł. Tymczasem ośrodek ten dysponował przecież całkiem realną siłą, której musieli się obawiać polscy komuniści.

Kiedy na mocy decyzji króla Jerzego VI i brytyjskiego parlamentu latem 1946 r. powstał Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, do którego wstąpiła zdecydowana większość zdemobilizowanych żołnierzy PSZ (114 tys.), w Warszawie zawrzało. Komuniści obawiali się, że żołnierze PSZ na „etacie w brytyjskiej armii” to wstęp do wojennej krucjaty antykomunistycznej. Próbowali więc ściągnąć do kraju jak najwięcej żołnierzy PSZ. Zainicjowali tzw. sprawę obiektową



Czesław Kiszczak w latach 1946–1947 rozpracowywał środowisko 2. Korpusu Polskiego w Londynie. FOT. IPN

o krypt. Condemned, która zasięgiem rozpracowania objęła byłych żołnierzy PSZ i reemigrantów, sprawy związane z powstaniem i funkcjonowaniem PKPR oraz rewindykację mienia władz cywilnych i wojskowych na uchodźstwie.

Kto odpowiadał za realizację tej operacji?

Realizacją „Condemned” zajął się wywiad wojskowy, główny ciężar prowadzenia operacji spoczywał zaś na barkach personelu attachatu wojskowego w Wielkiej Brytanii, od lutego 1946 r. kierowanego przez ppłk. Józefa Kuropieskę. Najpewniej to właśnie pod wpływem raportów Kuropieski komuniści zdecydowali o odebraniu obywatelstwa polskiego sześciu generałom i 70 wyższym oficerom Wojska Polskiego. Wyrażnie uradowany ppłk Kuropieska 9 października 1946 r. meldował Komarowi o reperkusjach decyzji Rady Ministrów: „Opublikowanie nazwisk oficerów pozbawionych obywatelstwa daje pewne rezultaty, wyrażające się we wzroście tych, którzy ani nie zgłaszają się do PKPR, ani nie decydują się na powrót do Kraju. Niewątpliwie wzrasta również liczba zgłaszających się do repatriacji”.

Ukoronowaniem operacji „Condemned” było nawiązanie współpracy z wysokimi oficerami PSZ – gen. Stani-

ławem Tatarem (zastępca szefa Sztabu Naczelnego Wodza do spraw Krajowych, któremu podlegał Oddział VI), ppłk. Marianem Utnikiem (szef Oddziału VI) i płk. Stanisławem Nowickim (szef sekretariatu osobistego gen. Tatar). Wymienieni oficerowie współtworzyli Komitet Trzech, kierujący fundacją Drawa, którą na wiosnę 1945 r. powołały władze RP na uchodźstwie.

Dlaczego przejście Drawy było kluczowe dla komunistów?

Fundacja rozporządzała znaczną częścią aktywów

finansowych rządu polskiego. W 1947 r. trafiły one w ręce komunistów. W czerwcu 1947 r. w ambasadzie zdeponowano 10 metalowych skrzyń ze złotem FON. W lipcu złoto trafiło do kraju. W okresie od października 1947 do końca 1948 r. Komitet Trzech przekazywał stopniowo środki finansowe fundacji Drawa. Dostarczono do Polski ponad 100 tys. dol. w banknotach, 27 tys. funtów w banknotach oraz 12 tys. dol. w złocie i prawie 2 tys. funtów w złocie.

Komuniści uhonorowali swoich współpracowników. W lipcu 1948 r. Bolesław Bierut odznaczył gen. Tatara Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski IV klasy, ppłk. Nowickiego Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski V klasy, a ppłk. Utnik rozkazem marszałka Żymierskiego awansowany został na stopień pułkownika. To był bodaj największy sukces wywiadu walczącego z uchodźstwem wojskowym w tym czasie.

Co ta zdrada oznaczała dla polskiej emigracji?

Operacja TUN-owska ukazała skalę prowadzonych działań przez Warszawę, ich skuteczność i możliwości plasowania agentury na najwyższych poziomach politycznego i wojskowego uchodźstwa. Poza tym – dokładnie tak jak w sowieckim „Sindikacie” – komuniści przejęli znaczną część majątku i archiwaliów

uchodźstwa, co z kolei stało się instrumentem do rozpracowania politycznych agend rządu RP w kraju. W Wojskowym Biurze Historycznym znajduje się blisko 700 teczek archiwalnych przekazanych przez grupę TUN, a w każdej z nich są analiza zawartości dokonana przez funkcjonariuszy MBP i wnioski na temat tego, co należy zrobić. Przerazające!

Jak wyglądały inne działania wywiadowcze wobec emigracji?

Sukcesy operacji „Condemned” były jedynie wstępem do wielu późniejszych akcji безпеki, która postawiła sobie za cel przechwycenie tzw. kanałów łączności emigracji z krajem. O słynnych grach operacyjnych безпеki z przełomu lat 40. i 50. polegających na przejściu kontroli nad placówkami „Północ” i „Południe” w Niemczech Zachodnich i organizowanymi przez nie kanałami łączności wiemy już stosunkowo wiele (tzw. afery Bergu). Operacje te wymagały ścisłej kontroli środowiska endeckiego na emigracji, bo za placówkami „Północ” i „Południe” stali właśnie narodowcy. Warto w tym miejscu wspomnieć też o mniejszych akcjach bezpieczeństwa – zainicjowanej w 1947 r. operacji o krypt. Ekspozytury oraz operacji „Koral” z 1952 r.

Czy wielki sukces władz PRL – powrót Stanisława Cata-Mackiewicza do kraju – nie stanowi pewnej cezury w walce z emigracją?

No właśnie, to jedna ze smutniejszych spraw. Stanisław Cat-Mackiewicz w sierpniu 1955 r. zwrócił się listownie do Jerzego Putramenta. W niepodpisanym, a napisanym na maszynie liście „Cat” pisał do Putramenta: „Szanowny i Drogi Panie, Dobrze Panu znany Szatybełko gotów jest odbyć z Panem lub z kimś od Panów poważną rozmowę na zupełnie zasadnicze tematy, na razie oczywiście najściślej poufną i nie gdzie indziej, jak tylko w Londynie”.

„Szatybełko” to sam Mackiewicz, który pod takim nazwiskiem pojawił się w powieści Putramenta zatytułowanej „Rzeczywistość” (Warszawa 1947). Od tej pory rozpoczyna się druga odsłona rozmów przedstawicieli PRL z Mackiewiczem, który pierwsze kontakty nawiązał już w latach 40. w Londynie.

W jakiej formie odpowiedziano na list „Szatybełki”?

Zaledwie po kilku dniach od otrzymania listu Putrament zostaje wysłany

do Londynu i w ścisłym porozumieniu z Departamentem I Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego jako „Delegat” rozpoczyna negocjacje z „Catem”. Po krótkim czasie Mackiewicz, któremu nadano krypt. Rober, został „przekazany na kontakt” kadrowemu oficerowi rezydentury w Londynie – Jerzemu Klingerowi ps. Oskar. „Zamieścił on [Mackiewicz] szereg artykułów w czasopiśmie: »Tygodnik«, »Kultura« i »Wiadomości«. Artykuły te były w dużej mierze inspirowane przez pracownika kadrowego Departamentu I, który po rozmowie J. Putramenta z Mackiewiczem prowadził dalsze rozmowy aż do chwili jego powrotu do kraju”.

Atakował w nich emigrację polską, przywiązanie do idei legalizmu i państwa na uchodźstwie, podawał w wątpliwość sens pozostawiania i prowadzenia działalności politycznej na wygnaniu, a także oskarżał część polityków polskich o działalność szpiegowską na rzecz Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii (tzw. afera Bergu). Od tej pory przez prawie rok (między sierpniem 1955 a czerwcem 1956 r.) Mackiewicz pozostawał w sensie dosłownym pod opieką Departamentu I.

Co wchodziło w skład tego „pakietu opiekuńczego”?

Mackiewicz prosił „Oskara” m.in. o zapłatę czynszu za mieszkanie, „dotację” na zakup kozucha, aparatu do powiększania zdjęć i książki. Funkcjonariusz rezydentury ps. Grabski chodził nawet z „Catem” na zakupy, regulował rachunki, przed wyjazdem pomagał mu się pakować, a nawet odwiózł go na lotnisko. Stanisław Cat-Mackiewicz wylądował w Warszawie w dniu 14 czerwca 1956 r. Jego powrotowi towarzyszyła odpowiednio przygotowana oprawa propagandowa.

Walka z emigracją nie ograniczała się oczywiście jedynie do terytorium Wielkiej Brytanii. Jak to wyglądało wśród aktywnych politycznie polskich emigrantów zamieszkujących inne kraje?

Chociaż „polski Londyn” był najważniejszy, to rozsiane po świecie osoby związane z legalizmem państwa na wygnaniu były rozpracowywane przez bezpiekę. Po 1956 r. niemal wszyscy liderzy emigracyjni, większość stronnictw politycznych, organizacji społeczno-kulturalnych i czasopism zostali

poddani „ochronie operacyjnej” ze strony wywiadu PRL.

Żadnych wątpliwości co do tego nie pozostawia „Zarządzenie w sprawie pracy operacyjnej służby bezpieczeństwa za granicą (w krajach kapitalistycznych) z 8 sierpnia 1958 r., w którym wiceminister spraw wewnętrznych gen. Mieczysław Moczar wyliczył aż 29 instytucji polskiego życia społeczno-politycznego na uchodźstwie. Lista polityków emigracyjnych, których po 1956 r. rozpracowywano i inwigilowano, wydaje się nie mieć końca.

Polskojęzyczna sekcja Radia Wolna Europa przez długie lata była chyba największym emigracyjnym wrogiem władz PRL?

To prawda, choć trzeba pamiętać, że RWE – mimo że pracowało w rozgłośni wielu znamienitych emigrantów – nie było ani przez uchodźstwo, ani przez komunistów traktowane jako dzieło emigracji. W latach późniejszych, na skutek coraz mniejszego znaczenia emigracji londyńskiej, komuniści skupiali się przede wszystkim na walce z Radiem Wolna Europa (zagłuszanie audycji) i paryską „Kulturą” (zwalczanie kolportażu pisma w kraju). Od lat 60. uznano w Warszawie, że RWE jest jednym z najważniejszych ośrodków oddziaływania na kraj, stąd intensyfikacja rozpracowania rozgłośni przez wywiad cywilny i służby wojskowe. Rozpracowaniem zostali objęci pracownicy RWE i jego krajowi współpracownicy.

Czy PRL kiedykolwiek „odpuściła” polskiej emigracji?

Nie, walka z nią trwała do końca Polski Ludowej. Zmieniał się tylko otaczający działania bezpieki historyczny kontekst. W latach 80. doszło kolejne



Premier Rządu RP na Uchodźstwie
Tomasz Arciszewski FOT. NAC

wyzwanie – rozpracowanie zagranicznych agend Solidarności i kanałów łączności z podziemiem w kraju. I znów okazały się przydatne doświadczenia i sukcesy z lat 40. i 50., do których tak chętnie odwoływali się szefowie bezpieki z Czesławem Kiszcziakiem i Władysławem Pożogą na czele...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Oszczerczy wobec NSZ plakat przed referendum 1946 r. FOT. ARCHIWUM

Kierunek
ORLEN



Złap Waszą piłkę!

**Tankuj, kupuj i odbierz
w atrakcyjnej cenie!***

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych
lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...



ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orken.pl.eprasa.pl 73211291f3

Na końcu drogi

Zdecydowanie „Ella i John” to nie jest film dla młodych ludzi. Tytułowa para dawno już przekroczyła smugę cienia, jednak wena ich jeszcze nie opuściła. Ku zgrozie lekarzy oraz pozbawionych fantazji dzieci ruszają wysłużonym kamperem na drugi koniec kraju. John, ekspe-

dydagog, chce zobaczyć dom swego ukochanego pisarza, Hemingwaya. Ella ma cel ambitniejszy: pragnie ożywić wspomnienia (co nie jest łatwe, gdy partner choruje na alzheimera).

Podróż obfituje w przygody, czasem zabawne. John bierze udział w wiecu wyborczym Trumpa i woła: „Uczyńmy Amerykę znowu wielką”, choć zawsze głosował na demokratów. Film jest ekranizacją powieści Michaela

Zadoorian „Powrót na Route 66”. Droga, niegdyś kultowa, dziś podupadła, wiodła emerytowanych bohaterów z Detroit do Disneylandu. Czytelnicy mają do Virzego pretensje o zmianę trasy i trywialność. Domyślam się, że zadaniem czterech (!)



★★★★★
REŻ. PAOLO VIRZI
„ELLA I JOHN”
(„LEISURE SEEKER”)
FRANCJA/
WŁOCHY 2018

wyst. Helen Mirren,
Donald Sutherland,
Christian McKay

scenarzystów było uczynić całość bardziej sentymentalną, dowcipną oraz dosadną. I prawie im się to udało, lecz na szczęście duet Mirren – Sutherland wznosił się na szczyty swoich możliwości. Ape-

luję do speców od inżynierii genetycznej: sklonujcie ich w pierwszej kolejności, żeby również przyszłe pokolenia miały przyjemność obcowania z aktorstwem najwyższej próby. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „THE FOREST”

Gry survivalowe to jeden z popularniejszych kierunków, w którym podążają niezależni producenci. W „The Forest”, kolejnej odsłonie tego trendu, w roli głównej znajduje się rozbitek budzący się na wyspie pełnej ludożerczych mutantów. Co wyróżnia tytułowy „Las” i sprawia, że warto

poświęcić mu kilkanaście godzin życia? Na pewno nie jest to nowatorstwo. Mocną stroną gry jest to, że w sposób realistyczny oddaje atmosferę grozy, walki o każdy dzień, systemu zmiannych warunków pogodowych oraz wegetacji roślin. Wyspa, z pokaźną siecią jaskiń, może zostać zarówno



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

twoim wrogiem, jak i schronieniem. Wybór należy do ciebie. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Akcja/FPP
- **Platforma:** PC/PS4
- **Producent:** Endnight Games
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

JAK ZOSTAĆ ZŁYM CZŁOWIEKIEM

Zły człowiek wychodzi z więzienia i wszyscy są podekscytowani: współnicy, których skaptował do kolejnej roboty, policjanci liczący na to, że go przyskrzynią, i rodzina, która nie widziała go siedem lat. Bohater z rodziną gadać nie chce, policji nie ma nic do powiedzenia, a współpracowników trzyma żelazną ręką i wszyscy boją się go jak



wyst. Nikolaj Coster-Waldau, Jon Bernthal, Lake Bell

★★★★★
REŻ. RIC ROMAN WAUGH
„SKAZANY”
(„SHOT CALLER”)
USA 2017, KINO
ŚWIAT

diabła wcielonego. Jak to możliwe, skoro kiedy trafiał do pudła, był tylko zwykłym miększonem – finansistą skazanym za spowodowanie po pijaku wypadku samochodowego? W tej perfekcyjnie opowiedzianej opowieści sensacyjnej mamy piękną kreację Nikolaja Coster-Waldaua (Jaime Lannister z „Gry o tron”) i dwa trzymające w napięciu, przeplatające się wątki: co planuje wytatuowany twardelec i co sprawiło, że zaszła w nim taka przemiana. „Skazany” wyróżnia się nie tylko wśród filmów więziennych, choć przypominać może nieco inny film, który niedawno trafił w Polsce do dystrybucji DVD – „Blok 99” (recenzja w „Do Rzeczy” nr 9/2018). ©©

KOSMICZNA RODZINA ROBINSONÓW

Seria „Zagubieni w kosmosie” (1965–1968) doczekał się już jednego remake’u. Kinowy film z 1998 r. był umiarkowanym sukcesem. Teraz Netflix wskrzesił serię, wracając do korzeni: to krzepiąca rodzinna rozrywka. Główni bohaterowie, rodzina Robinsonów, to koloniści (jedni z wielu) zmierzający ku dalekim światom, by



wyst. Molly Parker, Toby Stephens, Maxwell Jenkins

★★★★★
„ZAGUBIENI W KOSMOSIE”, SEZON 1
(„LOST IN SPACE”)
USA 2018,
NETFLIX

je zasiedlić – Ziemi grozi zagłada. Zamiast dotrzeć do celu, rozbijają się na pięknej, lecz mało przyjaznej planecie. Wraz z nimi o przetrwanie walczą inni rozbitkowie oraz niespodziewany nowy nabytek: morderczy obcy robot, który obłaskawiony został przez najmłodszego z Robinsonów, bystrego Willa. Od kosmicznych niebezpieczeństw ważniejsze są tu lojalność, prawdomówność, uczciwość. Kłopoty spotykają tych, którzy mają z nimi problem. Przedstawionych dotąd 10 odcinków to wstęp do większego przedsięwzięcia. Prawdziwa robinsonada dopiero przed Robinsonami. ©©

recenzuje Piotr Gociek

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Herling osobisty

Osiemnaście lat po śmierci Gustawa Herlinga-Grudzińskiego wydany został jego dziennik sekretny, nieprzeznaczone do druku zapiski prowadzone przez 38-letniego pisarza między 1 stycznia 1957 a 21 maja 1958 r., z dużą przerwą zresztą. Czy jest to fragment większej całości, czy też stanowi całość, gdyż resztę podobnych zapisków autor zniszczył – nie wiadomo. Jednak i za to, co możemy teraz przeczytać, możemy być wdzięczni losowi, gdyż rzecz ta stanowi bardzo ciekawe dopełnienie lub raczej wstęp do – jak dziś widzimy coraz wyraźniej – najważniejszego dzieła Herlinga-Grudzińskiego, czyli „Dziennika pisanego nocą”, publikowanego na łamach paryskiej „Kultury”, ale dopiero od roku 1971. Czyli mamy do czynienia niejako z rozbiegówką.

W „Dzienniku pisanym nocą” Herling-Grudziński starannie unikał wtęrotów osobistych, tu – przeciwnie. Przelewał na papier swoje stany uczuciowe, analizował swoje marzenia i sny, powracał do postaci swej pierwszej żony, Krystyny, malarki zmarłej w 1953 r. śmiercią samobójczą. Ileż w tych notatkach tęsknoty, ileż smutku, rozpacz! Także tej, która będzie mu towarzyszyła już do końca – wygnanie. W styczniu 1958 r. stawia wykrzyknik po słowach: „Ileż bym dał za to, żeby móc z kimś pić! Żeby móc przynajmniej mówić! Nie po polsku, nie...”. To dlatego skrupulatnie wyciszał wszystkie spotkania z gośćmi z kraju, którzy na fali popaździernikowej odwilży spływali do Neapolu z literackiej Warszawy: od Artura Sandauera do Artura Międzyrzeckiego, od Adolfa Rudnickiego do Stanisława Dygata. Tego ostatniego przy okazji tak scharakteryzuje: „Dość miły, ale ma w sobie trochę tej prostackiej pewności siebie, która pokrywa słabość w głowie i nieporządek w sumieniu. Jest członkiem partii,



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

twierdzi, że do raportu Chruszczowa naprawdę nic nie wiedział, a jeśli coś wiedział, to wierzył, że tak trzeba”.

Świetnie dopełnia te uwagi odpowiedź, jakiej udzielił pisarz na ankietę „Nowych Sygnałów”, w której podkreśla anachroniczność prozy Nałkowskiej czy nieprzystawalność do współczesnego świata sag rodowych, które pisały swego czasu Dąbrowska czy Naglerowa. A o Gombrowiczu po dziś dzień wynoszonym przez jego miłośników pod niebiosa miał do powiedzenia tyle: „Byłem przed wojną fanatycznym wielbicielem »Ferdydurke«, ale po wszelkich doświadczeniach wojny robi ona na mnie, niestety, wrażenie człowieka podziwiającego samego siebie przed lustrem, którego już dawno nie ma”.

Opiniuje też Herling-Grudziński czytane książki, oglądane filmy i spektakle. A w ocenach swych bywa dosadny, np. Lwa Tołstoja, którego „Wojnę i pokój” się delektuje, postrzega jako, oczywiście, wielkiego pisarza, który jednak „niepotrzebnie filozofuje i powtarza się”, zaś sławny aktor John Gielgud to dla niego „galareta

z nówek cielących i ani jednej własnej przyprawy”.

Z pewnością niektóre z opowiedzianych historii nie nadawały się do „Dziennika pisanego nocą”. Na kolacji, którą wydał bodajże Nicola Chiaromonte, znany włoski autor Giorgio Bassani opowiadał o pisanej wtedy powieści „Złote okulary” i jako – cytuję – „pederasta zabawiał nas opowiadaniem ze swego »warsztatu«”. „Nigdy nie mogłem tego zrozumieć – kontynuuje Herling-Grudziński. – Zawsze, kiedy słucham tego rodzaju historyjek, powtarzam sobie w duchu powiedzenie szwagra Jana Wolskiego, który znalazłszy się kiedyś przypadkowo w »Ziemiańskiej« przy stoliku pedziów i nasłuchawszy się do syta ich »wysublimowanych« subtelności o miłości męskiej, powiedział z desperacją mądrego prostaka: »A dupę, proszę panów, to ja mam do srania«”.

W innym miejscu daje znów upust swojej wściekłości i żalowi, że nie dał dość zdecydowanej odpowiedzi na zadane mu przy obiedzie (znów Chiaromonte był gospodarzem) pytanie, czy jest katolikiem i czy jako katolik się urodził. To się łączy, rzecz jasna, z żydostwem będącym dla niego niemałym balastem. Tłumaczyć zresztą musi się częściej, jako że kłopoty sprawił mu np. Bertrand Russell, autor wstępu do angielskiej edycji „Innego świata”, który widać o tym zapomnieli po latach, mając 85 lat, z Herlinga zrobić Norwega i ekskomunistę.

Sekretnie zapiski Gustawa Herlinga-Grudzińskiego uzupełniają obszerna rozmowa z córką pisarza, Martą, i wspomnienie zmarłej trzy lata temu żony, Lidii Croece, która o mężu mówiła: „Był tak silny, że potrafił wszystko przetrzymać”.

A był to, bezsprzecznie, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich zeszłego stulecia. ©



★★★★★
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI
„DZIENNIK
1957-1958”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kryminalne zagadki Aten

Kryzys, kryzys, po kryzysie? Nieprawda, Grecja wciąż ma wielkie kłopoty, tyle że teraz świat mniej je zauważa, bo patrzy już w inną stronę. Tymczasem Grecy dopiero zaczynają swą drogę przez mękę: tną emerytury i zasiłki, likwidują przywileje rozmaitych grup zawodowych, wyprzedają narodowy majątek, negocjują z zagranicznymi bankami i uczą się żyć pod specjalnym nadzorem. Ulicami Aten maszerują niezliczone demonstracje, wściekłość miesza się z goryczą, poczucie wstydu z poczuciem krzywdy. Jedni winią banki, inni Niemców, jeszcze inni miejscowych polityków. „Widzieliśmy ser, ale nie zauważyliśmy pułapki” – tłumaczył mi z kolei w ubiegłym roku poznany w Atenach ekonomista, który tak jak bardzo wielu Greków uważa, że kłopoty zaczęły się od niepotrzebnego przyjęcia waluty euro.

Tę atmosferę chaosu, niepokoju i frustracji udało się oddać Petrosowi Markarisowi, autorowi kryminalnej powieści „Niespłacone długi”, która otwiera tzw. trylogię kryzysu. Jej główny bohater, komisarz Kostas Charitos, na własnej skórze odczuwa cięża budżetowe, z kolei na ulicach obywatele mają do niego pretensje, że służy nielubianej władzy. Poznajemy go

w chwili, gdy wydaje za mąż córkę. Udało mu się zapłacić za jej wykształcenie, zanim kraj pogrążył się w kryzysie. Teraz pewnie nie byłoby go na to stać. Zresztą ledwo stać go na płacenie rat za seata ibizę, którym zastąpił zajeżdżonego do cna starego fiata mirafiori.

Podczas gdy wszyscy niezajęci akurat protestami Grecy emocjonują się przebiegiem mundialu, Charitos prowadzi śledztwo w sprawie dziwnych morderstw. Nieznany sprawca obcina głowy bankowcom i pozostawia na miejscu zbrodni kartki z literą „D”. Prasa ściga się w domysłach, politycy podpowiadają, że pewnie chodzi o terroryzm, a europejscy partnerzy oczekują szybkich rezultatów.

Urok powieści tkwi w jej niezmiernej greckości: bohaterowie przemierzając ulice Aten, nieustannie rozmawiają na wszelkie możliwe tematy. Nie jest to wybitny kryminał, bo i zagadka trochę wydumana, i akcji nie ma zbyt wiele: bohater najwięcej ruchu zażywa podczas nieustannych poszukiwań miejsca do parkowania w sparaliżowanym demonstracjami mieście. Jednak jako świadectwo czasów sprawdza się bardzo dobrze. Kryminał jako metafora, kryminał jako dokument – tak, to można ze sobą połączyć. © ©



★★★★★
PETROS MARKARIS
„NIESPŁACONE DŁUGI”
NOIR SUR BLANC 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ważna publikacja, zbierająca całą spuściznę świetnie zapowiadającego się poety, żołnierza AK i kuriera ZWZ. Rumel został zamordowany 10 lipca 1943 r. na Wołyniu przez policję polityczną Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.



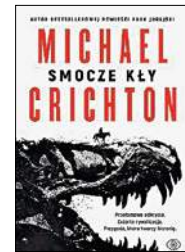
ZYGMUNT JAN RUMEL
„WIERSE ZEBRANE”
PIW

Człowiek, który żyje przez stulecia, tajne stowarzyszenie i tęsknota za prawdziwą miłością, czyli połączenie literatury obyczajowej z fantazją. Talent autora poznaliśmy wcześniej z książek dla dzieci (m.in. „Gwiazdkozaur”).



MATT HAIG
„JAK ZATRZYMAĆ CZAS”
ZYSK I S-KA

Książka z roku 1974, ale ukazała się dopiero po śmierci autora. Powieść historyczna z Dzikiego Zachodu o rywalizacji między łowcami skamielin (głównie kości dinozaurów). Sympatyczna wprawka do późniejszego „Jurassic Parku”.



MICHAEL CRICHTON
„SMOCZE KŁY”
REBIS

Krzepiące i prawdziwe: zaczęło się od siatki szpiegowskiej założonej we Francji, ale ciekawie zrobiło się po wypadce. Polski oficer, udając współpracę z Abwehrą, pozostał agentem aliantów i skutecznie dezinformował Niemców.



ANDRZEJ BRZEZIECKI
„CZERNIAWSKI. POLAK, KTÓRY OSZUKAŁ HITLERA”
CZARNE

© © **polecą Piotr Gociek**

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Małgorzata Musierowicz „Ciotka zgryzotka” (Akapit-Press)** – 22. już tom cyklu „Jeźdźcoda”, jedyne w swoim rodzaju fenomenu literackiego.
- Remigiusz Mróz „Testament” (Czwarta Strona)** – siódmy tom kryminalnego cyklu, którego bohaterem jest Joanna Chyłka.
- Dan Brown „Początek” (Sonia Drago)** – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci”.
- Remigiusz Mróz „Nieodnaleziona” (Filia)** – ukochana Damiana pojawia się 10 lat po zaginięciu. Kto stoi za tą zagadką?
- H.J. Chmielewski „Tytus, Romek i A'Tomek: Superkolekcja” (Prószyński)** – zbiór 25 tomów legendarnej serii, klasyka polskiego komiksu i satyry.

(Najchętniej kupowane tytuły w księgarni internetowej Gandalf)

ProMODERN – „pro”, bo zespół tworzą grun-
townie wykształceni
muzycznie śpiewacy;
„modern” – bo sięgają po
repertuar współczesny.
Jednak nie taki, który grają
najpopularniejsze stacje
radiowe. Bo proMODERN to
seksztet sięgający po muzykę
klasyczną. I robiący to
naprawdę dobrze, za co jest
nagradzany.

Wszystko zaczęło się
w 2012 r., gdy kilka mu-
zycznych indywidualności
postanowiło wyjść poza
solowe występy na kolejnych
koncertach i stworzyć grupę
wokalną. Jak sami wyjaśniają:
zespół „powstał z zamięl-
wania do piękna i ekspresji
muzyki współczesnej, która
bliska jest każdemu, bo wyko-
rzystuje estetykę dzisiejszego
odbiorcy”. I tak wokaliści
sięgają po repertuar Krzysz-
tofa Pendereckiego, Witolda
Lutosławskiego czy Andrzeja
Panufnika.



Współczesna klasyka na sześć głosów

W warstwie tekstowej –
również klasyka, choć już nie
zawsze tak współczesna. Ich
ostatnia płyta wydana pod
koniec ubiegłego roku jest
efektem projektu „proMO-
DERN shakespeare”, czyli serii
koncertów 400 lat po śmierci
Szekspira. Sekstet połączył

XVI-wieczną poezję i współ-
czesną muzykę bez zgrzytów.
Jednak czy mogło być inaczej
w przypadku tekstów pióra
angielskiego mistrza?

Ubiegłoroczna płyta
została nagrodzona Fryde-
rykiem. I nie był to pierw-
szy raz, gdy proMODERN

triumfował w tym presti-
żowym plebiscycie. Zresztą
sława seksztetu w składzie:
Łucja Szablewska (sopran),
Ewa Puchalska (mezzoso-
pnan), Ewelina Rzezińska
(mezzosopran), Andrzej
Marusiak (tenor), Krzysz-
tof Chalimoniuk (baryton),
Piotr Pieron (bas) już dawno
wyszła poza granice Polski.
O ich debiutanckim albumie
„Where are you. Pieces from
Warsaw” Ivan Moody z bry-
tyjskiego „Gramophone” na-
pisał: „Śpiewają z promienną
barwą i żywiołowością. Ich
brzmienie pod wieloma
względami wydaje się bar-
dzo brytyjskie, ale nie znaczy
to, że brakuje mu pasji – jest
zdecydowanie odwrotnie!”.

Pasji nie brakuje ani na
drugim albumie, ani na kon-
certach. Pasji, która sprawia,
że proMODERN bez kom-
pleksów mierzy się z najtrud-
niejszymi współczesnymi
utworami. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Folklor dla wybrednych

Po dwóch dekadach
ukazał się kolejny album
z serii „The Mystery Of
The Bulgarian Voices”.
Tym razem wraz z bułgarskimi
chórzystkami do studia weszła
Lisa Gerrard z duetu Dead Can
Dance.

W 1975 r. ukazał się pierwszy
album pt. „Le Mystère des Voix
Bulgares”. Był on wynikiem
15-letniej pracy szwajcarskiego
muzykologa Marcela Celliera,
który zebrał bułgarskie piosenki
ludowe w aranżacjach na chór
żeński. W latach 80. płytę
odkrył Peter Murphy, wokalista
zespołu Bauhaus. Album został
wznowiony przez wytwórnię 4AD
i świat zachwyił się nagraniami
Państwowego Chóru Bułgarskiego
Radia i Telewizji. W 1989 r. płyta

„Volume 2” otrzymała nagrodę
Grammy.

Australijka Lisa Gerrard
wielokrotnie podkreślała
fascynację bułgarskim chórem.
Słuchać to m.in. w jej nagraniach
zrealizowanych do filmów
„Gladiator” i „Informator”.
Album „BooCheeMish” udanie
łączy unikalne polifoniczne
harmonie wokalne z akustycznym
instrumentarium i elektronicznymi
rytmami. „Średniowieczny” głos
Gerrard doskonale wpisuje się
w całość. Brzmienie płyty zadowoli
najwybredniejszych audiofilów,
a nagrania mogą porwać nawet
hipsterów, którzy za folklorem
niekoniecznie przepadają.
Wystarczy posłuchać singlowego
„Pora Sotunda”, by odpuścić
w inną przestrzeń. ©©



★★★★★
**THE MYSTERY OF
THE BULGARIAN
VOICES**
„BOOCHEEMISH”
PROPHECY



★★★★★
MORCHEEBA
„BLAZE AWAY”
FLY AGARIC

Po pięcioletniej przerwie powróciła
gwiazda kojącego, elektronicznego trip
hopu. Głos czekoladowej Skye błogo
kołysze, muzyka uwodzi, a wśród gości
usłyszymy Rootsa Manuę i Francuza
Benjamina Biolaya. Przewidywalnie, ale
stylowo. ©©



★★★★★
GODSMACK
„WHEN LEGENDS
RISE”
SPINEFARM

Epigoni Alice in Chains kroczyć utartą
drogą postgrunge'u. Ich siódmy album
jest wypolerowany i pozbawiony
dawnego gniewu. Radiowy „Bulletproof”,
hymnowy „Unforgettable” i stadionowa
ballada „Under Your Scars” zapewnią
płyście sukces. ©©

„Swing Time”, ostatnia powieść Zadie Smith, to książka o przyjaźni, ale jej podglebiem i osnową jest kwestia rasowa

Narratorka, której imienia nie znamy, mieszka w robotniczej dzielnicy Londynu. Ojciec jest białym, spokojnym, bezbarwnym listonoszem; matka to pochodząca z Jamajki ambitna działaczka społeczna o lewicowych poglądach, dręczona obsesją podniesienia statusu przez zdobycie wykształcenia. Lekturą obojga rodziców dziewczyny jest „Manifest komunistyczny”...

W dzieciństwie bohaterka bardziej niż nauką o społeczeństwie pasjonuje się tańcem. Tę pasję dzieli z przyjaciółką Tracey, z rodziny raczej mało aspiracyjnej. Ojciec kradnie i raz po raz trafia do więzienia, matka to prostytutka i histeryczka. Dziewczynki spędzają czas na lekcjach tańca i słuchaniu klipów muzycznych z nagraniami swoich idoli: Freda Astaire’a, LeGon, Michaela Jacksona.

Potem drogi dziewczynek się rozchodzą. Narratorka kończy studia i zostaje asystentką gwiazdy pop. Diwa Aimee to ktoś między Madonną i Angeliną Jolie. Spędza czas między nagraniami, próbami, rzadko poświęcając chwilę dzieciom dwóch ojców, którymi zajmują się liczne nianie. Chociaż gwiazda otoczona jest liczną nadskakującą jej świtą, bohaterce udaje się zdobyć jej przyjaźń i zaufanie:

„Była kimś, komu załatwiałam aborcje, wynajmowałam ludzi do wyprowadzania psów, pisałam kartki na Dzień Matki, smarowałam twarz kremami, robiłam zastrzyki, wyciskałam pryszcze i ocierałam łzy, kiedy (bardzo rzadko) dopadała ją kryzys”. Piosenkarka postanawia

sponsorować szkołę w wiosce afrykańskiej. Nienazwanej, chociaż ze szczegółów wynika, że chodzi o Afrykę Zachodnią. Gambia, Senegal... Kilkuosobowa ekipa towarzysząca piosence zaczyna podróżować do afrykańskiej wioski, gdzie rozgrywa się połowa akcji powieści. Tam zawiązują się znajomości, przyjaźnie, romanse. Drogi przyjaciółek rozchodzą się: gdy jedna przemieszcza się prywatnymi odrzutowcami między kontynentami, druga grywa trzeciorzędne role w trzeciorzędnych musicalach, rodzi troje dzieci, które wychowuje jako samotna i sfrustrowana matka w małym mieszkanku robotniczego bloku.

„Swing Time”, powieść, której akcja rozpoczyna się w latach 80., obejmuje lata 90. i czas najnowszy, jest sprawnie napisana, z wyraziście narysowanymi postaciami, wystronczonym zmysłem obserwacyjnym. I z talentem, który przekracza umiejętności zdobywane na kursach kreatywnego pisania.

A jednak książce brak jest energii. Ciągnie się dłużej, niżmi, które pokonuje się z wysiłkiem, licząc, że akcja wreszcie się rozkręci. To następuje dopiero na końcu i wtedy dwa równoległe wątki intrygi zawiązują się w jeden węzeł.

To książka o przyjaźni, ale jej podglebiem i osnową jest kwestia rasowa. Tak było również w pierwszej powieści „Białe zęby”. Kolor skóry – to rozróżnienie pojawia się w każdej sprawie: prywatnej, zawodowej, publicznej. Sympatia autorki jest zawsze po stronie przybyszy z wysp Morza Karaibskiego, Afryki, Jamajki, którzy przedstawiani są w bardziej życzliwym świetle niż biali. Najbardziej pozytywną postacią książki jest Hava, czarna wiejska dziewczyna, która promienieje inteligencją, radością życia, urokiem osobistym. Zdecyduje się poślubić islamskiego fundamentalistę...

Białych obciąża nie tylko historyczna wina za niewolnictwo, ale również odpowiedzialność za współczesny krwiożerczy kapitalizm. Jego ofiarami stają się ludzie z biednych krajów, zarówno ci, którzy tam pozostali, jak i ci, którzy pozornie zasymilowali się w Europie, ale wciąż są dyskryminowani. Afrykańską rzeczywistość autorka przedstawia z wielką czułością, chociaż jej wizja wiejskiej harmonii bez elektryczności i wody jest chyba zbyt romantyczna... Z listy lektur na końcu powieści (m.in. „Islam, Youth and Modernity in Gambia” – naukowe opracowanie z dziedziny antropologii) wynika, że do tych opisów pisarka się starannie przygotowała. Czuje się, jak krytycznie, choć i ze zrozumieniem, traktuje gwiazdę mediów, która chce „pomóc” Afryce. Smith docenia dobre intencje, ale widzi, że nie zawsze mają oczekiwany skutek. Pieniądz ma dużą siłę sprawczą: adopcję afrykańskiego dziecka można załatwić równie łatwo i szybko, jak kupuje się luksusową torebkę z limitowanej edycji... Jednak Północ nie tylko nie jest w stanie jednym ciekim zmienić Południa, lecz także w ogóle nie rozumie i nie chce zrozumieć jego mentalności.

Mamy tu także współczesną Anglię: luźne związki rodzinne, swobodny stosunek do związków i seksu, trudności ze

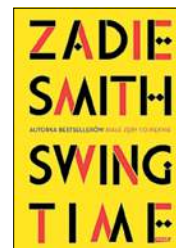
znalezieniem pracy, bezlitosne media, biedne dzielnice, ludzi, którym trudno się wy dostać z pozycji wyznaczonych przez swoją kastę i miejsce urodzenia. Niestety, lektura „Manifestu komunistycznego” w wyrównaniu szans niewiele pomogła. ©©

Joanna Bojańczyk



Kolor skóry, kolory życia

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES



ZADIE SMITH
„SWING TIME”
ZNAK 2017



Ze Stanisławem Michalkiewiczem, publicystą, wykładowcą akademickim

rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Ustawa 447 zaaprobowana przez Kongres USA oraz podpisana przez prezydenta Trumpa wchodzi w życie. Był pan tą decyzją zaskoczony?

STANISŁAW MICHALKIEWICZ: Niestety, było to do przewidzenia od dawna. Dzisiaj mamy jedynie do czynienia z ostatnim aktem realizowanego od 30 lat planu obrabowania Polski. Te działania nasiliły się po naszym wejściu do NATO w 1999 r., a zwłaszcza po roku 2000, kiedy to niemiecki kanclerz Gerhard Schröder w jednym ze swoich przemówień powiedział, że „okres niemieckiej pokuty dobiegł końca”. Od tego momentu środowiska żydowskie bardzo mocno się zaktywizowały wokół roszczeń majątkowych. Rozpoczęła się kampania przyprawiania naszemu narodowi wizerunku narodu morderców. Rozpętano aferę wokół Jedwabnego, powstawały książki Grossa, które odbiły się szerokim echem zwłaszcza w USA. I co tu dużo mówić, padły na podatny grunt niewiedzy albo propagandowego i wypaczonego obrazu II wojny światowej, przedstawianego w hollywoodzkich filmach.

Jednak to chyba nie reżyserzy podpisali ustawę?

A kto ma wpływ na to, jak Amerykanie postrzegają świat i co ostatecznie przekłada się na ustawodawstwo USA? Pod tym względem nie ma żadnego porównania do skuteczności oraz siły oddziaływania lobby izraelskiego oraz żydowskiego w Ameryce. A sama ustawa 447 to poważne zagrożenie, ponieważ nakłada na Departament Stanu nie tylko obowiązek corocznego raportowania o tempie i zakresie restytucji mienia żydowskiego, lecz także rozciąga się również na mienie bezdziejne. Stany Zjednoczone niejako przyjęły obowiązek dopilnowania realizacji żydowskich roszczeń wobec Polski.

Pan mówi o poważnym zagrożeniu, a minister Jacek Czaputowicz oraz marszałek Adam Bielan zapewniają, że tzw. Just Act 447 jest „pozbawiony zębów”. Innymi słowy – wygląda poważnie, ale nie ma mocy sprawczej.

Twierdzenie, jakoby Kongres uchwalał ustawy pozbawione konsekwencji prawnych, jest co najmniej zuchwałe. Być może



polski Sejm tak działa, ale nie Amerykanie. Nie chciałbym być jakąś Kasandrą, ale USA pokazały, jak łatwo mogą zmieniać i rządy, i tych wszystkich prezydentów. Tak było podczas Majdanu na Ukrainie w 2014 r. Dlatego jeżeli minister Czaputowicz naprawdę lekceważy zagrożenie, to wielkie nieszczęście, że mamy takiego szefa MSZ.

Sugeruje pan, że Stany zakulisowo wpłyną na nasze władze – z ich obaleniem włącznie – jeśli nie

zastosujemy się do zapisów ustawy? Nie brzmi to zbyt poważnie.

A co robi Ameryka od 1945 r., jeśli nie ustawia rządów mniejszych państw pod własny interes? Kiedy prezydent Duda w Chicago buńczucznie zapowiada, że on nie będzie nikomu niczego zwracać, przypomina mi się taka scena z książki „Nie trzeba głośno mówić” Józefa Mackiewicza. Bohater jedzie rowerem obok stacji Ponary, na której stoi pociąg z Żydami. Jest



– Donald Trump został ograny przez Kim Dzong Una jak dziecko
– uważa Stanisław Michalkiewicz

FOT. CELESTINO ARCE LAVIN/ZUMA/FORUM

II wojna, więc wiadomo, jaki czeka ich los. Wtedy jedna kobieta wychyla się z wagonu i pyta szaulisa, jak prędko pojedzie. On jej nie odpowiada, ale rzuca od niechcenia w stronę przechodzącego Polaka: „Ona się pyta, jak prędko pojedzie, a za pół godziny może już żyć nie będzie”.

Rysuje pan jakiś makabryczny obraz wydarzeń. Jednak skoro takie potężne siły uwzięły się na Polskę, to dlaczego na realizację własnych postulatów

muszą czekać tak długo i idzie to tak opornie? Raz-dwa można by było rząd obalić i po sprawie.

Przecież rząd już raz został zmieniony na bardziej ugodowy. W 2015 r.

PiS to amerykańscy „ugodowcy”, którzy przyszli po twardej Platformie?

Ależ oczywiście! Kiedy USA w 2013 r. wróciły do aktywnej polityki w tym rejonie Europy, nagle kilku kelnerów zawiązało straszliwy spisek wobec III RP,

podsluchując dygnitarzy Platformy Obywatelskiej. No wie pan, tak się to robi...

I administracja Baracka Obamy zaplanowała pozbycie się PO? To ona stała za Sową i Przyjaciółmi?

Dopóki Polska była pod kuratelą niemiecką, dopóty obecność Platformy w roli lidera polskiej sceny politycznej była naturalna. W momencie, w którym Polska przeszła ponownie pod

■ kuratelę amerykańską, partia Tuska była potrzebna Białemu Domowi jak psu piąta noga. I tyle. U nas nawet nie trzeba Majdanu robić, wystarczą łagodniejsze metody.

A jak pan ocenia decyzję Donalda Trumpa o przeniesieniu ambasady USA w Izraelu z Tel Awiwu do Jerozolimy? Podobny krok rozważają Węgry, Czesi i Rumuni. Polska powinna pójść ich śladem?

To nie kwestia naszej decyzji. Ostatecznie będziemy musieli przenieść ambasadę tam, gdzie Stany nam każą, ponieważ szykują się one do konfrontacji w skali globalnej. Te ruchy na Bliskim Wschodzie to jedynie porządkowanie przedpoła przed konfrontacją z Chinami. Dzisiaj Państwo Środka jest prawdziwym długodystansowym rywalem Ameryki, takim samym, ja-

Po czasie okazało się, że broni nie było, co przyznał nawet samokrytycznie premier Tony Blair. No ale Irak był już najejchany, a Husajn powieszony.

Gromi pan Amerykanów raz za razem, ale może chociaż w kwestii Korei Północnej spojrzysz pan przychylniejszym okiem? Dwa zwaśnione państwa dokonują historycznego ocieplenia relacji, wszystkiemu patronuje Departament Stanu. Czego chcieć więcej?

Bardzo rzadko zgadzam się z opinią mi prof. Kuźniara, ale w tym przypadku przyznaję mu rację. Tutaj nie ma się z czego cieszyć, bo Donald Trump został ograny przez Kim Dzong Una jak dziecko. Przecież on się na te rzekome ustępstwa zgodził dopiero wtedy, gdy zakończył wszystkie testy nuklearne i rakietowe. Nie wykluczam, że obie Koree mogły się

świata wskutek tego nie będzie płakała krwawymi łzami.

Zejdźmy nieco na ziemię. Może ze skali globalnej do regionalnej. Co pan myślał, obserwując spór o przeniesienie Pomnika Katyńskiego w Jersey City oraz antypolskie tyrały burmistrza Stevena Fulopa?

Po pierwsze, sprawa z Pomnikiem Katyńskim to był taki „szczur” wpuszczony przez lobby żydowskie, które w odróżnieniu od Polaków i naszych polityków jest znacznie sprytniejsze i przewidujące. Ktoś to dobrze przemyślał i zrozumiał, że przy uchwalaniu ustawy 447 warto mieć jakąś osłonę medialną i zaangażować Polonię na innym polu. Niech sobie pokrzykują o symbolach, ale zapomną o realnych zagrożeniach. I to się w znacznym stopniu udało, bo nasi umiłowani przywódcy, który milczeli jak zakłeci w przypadku restytucji mienia, tutaj nagle ustawili się do kolejki w roli nieustraszonych bojowników o interesy ojczyzny. Jak się okazało, ten nieszczęsny burmistrz Fulop, który najprawdopodobniej został wyznaczony do tego zadania, po prostu zaczął wymiękać. A myśmy kupili jego błąd, dopuszczając podczas wizyty w USA przed oblicze prezydenta Dudy. Przykro to powiedzieć, ale jakieś ziarno prawdy tkwi w obelgach Władimira Żyrinowskiego, że „Polska czasami zachowuje się jak k...wa”. To właśnie był ten przykład.

Przepraszam, ale straszne głupoty pan opowiada. Fulop nie został dopuszczony przed niczyje oblicze, po prostu jest gospodarzem tego miejsca, pojawił się prywatnie i zamienił dwa zdania z prezydentem. Nikt tego nie planował jako oficjalnego punktu programu.

To, że on się w ogóle w tym miejscu w tym samym czasie pojawił, dowodzi jedynie, że cała nasza dyplomacja jest funta kłaków warta. Nie wiem, co oni tam w tych wszystkich konsulatach i ambasadach robią – chyba po prostu pierdzą w stołki. Jeżeli prezydent Polski się gdzieś pokazuje, to wie pan, nie można go narażać na spotkanie z podobnymi kuta...mi, którzy obrażają naszych dygnitarzy. Podobnie było podczas wizyty Bronisława Komorowskiego w Kijowie, podczas której Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła ustawę uznającą UPA za bohaterów narodowych. Czy my naprawdę potrzebujemy zaangażowania sił wywiadu, żeby sprawdzać agendy poszczególnych parlamentów i tak ustalać harmonogramy wizyt, aby nie pakować głowy państwa w bagno?

Musimy pamiętać, że Stany Zjednoczone nie mają żadnego interesu w troszczeniu się o naszą państwowość

kim w latach 40. była Japonia, a po wojnie – ZSRS. W bliższej perspektywie możemy również mówić o starciu z Iranem.

Czy pana zdaniem wypowiedzenie umowy denuklearyzacyjnej z Iranem to przejaw pragmatyzmu Trumpa, a może szukanie casus belli? Unia Europejska jednoznacznie potępiła ten krok, twierdząc, że Teheran wywiązuje się z zapisów porozumienia i nie prowadzi prac nad poszerzeniem arsenału jądrowego.

Nie nazwałbym tego ruchu pragmatycznym, w końcu większość sygnatariuszy umowy z Iranem nie zgłasza zastrzeżeń co do jej przestrzegania. Francja zapowiedziała wyraźnie, że z niczego się nie wycofa.

Tyle że Francja czerpie realne zyski z faktu ograniczenia sankcji handlowych z Iranem.

Zgoda, być może Trump otrzymał jakieś dodatkowe informacje od premiera Beniamina Netanjahu odnośnie do kontynuowania programu jądrowego, ale jego wiarygodność odnośnie do kwestii irańskich jest równie wysoka jak w sprawach finansowych. Zresztą czy pierwszy raz spotykamy się z dorabianiem ideologii do ataku na suwerenne państwo? Jak było w przypadku Iraku i strasznego Saddama Husajna, który miał najpierw wyprodukować broń masowej zagłady, a później ją tak sprytnie ukryć, że nikt jej nie mógł znaleźć?

porozumieć niejako za plecami Chin i USA. Po co się nawzajem wyrzynać, skoro lepiej połączyć gospodarczy potencjał Korei Południowej z militarnym Korei Północnej i przed nikim nie kucać? W 1855 r. Japonia została zmuszona przez USA do otwarcia się na świat pod groźbą armat. Wystarczyło pół wieku, żeby Japonia jako państwo uprzemysłowione pokonała jednego z europejskich gigantów – mówię tutaj o Rosji. Potem sięgnęła po panowanie nad obszarem Pacyfiku, co przerwały dopiero dwa uderzenia jądrowe na jej terytorium. Ja bym nie lekceważył Azjatów.

Czyli znowu nieczyste intencje i katastrofizm. Nawet jeśli metody są dwuznaczne, nie widzi pan żadnych pozytywnych konsekwencji negocjacji między Koreami? Lepszy był permanentny stan wyjątkowy?

Pytanie jest takie: Kto kogo wciągnął w proces negocjacyjny? Stany Koreę Północną czy odwrotnie? Moim zdaniem uległa Ameryka, mając świadomość, że nie będzie w stanie obronić swoich sojuszników przed ewentualną eskalacją przemocy. Czyli to Trump musiał coś położyć na stole, aby skłonić do rozmów Kima. A nawet jeśli nie, to on po prostu zyskuje na czasie. Ja bym się z tym wręczaniem pokojowych Nobli jeszcze wstrzymał, bo nie wiadomo, czy reszta

Nie ma pan litości.

A dlaczego mam mieć? Niech pan zobaczy – leci Andrzej Duda do Nowego Jorku i ma czas na spotkanie ze społecznością żydowską, ale na Polonię już nie. Jaki to sygnał?

Był przecież duży wiec dla Polonii w Parku Milenijnym w Chicago. Na spotkanie z parą prezydencką przyszło kilka tysięcy osób.

Jednak w Nowym Jorku się nie spotkał. A to tamtejsza Polonia w dużym stopniu zaangażowała się – również finansowo – w lobbowanie przeciwko ustawie 447 i w obronie Pomnika Katyńskiego. Ponieważ o ten pomnik trzeba walczyć. Nie wierzę w ani jedno słowo Fulopa, który twierdzi, że tam powstanie park. Byłem na nabrzeżu Jersey City kilkakrotnie, składałem tam również kwiaty. To jest zabudowany wieżowcami zbieg ulic, gdzie nie ma miejsca za żaden park.

A może przekonują pana tłumaczenia, że to nie „spisek lobby żydowskiego”, ale zwykłe interesy motywowwały decyzją Fulopa. Ot, zamiast parku powstanie biurowiec.

Niby gdzie? Przy samej rzece Hudson wciśnięty w wąską przestrzeń obok drogi? Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

Śluchając pana, odnoszę wrażenie, że Polska tkwi w jakimś fatalnym zauroczeniu Ameryką, z którego musi się jak najszybciej ocknąć, aby nie stracić niepodległości.

To, co mówię, wynika z mojego braku złudzeń. Ostatecznie uważam, że lepiej podpisać volkslistę amerykańską niż niemiecką czy rosyjską. Musimy jednak przy tym pamiętać, że Stany nie mają żadnego interesu w troszczeniu się o naszą państwowość. Donald Trump nie jest prezydentem Polski, więc jeżeli kosztem naszego kraju może ugrać coś dla siebie, to nie zawaha się, żeby to zrobić. I to jest cenna lekcja dla naszych amatorów dyplomacji, którzy potrafią poświęcać interes narodowy w zamian za mgliste obietnice. Tak robił np. Kwaśniewski. Być może w niektórych aspektach, takich jak choćby projekt Trójmorza czy sprzeciw wobec Nord Stream 2, gramy w tej samej drużynie, ale po podpisaniu ustawy 447 ja już w dobre intencje Trumpa nie wierzę. A wiem, z całą pewnością, że Biały Dom był proszony ze strony polonijnej, aby tego nie robił. Tylko czy można się mu dziwić, skoro Amerykanie, widząc

milczenie dygnitarzy państwowych i uległą postawę Polski, po prostu z tego korzystają? Tymczasem kiedy wysłaliśmy wojska do Iraku na prośbę Amerykanów, można było przedstawić im prośbę wzajemną – by USA obiecały, że nie będą naciskały na Polskę w sprawie roszczeń żydowskich, i by zgodziły się na militarną konwersję polskiego długu zagranicznego. Podobnie w roku 2014 można było poprosić prezydenta Obamę, by obiecał, że nie będzie nacisków w sprawie roszczeń żydowskich, a ponieważ Polska ponownie podjęła się roli amerykańskiego dywersanta na Europę Wschodnią, wskutek czego stała się państwem frontowym – żeby USA traktowały Polskę tak samo jak inne państwo frontowe, czyli Izrael. A więc – 4 mld dol. finansowej kropłówki rocznie na modernizację i dozbrojenie armii oraz udogodnienia wojskowe podobne do tych, z jakich korzysta Izrael. Wie pan, co jest najgorsze?

Boję się zapytać...

Nikt nawet o te przysługi USA nie prosił. Nikt nie starał się targować, sprzedając możliwość ulokowania więzień CIA za walizkę z kasą. I tylko po czasie Radosław Sikorski melancholijnie w podsłuchanej rozmowie stwierdził, że „robili łaskę” Amerykanom.

Skoro już pan wywołał Sikorskiego, chciałbym przejść do polskiej polityki, ale tej bieżącej. Jarosław Kaczyński z chorym kolanem przebywa w szpitalu. Czy pod jego nieobecność w partii zapanowała niemoc decyzyjna, a dyscyplina się rozpręży?

Nawet z uciętym kolanem można sprawnie rządzić. Obawiam się jednak, że gdyby prezesowi stało się coś poważniejszego, co wyłączyłoby go z realnej polityki, PiS nie przeżyłby podobnego eksperymentu. Joanna Lichocka wspominała o tym na jednym ze swoich spotkań, że nie ma partii bez Kaczyńskiego, a najlepszą formą rządzenia byłoby wzięcie wszystkiego za pysk.

Czyli los jednego człowieka dzieli nas od dekompozycji polskiej prawicy?

Ależ jakiej prawicy?! PiS to nie jest żadna prawica.

To w takim razie „obozy władzy”.

To już tak. Nie mam wątpliwości, że czeka nas ten scenariusz. Nikt nie ma w Zjednoczonej Prawicy takiego autory-

tetu, aby przejąć schedę po Kaczyńskim. Już teraz trwa zakulisowe przeciąganie liny i układanie sił na okres bezkrólewia. Dzisiaj sytuacja w PiS wygląda trochę jak na Słońcu, gdzie działają dwie siły: grawitacji i rozprężania. Ich równowaga utrzymuje stabilność gwiazdy. Wystarczy jednak, żeby któraś osłabła, i gwiazda się zapada albo eksploduje. Kaczyński odgrywa dzisiaj kluczową rolę temperując ambicję poszczególnych polityków swojego obozu, aby utrzymać go w ryzach. Tym samym spełnia swoje marzenie o stworzeniu partii na wzór etatystycznej sanacji.

Na koniec spójrzmy na bliższy horyzont. Wybory samorządowe, walka o wielkie miasta. Zjednoczona Prawica wyjdzie z tego starcia zwycięsko?

Myślę, że tak. Obstawiam również, że zwycięży w wyborach parlamentarnych 2019 r. No, chyba że się przestanie słuchać Departamentu Stanu i wtedy zostanie zdmuchnięta.

A pan znowu to samo...

A co mam mówić? Przechodząc jednak do rzeczy, siła PiS w umysłach wyborców tkwi w rozdawnictwie pieniędzy i obietnicy jego zwiększenia. Od tego populizmu i socjalizmu nie ma odwrotu, nawet jeśli za jakiś czas przyjdzie nowa siła polityczna, będzie musiała realizować ten program, który ma charakter praw nabytych. Poza tym liczba obywateli nim objęta będzie tak duża, że nikt nie odważy się podnieść na to ręki. Obawiam się, że długo po Jarosławie Kaczyńskim Polska nie będzie umiała wyjechać z tej jednokierunkowej ulicy, w którą nas wepchnął.

I dokąd ona prowadzi?

Nie chciałbym popadać w proste analogie historyczne, ale proszę zobaczyć, gdzie zaprowadziła państwo sanacja. Może teraz wojna nam nie grozi, ale zagrożeń nie jest mniej. Są tylko bardziej subtelnie komunikowane. Czy będziemy na nie równie ślepi jak w latach 30.? Sprawa bierności wobec ustawy 447 każe sądzić, że tak.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Stanisław Michalkiewicz
– publicysta, wykładowca akademicki.



Fareed Zakaria
FOT. GETTY IMAGES



Stefan Sękowski

Wiele rozwiązań, które są promowane przez „nieliberalnych demokratów”, jest szkodliwych dla państwa i jednostek. Jednak nie da się tego zmienić dopóty, dopóki elity nie odzyskają zaufania obywateli

Demokracja kontra wolność?

Partia Fidesz Viktora Orbána wygrywa wybory na Węgrzech trzeci raz z rzędu, we Włoszech trwają rozmowy koalicyjne, w których prym wiodą dwa ugrupowania populistyczne. Stanami Zjednoczonymi Ameryki od ponad roku rządzi Donald Trump, który w trakcie kampanii prawyborczej rozjechał kandydatów establishmentu Partii Republikańskiej. Dzisiaj rozpętuje nową wojnę handlową, łamiąc od lat obowiązujące zasady światowej wymiany gospodarczej. Ci politycy różnią się między sobą, ale łączy ich to, że za nic mają obowiązujące do tej pory zasady. Rządzące jeszcze do niedawna elity polityczne zgrzytają zębami i wieszczą upadek demokracji, a może nawet rozwój faszyzmu. Jednak

to wszystko bzdura. Bo to demokracja właśnie.

POGROM SIĘ PODOBA

Tyle że nieliberalna. Pojęciem tym w 2014 r. zaskoczył wielu Viktor Orbán, wygłaszając przemówienie podczas uniwersytetu letniego w siedmiogrodzkim Băile Tușnad. Otwarcie stwierdził, że nie buduje państwa liberalnego, że nie każda demokracja musi być liberalna, a także że są przecież państwa, takie jak Singapur czy Chiny, które nie są demokratyczne, a jednocześnie osiągają sukcesy. Wymienienie ich jednym tchem w szeregu z Rosją czy Turcją skierowało wobec niego zarzuty o zapędy autorytarne. Świadczy to w dużej mierze o tym, że zachodnie elity najprawdopodobniej niewiele czytają, nawet „proroków”

własnej ideologii. Bo przecież ta konstatacja nie jest niczym nowym, o nieliberalnych demokracjach pisał już w latach 90. XX w. w „Końcu historii” Francis Fukuyama. Ponad 20 lat temu na łamach „Foreign Affairs” o rozwoju demokracji nieliberalnych pisał też Fareed Zakaria, którego książka „Przyszłość wolności. Nieliberalna demokracja w Stanach Zjednoczonych i na świecie” niedawno wydana została po polsku.

To nie jest tylko żonglerka słowna. „Dla ludzi Zachodu demokracja oznacza »demokrację liberalną«: system polityczny oparty nie tylko na wolnych i uczciwych wyborach, lecz także na praworządności, trójpodziale władzy i ochronie takich podstawowych praw, jak wolność słowa, zgromadzeń i wyznania czy prawo do wła-



FAREED ZAKARIA
„PRZYSZŁOŚĆ
WOLNOŚCI.
NIELIBERALNA
DEMOKRACJA
W STANACH
ZJEDNOCZONYCH”
FUNDACJA
KULTURA
LIBERALNA 2018

sności prywatnej” – pisze Zakaria, dziś felietonista „The Washington Post”, prowadzący własny program na CNN. Jednak tylko dla Zachodu – i to tylko dziś. W XIX w. liberalizm nie zawsze szedł pod rękę z demokracją. Ta nie musi wcale wspierać wyżej wymienionych wartości, może oznaczać tyranie większości i nie trzeba sięgać do przykładu starożytnych Aten, które całkiem demokratycznie uznały Sokratesa winnym ateizmu oraz psuciu młodzieży, za co skazały go na wypicie cykuty, czy też Republiki Weimarskiej, która wyniosła do władzy swojego zabójcę Adolfa Hitlera. Pochodzący z Indii Zakaria wskazuje choćby na własną ojczyznę. Zauważa, że z otwarciem życia politycznego „na znacznie szerszą grupę marginalizowanych ludzi” wiązało się dojście do władzy Indyjskiej Partii Ludowej (BJP) odwołującej się do hinduskiego nacjonalizmu. Nie tylko werbalnie – Zakaria wyrzuca politykom tego ugrupowania odpowiedzialność za podsycanie konfliktów religijnych w 2002 r. w Gudżaracie. „Zdominowane przez BJP władze tej prowincji tolerowały, a nawet wspomagały – co nie miało precedensu – rzeź muzułmańskich mężczyzn, kobiet i dzieci oraz wypędzenie dziesiątek tysięcy osób z ich domów i miast. Można powiedzieć, że był to pierwszy wspomagany przez państwo pogrom w Indiach. Najbardziej niepokoi fakt, że zbrodnia ta przyczyniła się do wzrostu popularności BJP wśród hinduistycznych wyborców”. Przemoc (mordy, a także „publiczne palenie Biblii, grabieże w kościołach i gwałty na zakonnicach”) dotyka również chrześcijan, a „władze blokują albo opóźniają większość dochodzeń w sprawie tych przestępstw”. Nic dziwnego: dziś Indie są państwem, w którym „sądownictwo, niegdyś chluba tamtejszej demokracji, stało się skorumpowaną służką władzy politycznej”.

Stawianie woli ludu nad wolnością bardzo często tak się kończy, o czym przekonują się nie tylko Hindusi, lecz także np. mieszkańcy państw ogarniętych nie tak dawno arabską wiosną czy obdarzony przez Stany Zjednoczone Ameryki darem demokracji Irak. Nie oznacza to dla Zakarii, że demokracji nie należy wprowadzać tam, gdzie jej nie ma: wręcz przeciwnie. Tyle że nie może to być cel sam w sobie, demokratyzację warto zaś poprzedzić liberalizacją, zwłaszcza gospodarczą. Zakaria pisze, że:

„reformy gospodarcze oznaczają początki prawdziwej praworządności (kapitałisci muszą zawierać między sobą umowy), otwartości na świat, dostępu do informacji oraz, co być może najistotniejsze, rozwoju warstwy przedsiębiorców. A od arabskich biznesmenów można usłyszeć, że chcą zmiany systemu”.

Problem w tym, że demokracja nieliberalna rozwija się nie tylko „na świecie”, lecz także ma się coraz lepiej w USA. Zakaria w przekonujący sposób pisze o problemach, które wyrządza mania referendalna w Kalifornii. Podobnie jak

instytucja prawyborów, która uczyniła z partii politycznych niestrawne puste naczynia. Kierowanie się sondażami uczyniło z polityków sejsmometri badające stan opinii publicznej, a chęć uzyskania jak największej jawności procesów decyzyjnych uniemożliwiła im podejmowanie w spokoju roztropnych postanowień i – paradoksalnie – wystawiła na jeszcze większy niż wcześniej wpływ lobbystów.

„Uznaliśmy, że chociaż nie umiemy wypełniać deklaracji podatkowych, pisać testamentów ani konfigurować własnych komputerów, potrafimy uchylać prawo” – pisze publicysta. I zaraz dodaje: „Potrzebujemy dzisiaj mniej, a nie więcej demokracji”. Nie oznacza to, że Zakaria chce wprowadzenia dyktatury, najwyżej delikatnego merytokratycznego autokratyzmu. A właściwie – stawia na delegowanie władzy w ramach demokracji. Pisze o zapewnieniu niezależności od legislatury czy demokracji bezpośredniej takich instytucji, jak bank centralny czy sądownictwo. W odniesieniu do polityki podatkowej postuluje powołanie niezależnej instytucji, która – opierając się na ogólnych wytycznych parlamentu – opracowywałaby przepisy podatkowe. O wiele łatwiej jest uchwalić jego zdaniem sensowną ustawę, gdy nie ma możliwości wprowadzania poprawek do projektu.

I można by mu przyznać rację, gdyby nie to, że tak chwalone przez niego instytucje, na które scedowano możliwość decydowania, wcale najlepiej nie działają. Rezerwa Federalna była współodpowiedzialna za kryzys finansowy, który wybuchł w ubiegłej dekadzie. A amerykański Sąd Najwyższy jest podręcznikowym przykładem sędziowskiego aktywizmu.

Jednym ze źródeł niechęci do nieliberalnej demokracji jest także spadek zaufania do elit. Dlaczego mamy delegować na nie swoje uprawnienia, skoro im nie wierzymy?

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Zakaria nie pisze co prawda o Polsce, ale ten proces zachodzi i u nas. Vox populi podpowiada rządzącym coraz bardziej populistyczne rozwiązania. Kolejne instytucje podporządkowuje się woli suwerena, którego emanacją ma być obóz rządzący. Jest jeszcze do wcześnie, by oceniać, jaki wpływ mają jego reformy np. na sądy powszechne, ale los Trybunału Konstytucyjnego pokazuje, że jesteśmy między młotem a kowadłem. Helsińska Fundacja Praw Człowieka pokazuje, że po zmianach, które przeprowadził PiS, sędziowie wcale nie wzięli się do pracy. Bez wnikania w ich meritum TK wydał w 2017 r. (pierwszym pełnym, w którym jego pracami kierowała Julia Przyłębska) tylko 36 wyroków: to najmniej od 1998 r. I nie tylko dlatego, że w tym roku wpłynęło do TK 285 spraw, prawie dwa razy mniej niż np. w 2014 r., bo przecież sędziowie mogli także nadrabiać zaległości. Z badań CBOS wynika, że Trybunał był we wrześniu 2017 r. oceniany gorzej co najmniej od 2009 r. Podsumowując: od kiedy PiS „zreformował” TK, działa on mniej sprawnie, a zaufanie społeczne do niego poleciało na łeb na szyję. Problem w tym, że to wcale nie oznacza, iż wcześniej działał dobrze, bo i u nas mieliśmy do czynienia z aktywizmem sędziowskim w TK, a sądy powszechne działały wolno i wielu ludzi miało poczucie, że są niesprawiedliwe.

Liberalno-demokratyczne elity przechodzą okres irytacji tym, że pierwszy raz od dawna nie stanowią dla większości obywateli punktu odniesienia. I mają rację, gdy wskazują, że część decyzji, które podejmują nieliberalni demokraci, jest głupia bądź niebezpieczna dla wolności. Jednak rozwiązanie, które proponuje Zakaria – zabrać obywatelom demokratyczne zabawki i oddać je specjalistom – nie jest dobra. Na pewno nie teraz, kiedy obywatele rozsmakowali się w ich wykorzystywaniu. Być może musi przyjść moment, w którym bycie chorągiewką na wietrze opinii publicznej stanie się passé. Jednak żeby tak było, elity muszą odzyskać zaufanie obywateli. Ponieważ zwycięstwa nagiej siły same są po części winne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Seksizm wielkomiejski

Jak wiadomo, feministki to wariatki, natomiast grubiaństwem oraz chamskim seksizmem wykazują się jedynie wąsaci Polacy w skarpetach i sandałach. Otóż – może to kogoś zaskoczy – świat jest bardziej skomplikowany.

W pewnej profesjonalnej sieci społecznościowej pan z dużej firmy zamieścił ogłoszenie. Ogłosił on, że ma – uwaga – „do oddania” asystentkę. Musiał ją oddać z niewiadomych powodów, ale że ludzkie z niego panisko, zarazem ją zachwalał. Że kumata i języki zna. Inni panowie, z innych globalnych korporacji na wysokich stanowiskach, wyrazili swe zainteresowanie ofertą rechatliwymi kalibrami rozmaitego kalibru prawie wyłącznie o podtekście seksualnym. Jednak jeden – ważny człowiek z Panasonic (na szczęście firma się od niego oficjalnie odcięła) – wypalił z grubej rury i zapytał oferenta: „A dobrze się bzyka?”. Żartem oczywiście, bo dał buźkę z uśmiechem i zmrużonym okiem.

Lubimy podawać rozmaite dane, z których wynika, że kobiety w Polsce wcale nie mają tak źle, jakby sobie tego feministki życzyły. Przemoc wobec kobiet jest poniżej europejskiej średniej, z kolei relacje między zarobkami pań i panów – powyżej. Nasza zaściankowość ma jak widać i sympatyczne cechy. Kiedy jednak jakieś feministki znowu będą przynudzać o dyskryminacji kobiet, pomyślny o panu z Panasonic i innych panach z tego

zawodowego forum. Jeden na przykład – przedstawiający się jako psycholog – zadał takie oto retoryczne pytanie, gdy ktoś zakwestionował potrzebę zbadania poziomu umiejętności bzykania polecanej (a raczej „oddawanej”) dziewczyny: „A od czego są asystentki?”.

Z kolei feministki może powinny przemyśleć, czy aby na pewno dobrze robią, redukując seksizm w Polsce wyłącznie do tradycyjnej, katolickiej, małomiasteczkowej części męskiej populacji. Cóż, on i tam jest. Wiele razy widziałem na konserwatywnych imprezach, jak panowie omawiali wielkie sprawy tego świata, a panie krzątały się wokół nich, by mężowie nie musieli zajmować się pierdołami. I nie czułem się za dobrze w takich miejscach. Nie widziałem tam jednak ordynarnego braku szacunku, jaki zaprezentowali światowi menedżerowie ze światowych korporacji. Polaczek z wąsami pijący czystą nie krzyczy na cały głos, że gardzi kobietami. Smakosze koniaku i sushi właśnie to uczynili.

W Anglii krasnale ogrodowe stawiają sobie proletariusze oraz arystokraci. Kiedy robią to ci pierwsi, jest to synonim obciachu. Kiedy drudzy – to krasnale stają się ironiczne i fajne. O ile ta zasada może od biedy sprawdzić się w Anglii w kwestii krasnali, o tyle nie powinna działać w Polsce w kwestii kobiet. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kłopoty z artystami

Artyści to prawdziwy dopust Boży. Villon był złodziejem, Caravaggio zabójcą, a Genet dezerterem. Tolerancyjny cesarz Oktawian wysłał Owidiusza na zesłanie za szerzenie niemoralności, Rushdiego spotkała fatwa. Oskar Wilde siedział za pederastię, Polańskiego i Chaplina oskarżono o pedofilię. Skądinąd z „kochających inaczej” można ułożyć całą historię literatury i malarstwa – od Safony przez Leonarda, Michała Anioła do Iwaszkiewicza i Andrzejewskiego.

W dodatku niesforność i niesterowność mistrzów, na-

A gdyby uwzględnić wszystkie odchyłki od normy – ilu wśród postaci wypełniających strony encyklopedii i sale muzealne było zwyczajnymi wariatami, dewiantami, zboczeńcami, osobami nieprzystosowanymi społecznie czy politycznymi durniami? Tyle że mądrzy władcy i stabilne społeczeństwa zdawały sobie sprawę, że per saldo tolerowanie podobnych anomalii się opłaca. Że czasami warto przymknąć oko i odstąpić od reguł. Ponieważ w sztuce obowiązują inne zasady. Z niepokornych nie da się zrobić salonowych piesków.

Doświadczenia socrealizmu i sztuki nazistowskiej dowodzą, że najhojniejszy nawet mecenas nie jest w stanie wyprodukować „geniuszy usługowych”, prawdziwe talenty prędzej czy później kończą jako dysydenci. Zbuntowała się nawet Leni Riefenstahl...

Wszystkie te refleksje przysły mi do głowy, gdy śledziłem dyskusję na temat Pawlikowskiego i „Zimnej wojny”, toczoną głównie przez tych, którzy filmu nie widzieli. Reżyser krytykuje władzę, ale bierze od niej kasę. Fatalne. Aliści nagrody idą na konto Polski. I zostaną, nawet jeśli 10 razy zmienia się rząd.

Czy wolelibyśmy, żeby nie krytykował i za porównywalny szmal robił gnioty, których nie obejrzałby nie tylko zagraniczny krytyk, lecz także krajowy widz?

Jest tylko jedno „ale” – żeby zasłużyć na taryfę ulgową, trzeba być Caravaggiem. ©©

Szekspir tylko pozornie był chwałcą dynastii Tudorów

wet hojnie sponsorowanych, przekraczała wszelkie granice – żaden z holenderskich mieszczan nie był zadowolony ze swego wizerunku na płótnach Rembrandta, papież Juliusz kłócił się z Michałem Aniołem, bo inaczej wyobrażał sobie kaplicę Sykstyńską. Prokopiusz z Cezarei brał pensje od Justyniana i Teodory za pozytywny wizerunek bizantyjskich cesarzy, ale dla potomności obsmarował ich w „Historii sekretnej”, Szekspir tylko pozornie był chwałcą dynastii Tudorów, w istocie portretował patologie władzy. Bywali też służalcy tyranów (Wolter, Rousseau, Diderot), ale płody sponsoringu zaszkodziły tyranii jak mało co.

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**SENSACYJNY
WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM
KEDYWU AK**

Piotr Zychowicz – **Dwa oblicza granatowych**
Dariusz Libionka kontra Janina Hera – **Spór o książkę „Dalej jest noc”**
Tomasz Stańczyk – **Zabójstwo pułkownika Reszczyńskiego**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Błędy Śmigłego-Rydza**
Mikołaj Iwanow – **Ostatni wyklęty z Czeczenii**
Sławomir Cenckiewicz – **Tajne akta WRON**
Adrian Goldsworthy – **Jak Rzymianie podbili świat**
Sławomir Koper – **Trzy trupy na Pańskiej 11**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Semka

Te obrazy i grafiki powstawały jako wyraz protestu. Mało kto z bogatych miał ochotę wieszać je na ścianie. Odpychały naturalizmem i brzydotą. Kłuły w oczy i miały kłuć

Eksplorowali dzielnice nędzy, ujmowali się za bezrobotnymi i szarymi ludźmi miażdżonymi przez los. W Berlinie w epoce kaiserów i Republiki Weimarskiej setki tysięcy ludzi płaciło gorzką cenę za ekonomiczny boom metropolii. Eksmisje na bruk, ubóstwo, prostytutka, brak perspektyw. Malowali, a potem fotografowali ich życie i ich troski. To klimat powieści Alfreda Döblina, Josepha Rotha i filmu „Kabaret”.

„Berlińscy realiści” to tytuł wystawy w Muzeum Bröhan w stolicy Niemiec. I opowieść o tym, jak społeczna wrażliwość niemieckich artystów z przełomu XIX i XX w. została z czasem instrumen-

na ulicę. Kolejne rejony Berlina wypełniały tzw. Mietskaserne – szeregi tanich domów bez wygód budowanych w celu generowania zysku z czynszów. Strajki i lokauty, starcia z policją, manifestacje robotnicze – wszystko to były nowe i nieznane wcześniej zjawiska.

Powstanie ogromnych metropolii pobudziło wyobraźnię malarzy. O ile tacy artyści jak Adolph von Menzel zafascynowani byli



Pozdrowienia

talnie wykorzystana przez komunistów, ale i po części przez nazistów.

MOŁOCH NAD SZPREWĄ

Zjednoczenie Niemiec w 1871 r., ustanowienie Berlina stolicą nowego państwa i szybka rewolucja przemysłowa spowodowały ekonomiczny boom miasta. Nowo powstające fabryki potrzebowały rąk do pracy. Ludzie masowo przybywali z prowincji, uciekając przed wiejską nędzą, w nadziei na lepsze życie.

W epoce kaiserów miasto rosło jak na drożdżach. W 1820 r. Berlin liczył sobie 200 tys. mieszkańców, w 1870 – 774 tys., w 1900 – 1 mln 578 tys., a w 1919 – już 2 mln 71 tys. osób. Tak szybki wzrost ludności musiał wytworzyć nowe problemy. Ci, którym się nie udawało – cierpieli z powodu bezrobocia i zmagali się z bezdomnością oraz niedożywieniem. Długo nie istniał system ubezpieczeń od wypadków, kas chorych i emerytur. Wiele dziewcząt brak pracy wypychała

samym fenomenem wielkiego przemysłu – o tyle od lat 90. XIX w. w Berlinie pojawia się grupa malarzy, których zainspirował los robotników i ludzi ubogich. Tacy twórcy, jak Hans Baluschek, Heinrich Zille, Franz Skarbina, Rudolf Schlichter, Otto Dix czy Käthe Kollwitz, zostali nazwani berlińskimi realistami. W 1898 r. stworzą oni silną grupę wewnątrz środowiska Secesji Berlińskiej.

„Postać robotnika silnie mnie fascynuje” – pisała w końcu XIX w. Käthe Kollwitz. Dziś na takie zdanie kładzie się cieniem propaganda państw komunistycznych, ale w epoce Wilhelma II brzmiało ono świeżo i nowatorsko. Malarze zauważali nie tylko ciężkie warunki

życia robotników, lecz także ich dumę. Przerażała ich praca ponad siły, niszcząca życie i zdrowie. Artyści uważali, że ich obrazy wstrząsną bogatymi i pomogą w budowaniu bardziej sprawiedliwej rzeczywistości. Na wystawie można obejrzeć całą serię robotniczych obrazów Hansa Baluschka z lat 1894–1910. Szare poranki i ludzie idący do wyniszczającej pracy jak skazańcy. Kolejki bezrobotnych czekających na najgorszą nawet robotę, dzieci odprowadzające ojca do pracy z drugim śniadaniem. A obok nich świetnie zaobserwowane

z niedożywienia dziećmi. Ojcowie rodzin zrozpaczeni brakiem pracy i robotnicy dobijający się do bram fabryk, z których ich zwolniono.

Te obrazy i grafiki powstawały jako wyraz protestu. Były świadomym odwracaniem się od modnych i popłatnych wówczas tematów malarstwa. Mało kto z bogatych klientów salonów miał ochotę wieszać je na ścianie. Odpychały naturalizmem i brzydotą. Kłuły w oczy i miały kłuć.

Ten nowy nurt zaskoczył artystyczny świat wyższych sfer, ale – co charakterystyczne – najostrzej zareagował na prace realistów sam cesarz Wilhelm II.

Władca z dynastii Hohenzollernów z dużą niechęcią przyjął odwołanie ustaw przeciw socjalistom i był nieufny nawet wobec reform socjalnych Bismarcka, które po cichu uznawał za rozzuchwalanie „motłochu”. W 1894 r. kajzer przybył na premierę „Tkaczy” Gerharta Hauptmanna w Berliner Deutsche Theater. Oburzony „wywrotową” treścią spektaklu demonstracyjnie wyszedł z cesarskiej loży i opuścił teatr.

z rynsztoku

scenki z życia ubogich berlińskich dzielnic uwiecznione ołówkiem Heinricha Zillego. Blade twarze dzieci, którymi nikt się nie zajmuje, bo rodzice toną w alkoholu. Samobójstwa matek, które nie radzą sobie z życiem. Świat tanich rozrywek proletariatu – cyrku, lunaparku, pokazów dzikich zwierząt, robotniczych majówek, ale i płatnej miłości w nędznych izbach. Wielkomiejski półświatek – alfonsi, prostytutki i ich klienci.

Część grafik Zillego, Georga Grosza i Ottona Dixy z racji swojej drastyczności pokazywana jest na wystawie w osobnej sali.

Käthe Kollwitz jako pierwsza od lat 90. XIX w. kreowała coś w rodzaju pamięci historycznej niemieckich robotników. Na wystawie można obejrzeć cykl jej rysunków do sztuki Gerharta Hauptmanna na temat strajku śląskich tkaczy z 1844 r., który władze pruskie stłumiły z wielką brutalnością. Ponure izby z matkami nad umierającymi

Nic dziwnego, że władca Prus równie źle przyjął malarstwo ukazujące nędzę życia najniższych klas Berlina. Cesarz uznał to za babranie się w szpetocie. „Sztuka winna pomagać w edukacji ludu. Jest to możliwe tylko poprzez uwznioślenie, a nie poprzez zniżanie się do poziomu rynsztoka” – przekonywał Wilhelm II, przemawiając w 1901 r. z okazji otwarcia Siegesallee – alei rzeźb władców z dynastii Hohenzollernów. Określenie „sztuka rynsztoka” stało się szybko epitetem wobec dzieł realistów.

Kolejnym szokiem, który wpłynął na malarzy, była I wojna światowa. Wielu z nich – jak np. Georga Grosza – powołano na front. Inni, jak Otto Nagel, jako pacyfiści odmówili służby wojskowej i spędzili wojnę w karnym obozie. Po pierwszej fazie patriotycznego entuzjazmu wojna zamieniała się w żmudną, krwawą maszynkę do mięsa.

Wojenną traumę dobrze oddają rysunki Willy'ego Jaeckela z cyklu „Memento”

„Niemieckie dzieci głodują” – fragment plakatu Käthe Kollwitz z 1924 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ 1914/15” – zapis potworności życia frontowego. Zwały trupów, masakry w wyniku ataków artyleryjskich, marzenie w zalanych wodą okopach i gwałty na bezbronnych kobietach. Poruszające są obrazki Käthe Kollwitz z „Hungerjahren” – głodowych lat I wojny światowej. Rysunek przedstawiający dzieci szarpiące fartuch matki, nierozumiejące, dlaczego nie mogą dostać kromki chleba, i widok zrozpaczonej kobiety, która fartuchem zasłania łzy – ścisła za gardło także dziś.

BEZNADZIEJA WEIMARU

Jeśli ktoś wierzył, że koniec wojny, upadek Hohenzollernów i dojście do władzy socjaldemokratów polepszy nastroje – to szybko się rozczarował. Powojenna rzeczywistość to próby dokonania przewrotu podejmowane przez komunistów, usiłowania nacjonalistycznych puczów i krwawo tłumione rebelie pod wodzą Kommunistische Partei Deutschland. Symbolem nowej polityki kulturalnej socjaldemokratów był wybór Käthe Kollwitz jako pierwszej kobiety do Pruskiej Akademii Sztuk. Jednak mniejszość artystów poparła SPD. Jednym z niewielu przykładów wsparcia nowej władzy jest eksponowane na wystawie dzieło Cesara Kleina – „Kto nie pracuje, kopie grób swoim dzieciom” – plakat z 1919 r. mający zniechęcać robotników do udziału w wywoływanych przez komunistów strajkach politycznych. Większość berlińskich realistów skłoniła się ku KPD, zarzucającej „socjal-zdrajcom” zatrzymanie rewolucji w półkroku w sojuszu z Reichswehrą. I artyści przelewali na papier martyrologię komunistów – stłumienie komunistycznych powstań w Zagłębiu Ruhry i Hamburgu czy śmierć Karola Liebknechta. W tym ostatnim wypadku Kollwitz pokazała jego ciało ze stojącymi nad nim towarzyszami partyjnymi jak Jezusa przed złożeniem do grobu. Arthur von Kampf, który potem przejdzie do obozu naziistów, oddał w swych obrazach ciągle napięcie na ulicach – ciężarówka pełna komunistów agitujących w wyborach. A Otto Dix, George Grosz, Karl Hubbuch i Otto Nagel odmalują kontrasty powojennych Niemiec – z jednej strony wojennych inwalidów żebrzących o feniga, z drugiej – świat bogaczy bawiących się w epokę jazzu. Wielki kryzys przyniósł bezrobocie. Nagel maluje bezrobotnych siedzących całe dnie bez celu na ławkach

w parkach, Ernest Neuschul w 1929 r. uwiecznia skonane dniówką robotnice śpiące na dworcowej ławce.

Partia komunistyczna włącza berlińskich realistów do swego aparatu propagandowego – są najskuteczniejszymi oskarżycielami kapitalizmu.

Plakat KPD z 1932 r. głosi: „Kapitaliści odbiorą twemu dziecku ostatni kawałek chleba”. Pojawia się nowa gałąź realizmu – reportaż fotograficzny, który rozkwita w najpoczytniejszym magazynie komunistycznym „Arbeiter-Illustrierte-Zeitung”. Czerwonym trustem mediów zawiaduje wtedy z powodzeniem Willy Münzenberg, który wylansowuje mistrza fotomontażu Johna Heartfielda. Tymczasem już nadciąga coraz silniejsza NSDAP. Na grafice Brunona Voigta z 1929 r. SA-man strzela zza węgła w plecy politycznego przeciwnika.

BEZ BRUNATNYCH REALISTÓW

Autorzy kończą prezentację berlińskiego realizmu w 1933 r. wraz z wygraną Hitlera i przedstawiają w ramach tego nurtu niemal jedynie twórców lewicy. Ignorują to, że również naziści – w końcu partia robotnicza i socjalistyczna – w latach 20. i 30. podejmowali temat nędzy proletariatu i atakowali bezdusność wielkich miejskich molochów. Nazizm diagnozy kryzysu miał takie same jak komunizm, tyle że o wyzysk oskarżał „żydowską plutokrację”. Szkoda, że nie pokazano na wystawie np. plakatu z 1932 r. „Naszym ratunkiem Hitler” z tłumem bezrobotnych szukających jakiegokolwiek nadziei. Dobrym przykładem rywalizacji „czerwonych” i „brunatnych” na tym polu są dwa filmy z początku lat 30. Na wystawie pokazane są fragmenty tylko jednego – filmu „Kuhle Wampe (nazwa namiotowego miasteczka bezrobotnych na obrzeżach Berlina), czyli do kogo należy świat”. Nakręcił go w 1932 r. Slatan Dudow, bułgarski reżyser komunista. Był to łabędzi śpiew niemieckich komunistów, tuż przed dojściem do władzy Hitlera – opowieść o berlińskiej robotniczej rodzinie Bönike, która dojrzewa do ideałów komunizmu. Jednak socrealistyczny film „Kuhle Wampe” dobrze pokazuje widzowi wystawy, jak sprawny stawał się przemysł filmowy tworzony przez aparat propagandy KPD. W żadnym innym kraju Europy komuniści nie stworzyli własnych filmów fabularnych.

I znów aż się prosi, by zestawić to dzieło z odpowiedzią Goebbelsa na obraz

komunistów – film „Hitlerjunge Quex” to opowieść o chłopaku z robotniczej rodziny, któremu ojciec popierający KPD zakazuje przystąpienia do Hitlerjugend i który ginie z rąk komunistycznej bojówki. „Hitlerjunge Quex” ma cechy filmu proletariackiego – nie ukrywa nędzy lat Weimaru i pozornej atrakcyjności komunistów, ale ukazuje narodowy socjalizm jako drogę do wyjścia z kryzysu. I to był ostatni film brutalnego realizmu w III Rzeszy. Potem kręcono jedynie filmy o szczęśliwym dniu dzisiejszym w państwie Führera.

ZAPIS PEWNEJ EPOKI

Polakowi te wizerunki miasta wysysającego na swe potrzeby masy proletariatu kojarzyć się muszą z „Ziemią obiecaną” Władysława Reymonta. Nic dziwnego, że ekranizacja tej powieści Andrzeja Wajdy była bardzo popularna w NRD w latach 70. Jednak już wcześniej, od 1945 r., twórczość części berlińskich realistów na czele z Käthe Kollwitz była uznawana za pragęnę sztuki komunistycznych Niemiec. Jeden z realistów, Otto Nagel, zostanie po wojnie przewodniczącym Akademii Sztuk w Berlinie Wschodnim. Ich twórczość jako zapis wcześniejszych niesprawiedliwości doskonale pasował do klasowej legendy NRD. I nie traktowano tego jedynie jako propagandy. Żyłoby wtedy jeszcze sporo ludzi, którzy z dzieciństwa pamiętali „głodne i chłodne” lata I wojny światowej i Weimaru.

Wszystkie zgromadzone w Muzeum Bröhana obrazy nędzy i upodlenia są zapisem pewnej epoki. Bez jej zrozumienia nie pojmimy sympatii do komunizmu przed 1989 r.

Jeśli jednak oderwać te obrazy od politycznych kontekstów – są przede wszystkim zapisem dramatycznych losów setek tysięcy najbiedniejszych mieszkańców Berlina. Byli wśród nich liczni Polacy – Górnoślązacy, Wielkopolanie, mieszkańcy Pomorza, Warmii i Mazur oraz Pomorza. Już pisarz Kurt Tucholsky mawiał – „Berlińczyk przeważnie pochodzi z Poznania albo Wrocławia”. W berlińskim tyglu wiele dziesiątek tysięcy Polaków roztopiło się w niemieckości. Często po to, by w I wojnie światowej zginąć za kajzera, a w kolejnej wojnie za Führera. Pomyślmy o ich losie, oglądając obrazy w Muzeum Bröhana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Berlińscy realisci” czynna będzie do 17 czerwca br. Szczegóły na stronie: www.broehan-museum.de.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polscy bolszewicy

W genialnej powieści Józefa Mackiewicza „Lewa Wolna” znalazła się scena, w której polscy żołnierze po jednej z potyczek z bolszewikami biorą jeńca. Nie jest to jednak Rosjanin, tylko Polak. Fanatyczny komunista służący w jednym z polskich czerwonych pułków, które w 1920 r. parły na Warszawę u boku Armii Czerwonej. Schwyty żołnierz zostaje odprowadzony na bok i rozstrzelany. Dla renegatów nie ma litości.

Przypomniałem sobie tę scenę, gdy wziąłem do ręki książkę Mateusza Staronia „Zdraycy. Polacy u boku Lenina”. Jej tematem są losy polskich socjalistów i komunistów, którzy w trakcie wojny 1920 r. opowiedzieli się po stronie Sowiec. Ludzi, którzy marzyli o utworzeniu Polskiej Republiki Rad jako części „ojczyzny światowego proletariatu”.

Przygotowania te przybrały bardzo realny kształt – bolszewicy powołali Tymczasowy Polski Komitet Rewolucyjny jako zalążek przyszłego rządu i Czerwoną Armię Polską. A o stworzenie bezpieczeństwa zadbałby niedościgniony specjalista w tej dziedzinie Feliks Dzierżyński. Brrr... nieciekawa perspektywa.

Całe szczęście plan ten się nie powiódł. Bolszewicy dostali w skórę pod Warszawą i musie-

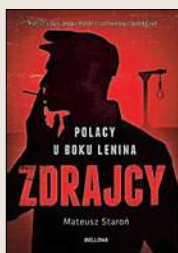
li zrezygnować ze swoich planów. A raczej odłożyć je w czasie. Bo – jak wiadomo – to, czego nie udało im się zrobić w roku 1920, zrobili w latach 1944–1945. Za drugim razem niestety nie udało nam się uciec spod czerwonej szubienicy.

Mateusz Staron w swojej książce tłumaczy, dlaczego tak wielu Polaków znalazło się w szeregach walczącego z caratem ruchu rewolucyjnego. I dlaczego część z nich (jak np. Józef Piłsudski) wybrała Polskę, a część (jak Julian Marchlewski) bolszewizm.

Po klęsce 1920 r. polscy towarzysze nie mogli budować komunizmu w swojej ojczyźnie. Zaangażowali się więc w budowę komunizmu w Rosji. Odgrywali olbrzymią rolę w Czerwonej Armii i niemal we wszystkich komisariatach. Znaleźli się we władzach centralnych i rządach poszczególnych republik.

Mimo że święcie wierzyli w ideę komunizmu i zwal-

czali ideę niepodległej Rzeczypospolitej – skończyli marnie. Przytłaczająca większość z nich została przez NKWD uznana za... polskich szpiegów i zgładzona w trakcie wewnętrznych czystek w latach 1937–1938. Nie mogę powiedzieć, że bym ich żałował. ©©



★★★★★
MATEUSZ STARON
„ZDRAYCY. POLACY U BOKU LENINA”
BELLONA 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Triumf Konopackiej

Przyszła złota medalistka olimpijska ze sportem wyczynowym zetknęła się podczas studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Zapisła się do Akademickiego Związku Sportowego, gdzie ze względu na wzrost (181 cm) początkowo trenowała koszykówkę. Nigdy jednak nie chciała poświęcić się tylko jed-

rencyj dzisiaj już całkiem zapomnianych. Należały do nich rzut dyskiem i rzut oszczepem oburącz, co pomimo dziwnej nazwy wyglądało całkiem zwyczajnie – rzucano na przemian prawą i lewą ręką, a wyniki tych rzutów sumowano. Halina osiągała również sukcesy w tak egzotycznych dyscyplinach jak rzut piłką uszatą (!), czyli 800-gramową piłką z uchwytem w formie pętli. Jednak skoro na igrzyskach rozgrywano wtedy zawody w przeciąganiu liny, to i piłka uszata nikogo nie mogła zdziwić. Z drugiej strony wydaje się, że ówczesni kibice mogliby mieć kłopot ze zrozumieniem wielu dzisiejszych konkurencji, jak chociażby pływani synchroniczne solo.

Koronną dyscypliną Konopackiej pozostał jednak rzut dyskiem, a 23 maja 1926 r. w Warszawie ustanowiła pierwszy polski rekord świata. Trzy miesiące później zdobyła złoty medal na kobiecych igrzyskach w Göteborgu, stając się faworytką olimpiady w Amsterdamie. Mówiono wtedy nawet, że polska reprezentacja lekkoatletyczna to „kilka dodatków do Konopackiej”.

Halina nie zawiodła i na olimpiadzie sięgnęła po złoty medal. Po powrocie do kraju Józef Piłsudski przyjął ją w Belwederze, natomiast Witkacy namalował jej portret. Po Warszawie krążył nawet dowcip: „Czym zdobywają sławę Polacy? Kiepura pyskiem, a Konopacka dyskiem”.

Porównanie do sławnego tenora najlepiej oddaje popularność Konopackiej w tamtych czasach. ©©

Podczas mistrzostw Polski w 1928 r. zdobyła aż siedem złotych medali

nej dyscyplinie, a przełomową chwilą miała okazać się wizyta na treningu lekkoatletycznym. Trenerzy błyskawicznie zauważyli niezwykle predyspozycje dziewczyny, a ona już po kilku miesiącach została mistrzynią Polski w pchnięciu kulą i rzucie dyskiem.

Halina nie miała budowy typowej miotaczki, jednak braki w muskulaturze nadrabiała wzrostem i znakomitą koordynacją ruchową. Była bardzo wszechstronna, toteż odnosiła sukcesy również w rzucie oszczepem, skoku wzwyż i biegach. Podczas mistrzostw Polski w 1928 r. wzięła udział w 10 (!) konkurencjach i zdobyła aż siedem złotych medali. To była jednak zupełnie inna epoka – przy dzisiejszej specjalizacji trudno sobie wyobrazić podobne sukcesy.

Przy okazji warto wspomnieć, że w tamtych czasach rozgrywano zawody w konku-



Piotr Włoczyk

Wielka Brytania stała się jedną wielką pralnią brudnych pieniędzy rosyjskich. Taka sytuacja zagraża bezpieczeństwu narodowemu kraju – alarmuje brytyjska Izba Gmin

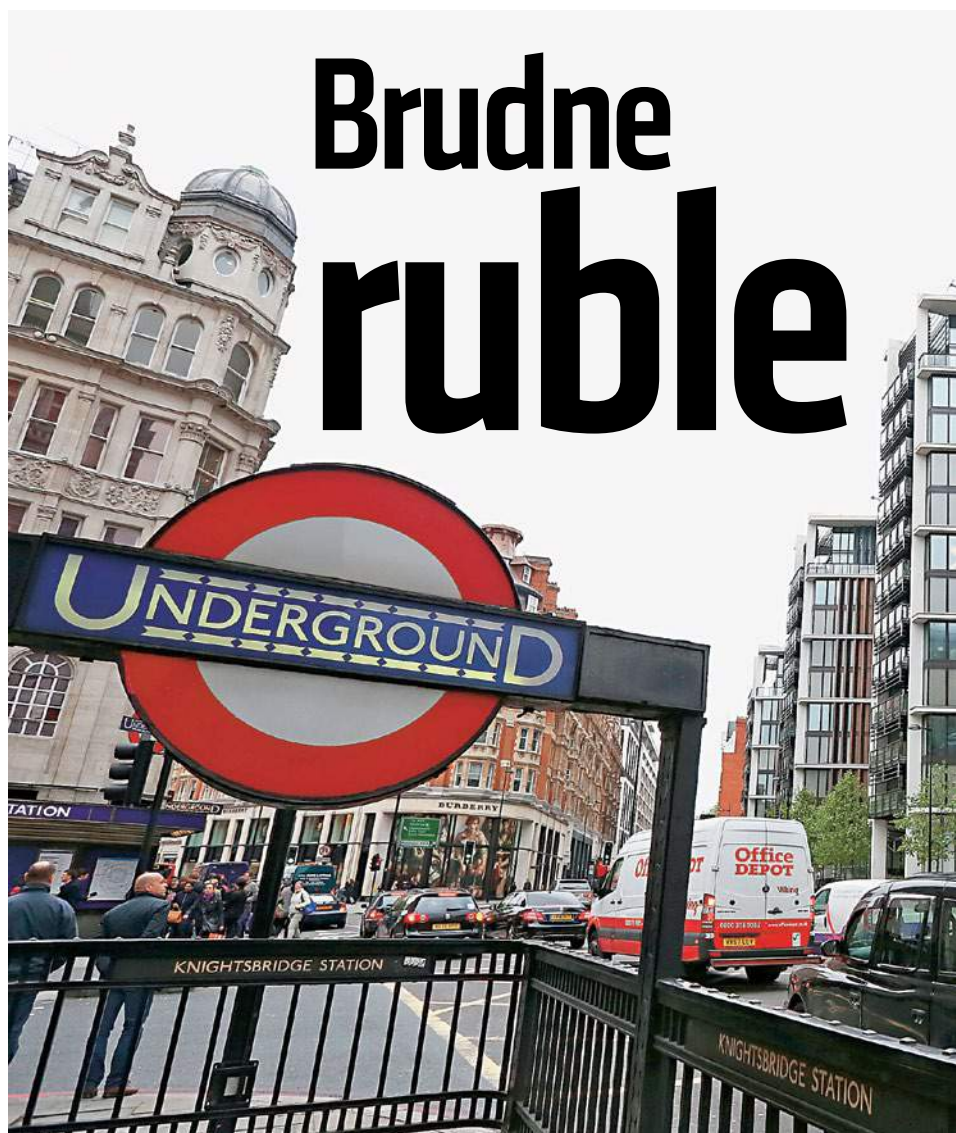
Borys był ważnym urzędnikiem rosyjskiego ministerstwa zdrowia. Do Londynu przyjechał na zakupy wraz ze swoją piękną dziewczyną o typowo słowiańskich rysach. Agenci nieruchomości nie dociekali za bardzo, jak Borys ma na nazwisko. Wystarczyła im jasna sugestia jego asystenta, że samo imię powinno im wystarczyć. W ramach zakupów para Rosjan obejrzała pięć superluksusowych rezydencji w najdroższych dzielnicach Londynu.

Borys był przy tym bardzo otwartym człowiekiem – wprost powiedział agentom nieruchomości, że dorobił się dużych pieniędzy na korupcji i chciałby „dyskretnie” kupić w brytyjskiej stolicy nieruchomości. Ta szczerza deklaracja nie wywołała jednak żadnych pytań. Agenci doskonale rozumieli, na czym polegają tego typu „zakupy”.

Tak w skrócie wyglądała prowokacja dwóch londyńskich aktywistów antykorupcyjnych – Romana Borysowicza (odgrywającego rolę „Borysa”) i Arthura Doohana, której efektem jest film „From Russia with Cash”. Film z „zakupów” „Borysa” upubliczniono już trzy lata temu, ale do tej pory brytyjskie władze nie wyciągnęły konsekwencji wobec ludzi, którzy tak ochoczo brali udział w ustawianiu przekrętu.

DUŻY PROBLEM

Nie ma przy tym wątpliwości, że już w 2015 r. brytyjskie władze wiedziały, że jak poważnym problemem mają do czynienia. Na udzielenie wypowiedzi na potrzeby tego filmu zgodził się bowiem Donald Toon z National Crime Agency, brytyjskiej agencji zajmującej się walką z przestępczością zorganizowaną: „Istnieje duży problem z pieniędzmi z przestępstw, które wchodzą w ten sposób na rynek nieruchomości. Szacujemy, że w całej Wielkiej Brytanii pierze się setki miliardów dolarów rocznie”. Spora część



Brudne ruble

tych lewych miliardów pochodzi właśnie z Rosji. Wygląda jednak na to, że w końcu ktoś na Wyspach na serio zwrócił uwagę na ten problem.

„Moskiewskie złoto: rosyjska korupcja w Zjednoczonych Królestwie” – tak został zatytułowany opublikowany w zeszłym tygodniu raport Komisji ds. Zagranicznych Izby Gmin. Jej członkowie wzywają Downing Street do jak najszybszego podjęcia walki z niebezpiecznym rosyjskim kapitałem.

„Rząd odpowiedział bardzo stanowczo na atak przeciw Siergiejowi Skripalowi i jego córce Julii, w Salisbury w marcu 2018 r. – czytamy w podsumowaniu raportu. – Jednak mimo ostrej retoryki, prezydent Putin i jego sojusznicy wciąż są w stanie prowadzić interesy tak jak zawsze, chowając i piorąc w Londynie swoje pieniądze pochodzące z korupcji.

Te środki, które Kreml może w każdej chwili ściągnąć do siebie, bezpośrednio, a także pośrednio wspierają działania prezydenta Putina mające wywrócić międzynarodowy system opierający się na prawie, uderzają w naszych sojuszników oraz podkopują wzajemnie wzmacniające się relacje międzynarodowe, na których bazuje brytyjska polityka zagraniczna”.

Konserwatywny poseł Tom Tugendhat, przewodniczący Komisji ds. Zagranicznych Izby Gmin w wywiadach z brytyjskimi mediami idzie jeszcze dalej z oskarżeniami. „Skala szkód, które te »brudne pieniądze« mogą wyrządzić brytyjskiej polityce zagranicznej, dalece przewyższa wszelkie zyski związane z rosyjskimi transakcjami w City. Wielka Brytania nie ma żadnej dobrej wymówki, by ignorować ten problem w momen-



FOT. PAUL HACKETT/REUTERS/PHOTO

cie, gdy kleptokraci i gwałciciele praw człowieka z otoczenia prezydenta Putina używają pieniędzy wypranych w Londynie do korumpowania naszych przyjaciół, osłabiania naszych sojuszy i podkopywania wiary w nasze instytucje”.

Zdaniem Tugendhata Downing Street musi jasno pokazać, że „Kreml nie jest mile widziany na naszych rynkach”.

Rzecznik Kremla nazwał działania komisji elementem „niemającej precedensu fali rusofobii w Wielkiej Brytanii, która została wywołana przez prowokację dokonaną rękoma strony brytyjskiej – sprawą Skripalów”. Z kolei rosyjska ambasada w Londynie w odpowiedzi napisała na Twitterze, że większość Rosjan pracujących w Wielkiej Brytanii „nie ma nic wspólnego z polityką”, co może być nawet prawdą. Ambasada nie odniosła się jednak do

mniejszości Rosjan, o którą przecież w całej tej sprawie chodzi.

SYSTEM PRANIA KASY

Nietrudno zrozumieć dotychczasową bierność brytyjskich władz, jeżeli chodzi o tolerowanie rosyjskiej lewej kasy. Global Witness, organizacja zajmująca się walką z korupcją, szacuje, że do samych brytyjskich terytoriów zamorskich w latach 2007–2016 spłynęło z Rosji co najmniej 68 mld funtów. Większość tych pieniędzy trafiło następnie okrężną drogą do Wielkiej Brytanii.

Jak działa ten system? Wystarczy, że rosyjski oligarcha otworzy firmę, np. na Kajmanach, aby za jej pośrednictwem nabyć warte grube miliony nieruchomości w najlepszych dzielnicach Londynu. W warunkach brytyjskich nikt do tej pory nie pytał, kto jest faktycznym właścicie-

lem firmy, która kupiła taką rezydencję. Efektem ubocznym tej polityki przemykania oczu jest nieprawdopodobny wzrost wartości nieruchomości w stolicy Wielkiej Brytanii. Zwykli londyńczycy, którzy mogą tylko pomarzyć o własnym mieszkaniu, mogą za to „podziękować” m.in. ludziom, którzy pompują w ich miasto szeroki strumień brudnych rubli.

Cel raportu Izby Gmin jest jasny: zmuszenie rządu do przykręcenia śruby Rosji. Jedną z rekomendacji jest np. tworzenie publicznych rejestrów właścicieli firm mających swoje siedziby w brytyjskich terytoriach zamorskich, takich jak np. Brytyjskie Wyspy Dziewicze czy Kajmany.

Kolejną rekomendacją jest utrudnienie sprzedaży rosyjskich obligacji. Autorzy raportu zwracają uwagę, że 16 marca, czyli dwa dni po ogłoszeniu przez brytyjski rząd decyzji o wyrzuceniu 23 rosyjskich dyplomatów, Rosji udało się sprzedać obligacje za 4 mld dol., z czego niemal połowę kupili inwestorzy z Wielkiej Brytanii. Dodatkowo w tym samym czasie Gazprom sprzedał w Londynie swoje obligacje na kwotę 750 mln euro. Rosyjska ambasada w Londynie zakpiła wówczas na Twitterze, pisząc w kontekście zastrzyku gotówki dla Gazpromu: „Business as usual?”.

Raport naświetla też debiut (w listopadzie 2017 r.) na londyńskiej giełdzie firmy z branży energetycznej En+, którą kontrolował wówczas bliski Putinowi oligarcha Oleg Deripaska. Dokument nazywa to „przykładem sprzecznego działania typowego dla polityki brytyjskiego rządu względem Rosji”. Deripaska trafił ostatnio na listę współpracowników Putina objętych amerykańskimi sankcjami.

Pewną nadzieję wszystkim tym, którzy liczą na realne zaostrzenie brytyjskiej polityki względem Rosji, daje sprawa wizy Romana Abramowicza, czołowego rosyjskiego oligarchy, człowieka bliskiego Putinowi, który zasłynął przede wszystkim jako właściciel piłkarskiego klubu Chelsea. Nagłośnienie jego problemów z odnowieniem brytyjskiej wizy zbiegło się w zeszłym tygodniu z publikacją raportu o „moskiewskim złocie”. Równocześnie brytyjski regulator rynku mediów ogłosił, że na poważnie weźmie pod lupę działalność rosyjskiej tuby propagandowej – stacji telewizyjnej RT. Czyżby w Londynie faktycznie kończyła się pogoda dla oligarchów?



FOT. DAVID RANAS/GETTY IMAGES

Kataloński ekstremizm



Małgorzata Wołczyk

Obserwowanie niepodległościowych dążeń Katalonii przywodzi na myśl rezolutną radę Sancho Pansy: „Nie trzeba prosić o to, co gwałtem wziąć można”

Ściśle według tej recepty przywódcy separatyzmu katalońskiego na czele z eksprezydentem Carlesem Puigdemontem (na uchodźstwie w Niemczech) realizują swój makiaweliczny plan wydostania się ze wspólnoty autonomicznych regionów Hiszpanii. Słowo „niepodległość” należałoby jednak w tym kontekście stale ujmować w cudzysłów. Polacy, którzy hasła o wolności wysysają z mlekiem matki, mają niepomiarowaną naturalną sympatię wobec wszystkich, którzy domagają się samostanowienia. Problem w tym, że próbując zrozumieć wojnę hiszpańsko-

-katalońską, należy niezwłocznie odłożyć na bok wszystkie swoje wyobrażenia.

Hiszpania już od czasów romańskich funkcjonuje jako zlepek „pueblos”, wspólnota ludów zamieszkujących ten sam obszar Półwyspu Iberyjskiego. W przeciwieństwie do Polski, tak homogenicznej etnicznie i językowo, owe odmienne „Hiszpanie” łączyły w jeden organizm państwowy wspólnie wyznawana wiara, osoba króla oraz zajmowane terytorium, które pasem Pirenejów odcinało się od reszty Europy. Nigdy w całej rozciągłości swych dziejów Katalonia nie była terytorium podbitym, okupowanym czy siłą wcielonym do wspólnoty regionów, choć w ramach festiwalu absurdalnych kłamstw rzecznicy separatyzmu ogłosili się niedawno terytorium okupowanym militarnie przez Hiszpanię, w dodatku ogarniętym klęską humanitarną.

Ktokolwiek nawiedzał w ostatnich latach Barcelonę, ma prawo dziwić się niepomiarnej fantazji wygłaszającego te słowa Quima Torry, świeżo namaszczonego na następcę byłego prezydenta Puigdemonta. Hiszpanom nie jest jednak

do śmiechu, bo spirala wzajemnej nienawiści, rozkręcona przez Katalończyków nielegalnym referendum, wydaje coraz obficie swoje zatrute owoce.

PĘKAJĄCE PAŃSTWO

Wydawać by się mogło, że w Europie, która wciąż liże rany po kominach krematoriów, nikt na serio nie wypowie uwag o podrzędnej rasie, choć tym razem rzecz dotyczy rdzennych Hiszpanów. Ojciec separatyzmu katalońskiego, skazany za liczne afery korupcyjne Jordi Pujol, w artykule z 1976 r. pt. „Imigracja, problem i nadzieja Katalonii” określał przybывających z biedniejszego południa Andaluzyjczyków jako podludzi, żyjących w nędzy duchowej, psychicznej, kompletnie bezwartościowych dla kraju.

Wtórował mu profesor uniwersytecki, lider ekstremistycznej lewicowej partii ERC i pierwszy przewodniczący Parlamentu Katalońskiego Heribert Barrera, który wslawił się publikacjami swoich obrzydliwych, ksenofobicznych teorii.

Tradycję tak niechlubnie rozpoczętą przez prowodyrów separatyzmu kontynuował w swych artykułach nowo mianowany premier Quim Torra. Wprawdzie

w ostatnim czasie zadbał o wyczyszczenie swoich rasistowskich tweetów z przeszłości, jednak „internety”, jak wiadomo, nie zapominają. Pochwały „białej katalońskiej rasy” w przeciwieństwie do ciemnej mieszanki z reszty regionów lub też snucie teorii o wyższym IQ przeciętnego Katalończyka to do niedawna stały lejtmotyw jego wpisów.

Rozważania przywódców separatyzmu o zepsutym kodzie genetycznym Hiszpanów (mieszanką cech afrykańskich i semickich) brzmiały zatrważająco znaną nam nutą o rasie aryjskich panów i podludzi. A gdy się jeszcze poczyta o z obrzydzeniem wytkniętym kacie wewnętrznym szczęki przeciętnego Hiszpana, trudno uwierzyć, że ktoś taki nie tylko publikuje artykuły, lecz także piastuje najwyższe funkcje publiczne. A jednak...

To, co zewnętrznemu obserwatorowi wydaje się bezdennie absurdałne czy wręcz śmieszne, Hiszpanom spędza sen z powiek, jako że wielowiekowe współistnienie „pueblos” zostało ostatecznie zerwane przez kataloński zamach stanu i jego następstwa.

Można by rzec: „A było tak pięknie”. Konstytucja z 1978 r., tak gremialnie poparta przez Katalończyków, gwarantowała regionom nieznaną w innych częściach Europy autonomię, swobodę zarządzania, nauczania, wzmacniała specyfikę kulturową i język. Wszystko po to, aby zapewnić pokojowe i trwałe współistnienie.

Prawdziwym nieszczęściem dla Hiszpanii okazały się rządy Zapatero, który stojąc na czele narodu (zdaniem wielu najstarszego w Europie), ogłosił, że „ci, którzy bronią jedności ojczyzny, to fundamentaliści”.

Jego miłość do ojczyzny wyrażała się na wiele sposobów, m.in. zliberalizował maksymalnie aborcję i dlatego dziś Hiszpania ma najgorszy przyrost naturalny w Europie. Rocznie wykonuje się 100 tys. aborcji, nie licząc skutków rozpowszechnionej na ogromną skalę tabletki „dzień po”. Jako pierwszy w Europie pozwolił gejom na zawieranie małżeństw, co – jak wiadomo – nie wpływa korzystnie na demografię.

Hiszpański maraton ku samozagładzie relacjonują najnowsze publikacje w stylu „Demograficzne samobójstwo Hiszpanii”. Znanie są miasta, w których liczba zgonów jest trzy razy większa niż urodzeń. Ani wojny, ani grypa hiszpanka

nie zdołały sprawić takiego spustoszenia jak liberalizacja i postęp.

Starzejące się społeczeństwo, zmaltretowane przez lewicę, które do tej pory odczuwa skutki ogromnego kryzysu z lat 2008–2014, dostało na dokładkę problem z kaprysem secesji jednego z regionów. Czy tylko jednego, czas pokaże, bo Baskowie pilnie śledzą wydarzenia i zapewne wysnuwają wnioski. W kolejce do „niepodległości” ustawić się też mogą Galicja czy Wspólnota Walencji, co skutkować może totalnym rozpadem kraju, którego chlubne początki zawiązała Hispania Romana w ok. 25 lat przed narodzeniem Chrystusa.

LEWICOWE SZALEŃSTWO

Problem z Katalonią jest dlatego nierozpoznany przez europejskie (i światowe) ośrodki opinii, że stale przemilcza się rozłam w społeczności. Nawet w najgorętszych propagandowo dniach referendum z 1 października 2017 r. liczba „wyznawców” niepodległości nie była większa procentowo od zwolenników pozostania w ramach wspólnoty i nieznacznie spada na korzyść tych drugich. Media obieły zdjęcia kordonów policji blokujących manifestacje obywateli chcących korzystać ze swego „demokratycznego” prawa do oddania głosu w referendum.

Tyle że referendum było nielegalne (jednostronne, wypowiadające posłuszeństwo konstytucji i rządowi w Madrycie), liczba ofiar „pobicia” po stronie separatystów była zaś wielokrotnie mniejsza, niż nagłaśniano. Mało tego, jak pokazały następne dni, to funkcjonariusze policji znaleźli się pod ostrzałem zmasowanej nienawiści: wypędzano ich z hoteli, niszczone policyjne auta, zastraszano funkcjonariuszy.

Jak wiadomo, policja katalońska, tzw. Mossos, niemal gremialnie wypowiedziała posłuszeństwo władzy w Madrycie, a wielu funkcjonariuszy ochraniało oskarżonego o zamach stanu Puigdemonta i eskortowało go w trakcie ucieczki za granicę. Jeden z ideologów Lewicy Republikańskiej, profesor prawa konstytucyjnego Antoni Abat Ninet, wprost nawoływał do prowokowania i szukania męczenników dla sprawy niepodległości, jako że 10 zmarłych wystarczy, aby Europa stanęła po stronie Katalonii. Oczywiście sam nie zgłosił akcesu do ofiarnej postawy, ale w sposób jednoznaczny nawoływał rodaków do ekstremalnych aktów nieposłuszeństwa i rebelii. Naśladowców takiego

myślenia wyłapały kamery już w dniu referendum, tyle że filmik nie wyszedł poza sieci społecznościowe, gdyż Katalończyk nadstawiający (własne?) małe dziecko w miejscu starć z policją narodową (Guardia Civil) psuł smak komentowania ofiar pobić wśród biednych Katalończyków pragnących wolności samostanowienia.

KATALOŃSKA RELIGIA

Między propagatorami i zwolennikami secesji narasta agresja. Przeciwnicy szaleństwa lewicowych prowodyrów są regularnie prześladowani ze strony hałaśliwej nie tyle większości (bo – jak wspomniałam wcześniej i co pokazuje też sondaż dziennika „La Razón” – 53,3 proc. mieszkańców prowincji nie chce niepodległości, podczas gdy 41,8 proc. wciąż się za nią opowiada), ile raczej mniejszości utrzymującej władzę medialną i parlamentarną. Stąd też wyłoniły się grupy Ruchu Oporu i Obrony (GDR), walczące o neutralność przestrzeni publicznej, której zagraża zmasowana propaganda ruchu niepodległościowego.

Patrole obywatelskie, zaalarmowane przez anonimowe zgłoszenia z różnych stron Katalonii, usuwają nocą znaki i symbole nacjonalistów, zwłaszcza żółtą kokardkę. Jest ona symbolem wsparcia dla polityków i działaczy ruchu separatystycznego aresztowanych pod zarzutem nawoływania do buntu i przeprowadzenia zamachu stanu. Europa patrzy na nich z mieszkanką podziwu i współczucia, choć żaden z europejskich krajów nie życzyłby sobie mieć w swoich szeregach polityków, którzy siłą prą do oderwania kawałka państwa i wbrew woli milczącej większości swego regionu, wbrew konstytucji, wielowiekowej wspólnej historii, defraudując finanse publiczne na przeprowadzenie nielegalnego referendum, paraliżując życie narodu w najbardziej zdecentralizowanej na świecie federacji autonomicznych regionów, którą stanowi Hiszpania.

Z wolna przebijają się w Europie głosy o ksenofobii nowego, marionetkowego premiera Torry, nikt jednak nie nazwie autora 440 artykułów trącających o rasizm w czystej postaci faszystą czy nazistą. Wszak lewicowiec wolny jest od wad. Obietnice Torry zbudowania niepodległej Republiki Katalonii mogą spełnić nacjonalistyczny sen, a nawet „zbawić” jego wyznawców, bo – jak głosił pierwszy ideolog ruchu Prat de la Riba – „religia katalońska ma ojczyznę za Boga”.

Len w irackiej ciemnicy



Witold Repetowicz

Los irackiej demokracji nie interesuje już światowej opinii publicznej. Wielu dawno przekreśliło ten kraj. Niestuszenie

Międzynarodowe media podają tylko złe informacje o Iraku – powiedział mi wiosną 2016 r. szejk El-Gilani w bagdadzkim meczecie, w którym spoczywa jego przodek żyjący w XII w. Szejk, którego pradziadek był pierwszym premierem Iraku, nie jest przy tym entuzjastą ani amerykańskiej interwencji w Iraku w 2003 r., ani też demokracji w ogóle. Jednak do jego słów jak ułał pasuje czarny obraz jego ojczyzny, wciąż malowany zarówno w mediach arabskich, jak i europejskich czy amerykańskich. Irak to zgłiszcza, pożoga i po prostu jedna wielka katastrofa. Tymczasem 12 maja odbyły się wybory parlamentarne, które nijak się mają do tego stereotypu.

Z iracką demokracją jest nieco jak z lmem z bajki Marii Konopnickiej, choć to oczywiście analogia niedoskonała. Kupcem, który przyniósł to siemę do Iraku, są USA, a konkretnie – amerykańscy neokonserwatyści. Zachowali się oni jednak nieco jak słynny sowiecki botanik Trofim Łysenko, którego ideologiczni zwolennicy postanowili sadzić ryż na polskich nizinach. W bajce Konopnickiej król, który kupił siemę lnu od kupca, spodziewał się, że wyrośnie mu złoto. Rozczarowany ze złości zaczął topić i młócić to, co wyrosło. W rezultacie otrzymał len.

Iracką demokrację topi i młóci światowa opinia publiczna, która jednak – w przeciwieństwie do bajkowego króla – nigdy w żadne złoto (czyli demokrację) nie wierzyła. Kupiec alias jankeski Łysenko obraził się za to, bo oczekiwał natychmiastowego rezultatu i nie jakiegoś lnu, ale złota.

Tylko złota. Sprawa była (w założeniu) prosta: przyjeżdżamy, obalamy tyrana, Irakijczycy są nam dożywotnie wdzięczni, wprowadzają amerykańską demokrację i stają się najlepszym przyjacielem USA i przy okazji Izraela.

ZNIECHĘCENI DO DEMOKRACJI

Znaczna część światowej opinii publicznej, nie wyłączając Polski, w żadną demokrację w Iraku nigdy nie wierzyła. Amerykanie zresztą sami się do tego przyczynili, wymyślając sobie pretekst w postaci broni masowej zagłady, której potem szukali równie uparcie co bezskutecznie. Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, a w tym przypadku o dochody z ropy. Tak przynajmniej zaczęła głosić znaczna część krytyków USA. I mieli oni trochę racji, bo jak już Amerykanie weszli, to robili trochę i tego, i tamtego, w rezultacie więc niewiele pozytywnego im wychodziło. Za to krew lała się strumieniami, a w aktach terroryzmu traciły życie setki, a czasem nawet tysiące Irakijczyków miesięcznie. Zamach bombowy przestał być newsem. To jednak wszyscy wiedzą.

Znacznie mniej osób wie, co się działo w tym czasie w irackiej polityce. W 2011 r. Amerykanie przecież wyjechali, a owo „ziarno lnu” trafiło do ciemnicy. Wszyscy byli zgodni: złota już nie będzie.

Tymczasem w 2010 r. odbyły się w Iraku wybory parlamentarne, których nie wygrał bynajmniej ówczesny premier Nuri al-Maliki. Były to trzecie i ostatnie

wybory w czasie okupacji, a prezydentem Stanów Zjednoczonych był już wówczas Barack Obama, dążący do zawarcia porozumienia atomowego z Iranem oraz jak najszybszego wycofania wojsk amerykańskich z Iraku. Uznał więc, że zmiana władzy w Iraku nie będzie służyć tym celom. Wybory bowiem wygrała koalicja Watania, w której byli i szyici, i sunnici, a na czele stał złaicyzowany szyita, były premier Ijad Allawi. Iran z całą pewnością wolał Al-Malikiego i tak też się stało. Pozostał on premierem i gdy tylko Amerykanie zwinęli manatki, to zaczął tłuc sunnitów oraz wszystkich innych, którzy stali mu na drodze do dyktatury. Właśnie to otworzyło Państwu Islamskiemu drogę do opanowania co najmniej jednej trzeciej terytorium Iraku (zamieszkaną jednak przez nie więcej niż 20 proc. irackiej populacji).

– Co nam po takich wyborach, skoro my głosujemy, a i tak USA z Iranem uzgadniają, kto ma rządzić? – te słowa usłyszałem wielokrotnie w kontekście utrzymania Al-Malikiego u władzy w 2010 r. Miało to bardzo negatywny wpływ na stosunek Irakijczyków do demokracji. Jednak kto się tym wówczas przejmował! Neokonserwatyści odeszli wraz z Bushem i większość z nich machnęła na Irak ręką. Wszak demo-



kratyczny czy nie, większą miłością zacząć pałać do Iranu niż do USA, nie mówiąc o Izraelu.

Gdy w objętych arabską wiosną Syrii, Libii i Jemenie trwała w najlepsze wojna domowa, w Iraku odbyły się kolejne wybory, które wygrał Al-Maliki. Jednak nie w stylu bliskowschodnich „demokracji”. Nie dostał ponad 90 proc. głosów, ale jedną czwartą. Było to miesiąc przed zajęciem Mosulu przez terrorystów, a niemal wszystkie pozostałe siły polityczne (w tym szyickie) były zdeterminowane, by go odsunąć od władzy. Zastąpił go więc Hajdar al-Abadi, pochodzący jednak z tej samej partii.

WCIĄŻ NA ROZDROŻU, ALE...

– Nie pozwolimy, by komuniści i liberałowie rządili Irakiem – te słowa, nieco dziwnie brzmiące dla osób, których wiedza o Iraku zatrzymała się na „zgliścach”, słowa wypowiedział w lutym 2018 r. Ali Akbar Welajati, reprezentujący samego Najwyższego Przywódcę Iranu ajatollaha Alego Chameneiego. Kampania wyborcza przed kolejnymi wyborami trwała w najlepsze i już wówczas wiele wskazywało, że będą one miały historyczne znaczenie dla Iraku. Nie towarzyszyło im jednak nadzwyczajne zainteresowanie światowych mediów. Newsami nie były gwałtowny spadek liczby aktów terroru i to, że irackie wybory były naprawdę w pełni demokratyczne, co w tym regionie jest ewenementem.

Do 2014 r. najmniej krwawym rokiem w Iraku był 2011 r., gdy w aktach terroru zginęło „tylko” 2771 cywilów. Później nastąpiły trzy krwawe lata wojny z Państwem Islamskim, której zakończenie premier Abadi ogłosił 9 grudnia 2017 r. Trzy dni wcześniej parlament wyznaczył natomiast datę wyborów parlamentarnych. Odbyły się one w konstytucyjnym terminie, przed upływem czterech lat od poprzednich wyborów.

Dziennikarze w Iraku nie siedzą w więzieniach, choć jest to norma w sąsiedniej, kandydującej ponoć do Unii Europejskiej, Turcji. Kampania wyborcza, choć zacięta i niepozbawiona nieczystych zagrywek, w zasadzie wolna była od przemocy. Państwo Islamskie oczywiście zapowiedziało zamachy, ale do ostatniego większego aktu terroru w Bagdadzie doszło w styczniu, a kampania bez przeszkód odbywała się nawet w „gnieździe os”, czyli Mosulu.

Według danych ONZ w ciągu pięciu miesięcy, jakie upłynęły od ogłoszenia zwycięstwa nad Państwem Islamskim, w różnych aktach przemocy zginęło 451 Irakijczyków. Dla porównania – w ciągu pięciu miesięcy poprzedzających to ogłoszenie było to 800 osób, od lutego do czerwca 2017 r. (również pięć miesięcy) było to 2026, a w ciągu pięciu miesięcy poprzedzających zajęcie Mosulu w 2014 r. było to 3801 osób. W ostatnim miesiącu przed wyborami, tj. w kwietniu, liczba ta była rekordowo niska i wyniosła 68 osób, z czego 53 przypadły na jedną (spośród 19) prowincję, tj. Anbar. Od dłuższego czasu przemoc praktycznie nie jest obecna w 13 z 19 prowincji. W drugim co do wielkości mieście w Iraku, tj. Basrze, od 2015 r. miał miejsce tylko jeden zamach – w kwietniu 2016 r. zginęło tam pięć osób. Natomiast w końcu lutego 2018 r., w czasie meczu towarzyskiego Irak – Arabia Saudyjska, który zgromadził prawie 100 tys. widzów, z czego jedna trzecia nie weszła na stadion i oglądała to wydarzenie na telebimach, nie zginęła ani jedna osoba. Mimo buńczucznych zapowiedzi Państwa Islamskiego terrorystom nie udało się dokonać zamachu na ani jedną komisję wyborczą.

„Liberałowie i komuniści”, o których mówił Welajati, wygrali irackie wybory. Irańskiemu politykowi chodziło bowiem o koalicję Sa’irun, w skład której wchodzi Iracka Partia Komunistyczna oraz partia Al-Ahrar, czyli dosłownie liberałowie. Patronował jej znany skądinąd w Polsce Muklada as-Sadr. To z jego milicją, zwaną wówczas Armią Mahdiego, polscy żołnierze stoczyli w Karbali bój w kwietniu 2004 r. Iraccy komuniści są takimi samymi komunistami jak ci z Al-Ahrar są liberałami. Obie strony połączyły trzy rzeczy: sprzeciw wobec korupcji, chęć pozbycia się z kraju wszystkich obcych wojsk (zarówno USA, jak i Irańczyków oraz Turków) oraz dążenie do odrzucenia w irackiej polityce podziałów szyicko-sunnickich czy etnicznych, przy zachowaniu wieloetnicznego i wieloreligijnego systemu w Iraku. Irak jest wciąż na rozdrożu, ale wiele wskazuje na to, że może się to udać.

Muklada as-Sadr tym, którzy swą wiedzę o Iraku opierają na stereotypach, może kojarzyć się z radykalnym szyizmem i wspieraniem wpływów irańskich w Iraku. Jednak ten wpływowy szyicki duchowny od dawna ma dobre układy i z arabskimi sunnitami, i z Kurdami,

a w 2017 r. odwiedził króla Arabii Saudyjskiej. Tuż przed nim pojechał tam faworyt tych wyborów, czyli premier Abadi.

Przekonanie, że Irak stał się całkowicie zależny od Iranu, to kolejny stereotyp niemający wiele wspólnego z prawdą. Abadi w 2017 r. odszedł z partii Al-Malikiego i stworzył własne ugrupowanie pod nazwą „Al-Nasr”, czyli „Zwycięstwo”, na którego listach znaleźli się nie tylko Arabowie szyici, lecz także sunnici, Turkmeni i Kurdowie. To pierwsze w historii irackich wyborów ugrupowanie, które zarejestrowało swe listy we wszystkich prowincjach. A sam premier prowadził osobiście kampanię również w Kurdystanie.

We wrześniu ubiegłego roku odbyło się kurdyjskie referendum niepodległościowe, po którym władze Iraku siłą przejęły kontrolę nad tzw. terenami spornymi, w tym Kirkukiem. I znów ci, którzy „widzą tylko złe rzeczy w Iraku”, ogłosili początek nowej wojny domowej w tym kraju. Jednak kurdyjskie partie wzięły udział w wyborach, a po ich zakończeniu pojechały do Bagdadu, by negocjować stworzenie nowej koalicji rządowej. Politycy rządzącej w Kurdystanie Partii Demokratycznej Kurdystanu rozmawiali o tym zarówno z Hadim al-Amirim (liderem bloku Al-Fatah zbudowanego w oparciu o szyckie milicje Al-Haszd asz-Szabi), jak i z byłym premierem Nurim al-Malikim, którego oskarżali o doprowadzenie do kryzysu w relacjach kurdyjsko-irackich. Wszyscy powtarzali, że teraz będą budować nowy Irak.

NIE TAKI IRAK STRASZNY

Irak znów zawiódł tych, którzy chcą widzieć w nim jedną wielką katastrofę. Jednak postanowili nie składać broni, mimo wszystko przepowiadając mu czarną przyszłość. Zaczęto podkreślać niską frekwencję, choć wyniosła ona 44,5 proc., a więc niewiele mniej niż zwykle w Polsce, a także to, że parlament będzie bardzo rozdrobniony. To też przechodziliśmy w Polsce. Tymczasem bardzo ciekawe jest to, że w irackich wyborach miejsce na liście okazało się bez znaczenia. Przewodniczący parlamentu Salim al-Dżburi startował z drugiego miejsca listy Al-Watania w Bagdadzie i nie dostał się, choć jego ugrupowanie w irackiej stolicy zdobyło osiem mandatów.

Irak z całą pewnością nie jest na końcu swej drogi do stabilizacji i demokracji, jest raczej na rozdrożu. Jednak ci, którzy ciągle malują jego obraz w czarnych barwach, nie wiedzą o nim nic.



PIELUCHA? RODZIC POWINIEN ZAPYTAĆ

Deanne Carson, przedstawiana jako ekspertka od spraw związanych z seksem, opowiadała niedawno w amerykańskiej telewizji ABC, jak szanować w domu seksualność innych osób. Pani Carson używała pojęcia „kultura zgody”, które oznacza respektowanie fizycznych (a także psychicznych) granic ludzi, związanych ze sferą intymną. Zdaniem ekspertki taką kulturę należy wprowadzać w domach jak najwcześniej. Dlatego Carson uważa, że rodzice powinni prosić swoje dzieci o zgodę na zmianę pieluszki. Nie wiadomo, czy rodzice ekspertki prosili o takie zgody, wszystko jednak może wskazywać na to, że mogli jej dawać zbyt ciężkie zabawki.

FOT. FOTOLIA

750 EURO MANDATU ZA GWIZDANIE

Francuzi zmieniają swoje prawo i wprowadzają dotkliwe sankcje za okazywanie kobietom zainteresowania z seksualnym podtekstem. Mandat w kwocie nawet 750 euro dostanie ten mężczyzna, który zagwizdże na ulicy na widok kobiety albo wypowie seksualny komentarz. Nie wiadomo, czy komplement związany z urodą lub ze strojem będzie uznany za wykroczenie, lepiej zatem na ulicach w ogóle się do kobiet nie odzywać...

SPADEK DLA BERLUSCONIEGO

We Włoszech niektórzy mają dużo pieniędzy, a jeszcze im ich wciąż przybywa. Były premier Silvio Berlusconi, który jest jedną z najbogatszych osób w kraju, wzbogacił się o kolejne 3 mln euro. Tyle w testamentie zapisała mu zmarła 88-latką z miasta L'Aquila. Kobieta pracowała w sekretariacie urzędu rady ministrów w czasach, gdy na czele państwa stał Silvio. Swoim testamentem chciała mu podziękować za wspaniałe chwile w pracy. Nie doprecyzowano, za co konkretnie dziękowała.

ŻYWE KOSIARKI W RZYMIE

Urzędniczka z rzymskiego ratusza zajmująca się ochroną środowiska stwierdziła, że władze miasta rozważają wykorzystanie owiec i innych zwierząt hodowlanych do „koszenia” trawy w miejskich parkach. Owce czy kozy mają zjadać miejskie trawniki głównie dlatego, że miastu brakuje pieniędzy na utrzymanie terenów zielonych.

KIEDY TATUAŻYSTA SIĘ POMYLI

Szwedzkie media opisały pechową wizytę w salonie tatuażu 30-letniej Johanny Sandström. Szwedka chciała upamiętnić swoje dzieci i poleciła wytatuować sobie na przedramieniu ich imiona: Nova i Kevin. Kiedy po zabiegu wracała szczęśliwa do domu, jej kuzynka zrobiła fotografię świeżego tatuażu. Okazało się, że artysta zrobił błąd w imieniu syna. Ponieważ usuwanie tatuażu jest czasochłonne, bolesne i nie zawsze daje dobre rezultaty, Szwedka wraz z mężem postanowiła, że łatwiej będzie zmienić imię syna. Od teraz ich dziecko nazywa się Kelvin. © © **Łukasz Zboralski**



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 kaście sędziów

Zawrót głowy, którego doznała sędzia Irena Kamińska, nazywając środowisko sędziowskie „zupełnie nadzwyczajną kastą ludzi”, to nic w porównaniu z megalomanią sędziego Antonia di Matteo.

Zmarły w zeszłym roku w więzieniu „Toto” Riina, kiedyś szef cosa nostry, cztery lata temu w rozmowie ze współwięźniem skierował groźby pod adresem sędziego di Matteo. Sędzia rozgłosił to, diagnozując, że Riina nadal zżera krata kieruje mafią. Znany felietonista Vittorio Sgarbi napisał wtedy w „Il Giornale”, że Riina siedzi totalnie izolowany od 20 lat i nie może

kierować mafią. Zarzucił sędziemu, że niepotrzebnie wytwarza psychozę, przydając znaczenia gangsterowi, a przy okazji i sobie.

Pan sędzia oburzył się nie na żarty. Stwierdził, że kto podważa autorytet sędziego, ten podważa autorytet całego wymiaru sprawiedliwości. I podał swego krytyka do sądu. W efekcie rozpoczął się proces, w którym prokurator żąda dla Sgarbiego 16 miesięcy więzienia i 40 tys. euro odszkodowania dla di Matteo. Przy okazji, na podstawie prawa z czasów Mussoliniego (sic!), domaga się roku więzienia dla naczelnego „Il Giornale” Alessandro Sallustiego za to, że nie

wyказаł należytej czujności, bo felieton się ukazał. Sąd uznał, że te absurdałne oskarżenia są warte procesu. Nie ma to jak korporacyjnej solidarności.

Sgarbi to osobnik żywiołowy, wulkan. Sallusti, zdystansowany człowiek niewiele słów, poprosił tylko o jedno: „Błagam, nie zamykajcie mnie w jednej celi ze Sgarbim. On mnie wykończy”.

P.T. Czytelnikom, którym się wymiar sprawiedliwości nad Wisłą nie podoba, radzę, by zapalili świeczkę i podziękowali Panu Bogu, że dał im polskich sędziów, w tym Irenę Kamińską, a nie włoskich. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

> **10** LAT
na rynku

> **15**
inwestycji w portfolio,
w tym 4 w realizacji

> **100** MLN PLN
czynszów najmu
wyświadczonych nabywcom
pokoi i apartamentów

> **1000**
pracowników

> **1250**
pokoi i apartamentów

*„W biznesie nie ma gwarancji zysku.
Nie wierz w zawyżone stopy zwrotu.
Wybierz sprawdzonego partnera.”*

Zdrojowa Invest & Hotels to twórca
i lider rynku condo hoteli w Polsce.
Condo hotele mają rozbudowane usługi
hotelowe zapewniające wysokie obłożenie,
czym różnią się od mieszkań na wynajem.
Jedyni obsługujemy rynek wtórny, więc
zwiększamy płynność lokali condo.

 **ZDROJOWA®**
INVEST & HOTELS

CONDO HOTELE &
APARTAMENTY WAKACYJNE

Lider rynku
dochodowych pokoi
i apartamentów.
Największa sieć
hotelii w polskich
kurortach.

MARINE® HOTEL & ULTRA MARINE®

DUUNE
HOTEL
RESORT

sand hotel ****®

JANTAR
HOTEL & SPA

Boulevard
by RESIDENCE

Baltic Park®
MOJO apartments

CRISTAL RESORT®
SZKLAŃSKA POŁONA

Radisson BLU

OPERATOR
Zdrojowa Hotels Central Pomerania



Olivier Bault

Rozmowy o wyjściu z UE Wielkiej Brytanii pokazują, że nie wiadomo, czy z Unią w ogóle można się rozstać

Wyobraźmy sobie sytuację, w której doszłoby do referendum w sprawie polexitu, a większość Polaków zagłosowałaby „za”. Na Śląsku jednak znaczna większość obywateli zagłosowałaby „przeciw”. Następnie Berlin, z poparciem Brukseli, zaproponowałby jako warunek do dalszych negocjacji na temat porozumienia między Unią a Polską, aby granicę celną ustanowić nie wzdłuż granicy Polski, lecz między Śląskiem a resztą Polski. Alternatywą byłoby pozostanie całej Polski w unii celnej UE, co oznaczałoby, że Polska musiałaby pomimo nominalnego polexitu zastosować nadal prawo europejskie i nie mogłaby zawierać własnych porozumień handlowych z państwami trzecimi. Z podobną sytuacją mają do czynienia dziś Brytyjczycy. Dublin, ciesząc się poparciem Brukseli, zaproponował właśnie Brytyjczykom, aby w celu pozostawienia granicy między oboma Irlandiami bez kontroli granicznych taką granicę celną ustanowić między Irlandią Północną a Wielką Brytanią.

Dublin i Bruksela igrają z ogniem, gdyż zniesienie kontroli granicznych jest istotną częścią porozumienia wielokopiatkowego podpisanego w 1998 r. przez rządy Irlandii i Zjednoczonego Królestwa oraz zwaśnione strony trwającego od kilkudziesięciu lat krwawego konfliktu północnoirlandzkiego. Strona europejska wie dobrze, że Londyn nie może sobie pozwolić na przywrócenie kontroli granicznych w Irlandii, tym bardziej że bez głosów północnoirlandzkich unionistów z DUP rząd Theresy May nie może liczyć na większość w brytyjskim parlamencie. A unioniści, jak sama ich nazwa wskazuje, o żadnej granicy między wyspami Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej nie chcą słyszeć, ale zależy im oczywiście także, aby Porozumienie Wielokopiatkowe było zachowane.



Wiedząc o tym, brukselscy negocjatorzy – na czele z komisarzem ds. rynku wewnętrznego i usług Michelelem Barnierem – odrzucają wszelkie kompromisowe propozycje ze strony Londynu, zakładające „inteligentny” nadzór nad granicą irlandzką bez potrzeby zatrzymywania pojazdów, z użyciem różnych technologii. Poza dążeniem do przytrzymania Zjednoczonego Królestwa w unii celnej Bruksela pozostaje także nieugięta w sprawie podporządkowania ewentualnego porozumienia w sprawie wyjścia tego kraju spod jurysdykcji Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości (ETS), co też oznaczałoby dla Brytyjczyków, że nie będą w pełni suwerennym krajem.

Z drugiej strony zwolennicy prawdziwego brexitu, zakładającego odzyskanie pełnej suwerenności zgodnie z wolą wyrażoną przez brytyjski naród w demokratycznym referendum, nie zaakceptują żadnego rozwiązania, które doprowadziłoby do tego, że tak naprawdę Zjednoczone Królestwo będzie nadal

w unii celnej z Unią Europejską, albo do tego, że ich kraj będzie musiał nadal podporządkować się decyzjom ETS.

Negocjacje utknęły więc w martwym punkcie. Wyglądają podobnie jak każde negocjacje pomiędzy pojedynczym państwem europejskim a Komisją Europejską, która nie odpowiada przed wyborcami i dla której ważniejsze niż interesy obywateli i przedsiębiorstw państw członkowskich jest utrzymywanie czy nawet poszerzenie własnych wpływów. Zgodnie z filozofią panującą na brukselskich salonach Brytyjczyków trzeba albo zmusić do posłuszeństwa, albo ukarać, by pokazać innym potencjalnym kandydatom do wyjścia z Unii, że taka decyzja sporo kosztuje.

POWTÓRKA REFERENDUM

Inne rozwiązanie, które rozpatrują przeciwnicy brexitu w samej Wielkiej Brytanii, to doprowadzenie do drugiego referendum na temat wyjścia z Unii. Nieugięta postawa europejskich negocjatorów i szantaż „irlandzką granicą”



**Z Markiem Miśką,
dyrektorem generalnym
Polskiego Przemysłu
Futrarskiego**
rozmawia Tomasz Cukiernik

Zieloni wykończą przemysł

TOMASZ CUKIERNIK: Czy projekty dwóch ustaw, zakazujące hodowli zwierząt futerkowych, mają na celu dobrostan zwierząt?

MAREK MIŚKO: Oba projekty nie służą poprawie dobrostanu zwierząt. Co więcej, likwidacja polskich hodowli zwierząt na futra to tylko jeden punkt. Czy wiedział pan, że twórcy ustaw żądają likwidacji zabezpieczeń przeciwko gołębiom? Po 30 dniach od wejścia w życie ustawy ze wszystkich budynków w kraju – w tym z kościołów i innych zabytków – mają zniknąć zabezpieczenia w postaci dobrze nam znanych drucików – bo według „zielonych” jest to męczenie ptaków.

Jako Polski Przemysł Futrzarski jesteśmy w stałym kontakcie z polskimi producentami tych urządzeń. O tym, że posłowie zamierzają zlikwidować ich branżę, dowiedzieli się od nas. Wie pan, że w Polsce jest zamontowanych ponad 100 tys. km tych urządzeń? Kto je będzie zdejmował? Kto za to zapłaci? Kto zapłaci za zniszczone elewacje zabytków i kościołów?

A wiedział pan, że wszystkie psy na terenie Rzeczypospolitej mają zostać zaccipowane – te błąkające się również? Kto za to zapłaci? Właściciele i samorządy. Kolejny punkt – zwierzęta domowe nie będą mogły być trzymane na uwięzi...

To chyba dobrze?

Dobrze? Ustawodawca nie reguluje tego, czym jest „uwięź”. Ci ludzie chyba nigdy nie byli na wsi. Po 30 dniach od – nie daj Boże – wejścia w życie tych przepisów każdy mieszkaniec wsi będzie musiał wygospodarować na swoim podwórku miejsce, na którym postawi kojec. Koszt kojca to przynajmniej 1 tys. zł. Każdy wiejski pies przebywający w kojcu będzie musiał być wypuszczany przynajmniej dwa razy dziennie. Wie pan, co się stanie? Część ludzi na wsi rozwiąże ten problem, spuszczając psy do lasu. Ta ustawa jest nie tylko niebezpieczna, lecz także szalona. Mam wrażenie, że pisali ją ludzie kompletnie oderwani od rzeczywistości, uzasadnienie do zmian w przepisach nie daje żadnych rozwiązań. Ci ludzie nie mają pomysłu, więc w swojej beznadziei mówią: zakazać. Bo zakazać jest najłatwiej.

A wracając do hodowli zwierząt na futra... Komuś się bardzo spieszyło?

Do tego stopnia, że nawet nie próbowali tego ukryć. Warto wiedzieć, że w przypadku tych projektów powinniśmy mówić nie o likwidacji branży, lecz także całego przemysłu, bo w Polsce działa prężnie rozwijający się przemysł futrzarski. Drugi w Europie i trzeci na świecie. Wyprzedzamy w produkcji i jakości Grecję, Hiszpanię, Włochy, Portugalię, Węgry, Finlandię, Kanadę i USA. Przed nami są jedynie Chiny i Dania. Głównym elementem polskiego przemysłu futrzarskiego są oczywiście gospodarstwa, w których hodowane są zwierzęta na futra, i to już od ponad 100 lat. Oba projekty były pisane przy współudziale lewicowych organizacji prozwierzęcych, i to one, a nie zwierzęta, skorzystają na zmianie prawa najbardziej.

Czym to się przejawia?

Chociażby tym, że proponowane zapisy nadają organizacjom społecznym nieprawdopodobnie duże kompetencje. W niektórych przypadkach są one większe niż kompetencje policji i innych organów państwowych. Na przykład aktywiści organizacji ekologicznych będą mieli niczym nieskrępowane prawo do wchodzenia na prywatne posesje, aby sprawdzić, czy przypadkiem zwierzę nie cierpi. I to mimo sprzeciwu jej właściciela! Po wejściu w życie tej ustawy – mamy takie analizy prawników – istnieje ogromne ryzyko, że ten proceder stanie się niekontrolowany.

Chyba pan przesadza.

Przesadzam? Niedawno sąd w Poznaniu zdelegalizował działające kilkanaście lat słynne stowarzyszenie Pogotowie dla Zwierząt. Jego członkom zarzuca się nielegalne odbieranie zwierząt ich opiekunom, całą masę nieprawidłowości. Jeden z głównych pracowników tego stowarzyszenia ma od trzech lat wyrok za nielegalne odbieranie zwierząt. Musi zwrócić 40 tys. zł. To jest, proszę pana, biznes i część polityków chce na to pozwolić. Dzisiaj odbierają pojedyncze zwierzęta, a po wejściu w życie tych przepisów będą sobie wchodzić na teren całych hodowli i pod byle pretekstem odbierali rolnikom inwentarz.

Jakie są zarzuty wobec hodowców i kto je stawia?

Trudno nazwać to zarzutami. Zwolennicy likwidacji polskich hodowli zwierząt na futra uciekają się bardzo często do manipulacji. Jednym ze sztandarowych argumentów jest sugerowanie społeczeństwu, że hodowanie zwierząt na futra wiąże się z powstawaniem nieprzyjemnego zapachu.

A nie jest to prawda?

Prowadzenie samochodu może się wiązać z ryzykiem spowodowania wypadku. Jednak czy w związku z tym zakazujemy poruszania się pojazdami? Ci, którzy chcą likwidacji polskich hodowli, wydają się być zaskoczeni faktem, że produkcja zwierzęca wiąże się ze zwykłymi dla wsi czynnościami i zapachami, które w jej wyniku powstają. Nie ma żadnej różnicy pomiędzy zapachem obory, chlewni, kur-nika, stajni czy fermy zwierząt na futra. Gdybyśmy mieli traktować ten zarzut poważnie, to powinniśmy zlikwidować całą produkcję rolną w Polsce. Jednak może właśnie o to chodzi, może ta ustawa jest tylko wytrychem dla tej ideologii. Bo to jest, proszę pana, ideologia.

To jeden zarzut, a kolejny? Męczenie zwierząt?

Wie pan, co oni wygadują w mediach? Że zwierzęta hodowane na futra są odziewane ze skóry żywcem. Z kim my mamy dyskutować? Niedawno jedna z europosłanek PiS powiedziała, że norka amerykańska zamknięta w klatce biega w kółko tak długo, aż padnie z wyczerpania. Osobiście nie znam pani poseł, ale niech wstydzą się ci, którzy posłali tę panią do polityki.

No dobrze, ale męczycie czy nie?

Każdego dnia. Polscy hodowcy nie myślą o niczym innym, tylko o tym, jak sprawić, żeby skóra, która jest finalnym produktem hodowli, na której to skórze zarabiają, była jak najgorszej jakości. Bądźmy poważni. Polska jest światowym liderem, jeżeli chodzi o jakość surowca. Gdyby zwierzęta były męczone, żadna z giełd nie kupiłaby naszych skór. Poza tym zwolennicy zniszczenia życia hodowcom przewartościowują wszystkie nam znane normy. Mówią o męczeniu zwierząt, bo te żyją w klatkach. A ja zapytam: To gdzie mają żyć zwierzęta hodowlane, zwierzęta domowe? Moi synowie mają papugę. Też żyje w klatce (śmiech).

A wracając do norek?

Od lipca tego roku na mocy porozumienia Ministerstwa Rolnictwa i Ministerstwa Środowiska sprzed trzech lat, klatki zostały powiększone. W Polsce hodowle prowadzone są zgodnie z prawem krajowym i unijnym, mówienie o cierpieniu zwierząt, bo ktoś skończył europeistykę i działa w „organizacji ekologicznej” i mu „się wydaje”, to nonsens.

REKLAMA

10-23 WRZEŚNIA 2018



MIĘDZYNARODOWY KONKURS MUZYCZNY im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO KATOWICE 2018

KATEGORIE KONKURSOWE**FORTEPIAN****SKRZYPCE****ŚPIEW****KWARTET SMYCZKOWY****KOMPOZYCJE****szymanowski-competition.com**

Organizator



Współorganizatorzy



NOSPR współfinansują

Sponsor NOSPR
i projektu akustyki
sali koncertowejPartner
strategicznyPartner
motoryzacyjny

Patroni medialni

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl

■ Dużo eksportujecie?

Prawie 100 proc. produkcji trafia na eksport. Przemysł futrzarski to do 2,5 mld zł wartości polskiego eksportu. I za te 2,5 mld zł też jesteśmy odsądzani od czci i wiary... Eksport jest kolejnym zarzutem.

Nie rozumiem.

Oni uważają, że kolejnym argumentem przemawiającym za likwidacją blisko tysiąca polskich hodowli jest to, że eksportujemy surowiec za granicę.

I?

No właśnie, to są komuniści. Stawiają zarzut polskiemu hodowcom, że ci sprzedają swoje produkty za granicę, a nie obracają nimi na wewnętrznym rynku, świadczy o tym, iż nie mają zielonego pojęcia o gospodarce. I teraz my mamy zastępować lata braków w edukacji tych ludzi?

Czyli według pana ekologom nie chodzi o dobrostan zwierząt. Jest w tym wszystkim jakieś drugie dno?

Oczywiście, że jest drugie dno. Ideologia, proszę pana, i walka z polską gospodarką. W Polsce w wyniku produkcji zwierzęcej wytwarza się ok. 1 mln ton odpadów niezdatnych do spożycia przez człowieka. Przede wszystkim są to pozostałości z przetwórstwa rybnego i z hodowli drobiu. Coś z nimi trzeba zrobić – przecież nie zakopać w lesie. Obecnie przetwórcy rybni i hodowcy drobiu sprzedają odpady hodowcom nerek amerykańskich, którzy przerabiają te resztki na karmę dla mięsożernych zwierząt futerkowych. To najlepsza i najbardziej ekologiczna utylizacja odpadów pozwyższych. Wszyscy są więc zadowoleni. Hodowcy mają czym karmić swoje zwierzęta, a sprzedający zarabia na odpadach pieniądze, i to niemałe pieniądze.

A gdy nie będzie ferm?

Wtedy odpady te będą musiały zostać zutylizowane. I teraz – uwaga! – blisko 95 proc. utylizacji w Polsce, czyli takich krematoriów do spalania resztek zwierzęcych, znajduje się w rękach niemieckich firm. Prawie 1 mln ton odpadów. Jest o co walczyć. Ekspert szacuje ten rynek na ok. 1 mld zł. Pan by nie powałczył?

Ubiegł pan moje kolejne pytanie. Czyli zyskają na tym?

Na likwidacji polskich hodowli zwierząt na futra zyskają wszyscy, tylko nie

Polacy. Zyskają Niemcy, Rosjanie, Duńczycy... Najmniej zyskają zwierzęta.

Dlaczego?

Bo u nas hodowle są kontrolowane, są jednymi z najnowocześniejszych na świecie, i to bez państwowych dotacji, bez wyrównań i dopłat. Rynek nie znosi próżni. Kiedy nasz rynek – nie daj Boże – zostanie zniszczony, hodowle jak grzyby po deszczu wyrosną na Ukrainie, Białorusi i w Rosji. A tam, bracie, szukaj wiatru w polu. Ekolodzy już mogą pisać wnioski do prezydenta Putina (śmiech).

Jakie problemy czekają polskich hodowców?

Szacujemy, że aktywa zgromadzone przez tę gałąź gospodarki rolnej w tej chwili są warte ok. 7 mld zł. Kredyty są liczone w setkach milionów euro – często są to kredyty pod hipotekę z okresem spłaty do 20–25 lat. A wie pan, ile łaskawie nami zawiadujący politycy – współtwórcy ustawy – chcą dać hodowcom na likwidację swoich zakładów oraz miejsc pracy? Pięć lat. Tak już jest, gdy do stanowienia prawa biorą się ludzie, którzy w życiu nie zhańbili się pracą i potrafią jedynie żyć za pieniądze podatników. Szkoda słów.

W Holandii hodowle zostały zakazane...

Jednak w Grecji, we Włoszech, w Finlandii, Danii, Hiszpanii i Portugalii nie. I czego ma to dowodzić? Dopóki jest zapotrzebowanie na produkt, dopóty zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał tę potrzebę zaspokoić. Z Holandią było natomiast tak, że przez długi czas nie mogła się tam ukonstytuować większość rządowa. Partia Ludowa na rzecz Wolności i Demokracji musiała wejść w koalicję z „zielonymi”. Żądaniem „zielonych” była likwidacja hodowli zwierząt na futra, i tyle. Czysty polityczny deal. Rząd holenderski musiał zapłacić hodowcom odszkodowania, a te liczone są w setkach milionów. Polscy hodowcy też zażądają rekompensat. I wie pan co? Dostaną je. A wie pan skąd? Z pańskiej i państwa kieszeni.

Czy politycy coś zrobili w celu obrony branży?

Jest cała masa polityków, również PiS, którzy wiedzą, czym ta ustawa pachnie i jak uderza w polskie rolnictwo. Wyrażają swoje poparcie. Jednak czy się przełamia? Trudno powiedzieć. Polityków Kukiza czy Wolności

w większości nie trzeba przekonywać, bo znają się na gospodarce. Bardzo im dziękujemy za okazane wsparcie.

W jakich krajach aktualnie obowiązują takie zakazy?

W Czechach. Jednak tam cała krajowa produkcja wynosiła tyle, ile produkuje się rocznie na jednej niewielkiej fermie w Polsce. Zamknęli więc coś, czego nie było. Na Węgrzech premier Orbán też zakazał hodowli, ale... nie szynszyl. Bo na Węgrzech hoduje się właśnie szynszyle. Sprytny gość.

Ile osób w Polsce straci pracę w wyniku likwidacji branży?

Według badań PWC i Instigos pracę może stracić łącznie do 50 tys. zatrudnionych bezpośrednio i pośrednio w przemyśle futrzarskim. Ale co tam ludzie, porozmawiajmy o tym, że norki nie mają basenów i hodowcy nie puszczaają im Mozarta na noc (śmiech).

Ile jest hodowli w Polsce?

W zależności od koniunktury. Na przykład w roku 2017 w Polsce działało blisko 1,2 tys. legalnych hodowli, są to dane Głównego Lekarza Weterynarii. W tym roku jest ich ok. 900.

Dlaczego spada liczba hodowli?

Ci, którym koszty się zamortyzowały, likwidują hodowle, sprzedają zwierzęta na Wschód lub przenoszą tam swoje gospodarstwa. Trudno prowadzić biznes, gdy sytuacja jest nieobliczalna.

A jest?

Jacek Kowalski śpiewał: „Ale jeszcze nie jest pobity, świetny okręt Rzeczpospolitej. Czasem we śnie widzę nagle, jak rozwija piękne żagle. Hardym dziobem fale rozpruwa. Liczna bitna załoga czuwa...”. Wierzę, że ktoś jeszcze steruje tym okrętem. Bo to, co jest nam najmniej potrzebne, to niszczenie własnej załogi, gdy dookoła wzburzone morze, tyle mielizn, na których można osiąść. Tyle skał, o które można się rozbić. Sam trochę pływam. Sterowanie statkiem nie jest rzeczą łatwą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Miśko

– dyrektor generalny Polskiego Przemysłu Futrzarskiego.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

PiS Plus

Forsowana ostatnio podwyżka podatku od paliw szybko doczekała się kąśliwego kryptonimu Benzyna Plus. I trudno się dziwić, skoro PiS każdy prezent robiony przez siebie jednym Polakom za pieniądze innych stempluje miłym dla oka obdarowanych plusikiem: „500+”, „Mieszkanie Plus”, „Wyprawka Plus”, „Dostępność Plus”, „Mosty Plus”, itd. Dlaczego więc nie ostemplować nim także podniesienia cen paliw – do tego przecież sprowadza się wzrost podatku od nich, czy nowego podatku od dochodów osobistych – do tego z kolei sprowadzi się narzucenie daniny solidarnościowej, która wbrew solennym obietnicom premiera Morawieckiego wcale nie obejmie jedynie najlepiej zarabiających. Oni bowiem – jak zawsze – znajdą niejeden sposób, by płaceniem podatku „podzielić się” z gorzej od nich zarabiającymi – tak długo, aż sami nie wywiną się od uiszczania go w ogóle.

Czyli na razie „Benzyna Plus” i „Danina Solidarnościowa Plus” (choć powinno być: „Benzyna Minus” i „Danina Solidarnościowa Minus”). Oczywiście jeśli nie liczyć „Wynajmu Plus, czyli Minus” (dodatkowej stawki podatku od wynajmu mieszkań) i „Kwoty Wolnej Plus, czyli Minus” (pozbawienia części obywateli prawa do odliczania kwoty wolnej od podatku). A wkrótce podwyżek podatków będzie więcej – przy takiej skali rozdawnictwa pieniędzy podatników, jakiego jesteśmy świadkami, po prostu nie

ma innego wyjścia. Rzecz jasna dla niepoznaki będą one ukrywane pod różnymi, mającymi wprowadzać w błąd nazwami, takimi jak opłata emisyjna – nowy podatek od paliw, danina solidarnościowa, składka, taksa itd.

To nieuchronne, bo w kasie państwa dno nie pokazało się ostatnio nagle, po raz pierwszy. W zadłużającej się bez umiaru Polsce oglądamy je „od zawsze”, i to „od drugiej strony”, czyli spod dna. Jest to nieuchronne, bo nawet jeśli dziś – dzięki koniunkturze w Europie, w tym i u nas – Polska zadłuża się wolniej, to wystarczy spadek tempa wzrostu gospodarczego – z obecnych 5 proc. PKB do, powiedzmy, 2 proc. PKB czy 1 proc. PKB, a to nastąpi, i to raczej prędzej niż później, bo taka jest logika cykliów gospodarczych – by spirala długów zaczęła się nakręcać dużo szybciej niż teraz. A od dopuszczalnego przez konstytucję zadłużenia na poziomie 60 proc. PKB dzieli Polskę zaledwie kilka punktów procentowych. Nie wspominając o rynkach finansowych, które i bez zapisu w konstytucji błyskawicznie wycenią wówczas narastające u nas ryzyko finansowe i wystawią nam rachunek – w postaci wysokich odsetek od długu, w którym toniemy.

Jednak i bez nieuchronnego osłabienia tempa wzrostu gospodarczego już widać, że przygoda z rozdawaniem socjału pełną garścią właśnie się kończy – dowodem trudność wysupłania z kasy państwa naprawdę niezbędnych pieniędzy dla niepełnosprawnych Polaków. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Strategia dla Polski

Oprzyszłości większości krajów zdecyduje postęp w obszarze sztucznej inteligencji. Kraje, które skutecznie będą rozwijały ten obszar, będą prosperować. Pozostałe stracą konkurencyjność.

Polska ma kilka atutów. Po pierwsze, mamy szkolnictwo średnie na wysokim poziomie, co potwierdzają testy PISA. Po drugie, mamy świetnych informatyków, co potwierdzają ich czołowe lokaty na światowych konkursach. Po

– R i Python na poziomie średnim i zaawansowanym, wstęp do data science i uczenia maszynowego; uczelnie wyższe – na większości kierunków przedmiot data science w R lub Pythonie, na kierunkach IT i inżynierskich uczenie maszynowe, wykorzystanie chmury obliczeniowej, metody analizy big data i deep learning. 3. Ulgi podatkowe dla firm wykorzystujących technologie sztucznej inteligencji. 4. Wysokie ulgi podatkowe dla firm rozwijających technologie sztucznej inteligencji (ulga w wysokości dwa razy inwestycja w B+R). 5. Stworzenie jednego standardu dostępu do danych publicznych i zapewnienie tego dostępu, po określeniu standardów bezpieczeństwa i etycznych. 6. Uruchomienie zamówień publicznych dla rozwoju technik sztucznej inteligencji w sektorze publicznym, priorytety: finanse publiczne i ochrona zdrowia. 7. Granty rządowe na finansowanie współpracy uczelnia – biznes w obszarze sztucznej inteligencji.

Wiąże się to z wydatkami publicznymi lub z utraconymi dochodami budżetowymi w krótkim okresie. Warto jednak pamiętać, że w sektorze prywatnym stopa zwrotu z inwestycji w sztuczną inteligencję jest bardzo wysoka, nawet do kilkuset procent, oraz że efekty tych inwestycji są widoczne bardzo szybko. Można przypuszczać, że w sektorze publicznym i w skali makro będzie podobnie, dlatego ta strategia jest bardzo potrzebna. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Stopa zwrotu z inwestycji w sztuczną inteligencję jest bardzo wysoka

trzecie, mamy coraz więcej firm technologicznych, które zajmują się sztuczną inteligencją, oraz zaawansowane zespoły badawcze na kilku uczelniach. To jednak zbyt mało, żeby dołączyć do grona światowych liderów sztucznej inteligencji. Potrzebny jest dodatkowy impuls w postaci narodowej strategii na rzecz rozwoju sztucznej inteligencji. Niedawno uczestniczyłem w spotkaniu na ten temat w Ministerstwie Cyfryzacji, po którym przekazałem następujące postulaty. 1. Przeszkolić z R, Pythona i podstawowych modeli data science kilka tysięcy nauczycieli i wykładowców. 2. Zmienić programy kształcenia: szkoła podstawowa – wstęp do R i Pythona, wizualizacja danych; szkoła średnia

Wyznaczyć szczyt do zdobycia i spakować plecak może każdy. Nie wszyscy jednak wiedzą, co zrobić, żeby górską przygodę zakończyła się bezpiecznie

Szlak na szczyt

Sandały, piwny brzuszek i reklamówka w rękę, a obok wybranka serca w butach na wysokich obcasach. Latem każdy może czerpać przyjemność ze słońca i pięknej pogody tak, jak sobie chce. I jeśli taka para, jak opisana powyżej, zamierza przepychać się w tłoku na zakopiańskich Krupówkach albo wjechać na oscypka z grilla na Gubałówkę, to wszystko będzie w porządku. Gorzej jest, gdy tacy letnicy nagle wpadają na pomysł, by – skoro jest tak blisko – dojść pod krzyż na Giewoncie i zrobić sobie selfie na Facebooka.

A takich sytuacji będzie w polskich górach przybywać, ponieważ od kilku lat Tatry przeżywają niezwykle obłędzenie. I co roku pada rekord liczby turystów udeptujących górskie ścieżki. Od trzech lat według szacunków Tatrzańskiego Parku Narodowego liczba turystów przyjeżdżających tam w dwa wakacyjne miesiące nie spada poniżej 1,6 mln. Ubiegły rok był rekordowy, bo odnotowano 1,64 mln osób. Zdarzały się dni, gdy jednorazowo na szlaki

wyruszało blisko 40 tys. piechurów. Wśród odwiedzających Tatry jest coraz więcej rodzin korzystających z darmowego wejścia do narodowego parku na podstawie Karty Dużej Rodziny – w ubiegłe wakacje było to prawie 55 tys. osób.

GOTOWI NA WYSIŁEK

I chociaż w najwyższych polskich górach jedna czwarta turystów wybiera szlak nad Morskie Oko (ok. 450 tys. osób w 2017 r.), to myliłby się ten, kto uznałby, iż do takich wyjść nie trzeba się specjalnie przygotować i że nie niosą one żadnych niebezpieczeństw.

Droga nad największe jezioro w Tatrach – oprócz tego, że jest nudna, pokryta asfaltem i umożliwia roztrwonienie dutków na przejażdżkę góralskim fiaszgiem – jest dość wymagająca. Zwłaszcza dla osób, które stają na tym szlaku w upalne dni, a ich kondycja fizyczna nie jest najlepsza. Dlatego nawet wówczas, gdy szczytem aktywności górskiej będą trasy à la Morskie Oko czy niewymagające przechadzki

w Bieszczadach, warto kilka miesięcy przed wyjazdem pomyśleć o przyzwyczajaniu organizmu do wysiłku. Warto zacząć pokonywać dłuższe piesze trasy, by w wakacje nie dostarczyć własnemu ciału wstrząsu. Nie, nie trzeba przebiegać maratonu ani nawet półmaratonu – ale trzeba umieć iść przez kilka godzin.

Nawet na takie wycieczki należy się właściwie ubrać – mieć lekką przewiewną odzież, ale i taką, która przy załamaniu pogody pozwoli utrzymać ciepłotę ciała. Niezbędne jest także odzienie przeciwdeszczowe. Kluczowym elementem stroju są buty. Doświadczeni turyści górcy odradzają zabieranie na wyprawy butów zupełnie nowych – warto wcześniej w nich pochodzić i sprawdzić, czy naprawdę są dobrze dopasowane i nasze nogi w nich nie cierpią. Adidasy i sandały raczej warto zostawić na wieczór po wyprawie. Na drogę przydadzą się buty za kostkę, dobrze trzymające nogę i takie, które dzięki membranom pozwalają utrzymać właściwą wentylację. No



FOT. FOTOLIA

i oczywiście warto mieć też coś na głowę, by osłonić ją od piekących słonecznych promieni.

BEZPIECZEŃSTWO W PLECAKU

Wybierając się na wyższe górskie szlaki, należy mieć ze sobą jeszcze rzeczy, które pomogą przetrwać załamanie pogody. Ciepła czapka, sweter i rękawiczki nie są żadną przesadą – są podstawą. Oprócz nich w górskim plecaku należy mieć też zapas wody. Warto również zabrać termos z ciepłą herbatą czy kawą oraz suchy prowiant – rozmaitych proteinowych przekąsek jest dziś do wyboru wiele, a szybki dopływ energii nadal zapewnić może np. czekolada.

W plecaku powinna być też mapa – zanim jednak tam trafi, trzeba z jej użyciem dobrze zaplanować swoją trasę. Najważniejsza zasada w górach, tak jak przy innych aktywnościach, to nie przeceniać własnych możliwości. Nakreślona palcem na mapie trasa może okazać się bardzo długa lub bardzo wymagająca.

Jeśli znany jest już cel górskiej wędrowki, należy sprawdzić prognozę pogody. Aktualną sytuację na szlakach można sprawdzić m.in. w siedzibach ratowników górskich i oddziałach parków narodowych. I warto to robić – w ubiegłym tygodniu na jednym z trudniejszych tatrzańskich szlaków oderwał się spory kawał skały i odcinek pomiędzy Zawratem a Świnicą został zamknięty. Nie wiadomo, jak szybko uda się naprawić trasę, a ponieważ wciąż mogą spadać odłamki skał, TPN prosił turystów, by nie wybierali się w ten rejon.

Przed wyjściem w góry warto zostawić informację w pensjonacie, dokąd się udajemy. Upewnić się, że mamy ze sobą telefon komórkowy (pomocze w razie potrzeby skontaktować się z ratownikami i wezwać pomoc, numery ratunkowe w polskich górach: 985 lub 601 100 300), najlepiej z power bankiem zabezpieczającym energię oraz latarkę (pomocze nie tylko przy zwiedzaniu jaskiń, lecz także w sytuacjach kryzyso-

wych, gdy trzeba będzie poruszać się po zapadnięciu zmroku).

CO ROBIĆ?

Dobre przygotowanie nie gwarantuje tego, że w górach nie przeżyjemy ciężkich chwil – to tylko daje nam więcej szans na wyjście z nich bez szwanku. Jest kilka zasad, które mogą pomóc nie wpakować się w opresję i nie zmuszać do pracy ratowników GOPR.

Po pierwsze – w góry nie powinno się wychodzić samemu. Jedna pomocna dłoń to więcej niż żadna. Po drugie, należy pamiętać, że większe grupy mogą się poruszać po górach wyłącznie pod opieką licencjonowanych przewodników.

Kiedy zacznie się załamywać pogoda (a podczas kwietniowej niewymagającej wycieczki w Bieszczady można nagle znaleźć się w środku śnieżycy) lub gdy nasz organizm zacznie wysyłać sygnały świadczące o kłopotach, należy po prostu zawrócić i zejść. Lepiej zdobyć szczyt innym razem, niż zdobyć swój ostatni szczyt.

Jeśli nie potrafimy odnaleźć znaków szlaku na trasie, to należy cofnąć się do ostatniego miejsca, gdzie widzieliśmy oznaczenie i upewnić się, że droga wiedzie tam, dokąd próbowaliśmy iść. W razie kłopotów z odnalezieniem dalszej części szlaku trzeba... zawrócić i zejść, wiadomo.

Gdy przydarzy się poślizgnięcie, zjazd czy upadek i znajdziemy się w miejscu, z którego trudno będzie wrócić na szlak lub zejść – trzeba wezwać pomoc, zamiast ryzykować życie i zdrowie. Jeżeli na naszej drodze stanie niedźwiedź – a nie jest to wcale tak rzadkie w Tatrach czy Bieszczadach – należy zachowywać się spokojnie i powoli się wycofać. Nie wolno hałasować ani rzucać się do panicznej ucieczki. Pomoc można wezwać przez telefon, ale i za pomocą międzynarodowego sygnału – jakimkolwiek sygnałem optycznym lub akustycznym powtarzanym sześć razy na minutę (co 10 sekund), po czym następuje jedna minuta przerwy. GOPR odpowie, że zrozumiało wezwanie takim samym sygnałem nadawanym trzy razy na minutę i z minutą przerwy. Gdy konieczna jest interwencja śmigłowca ratowniczego, uniesienie rąk do góry i stworzenie sylwetki w kształcie litery Y (YES) oznacza, że pomoc jest nam potrzebna. Kiedy pomoc nie jest nam potrzebna, należy podnieść prawą rękę do góry, a lewą pochylić w dół, by sylwetka przypominała literę N (NO).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Marian Bieda

TEST „DO RZECZY”: SENNHEISER IE 80 S

Niemiecka firma wypuściła na rynek produkt stworzony specjalnie dla audiofilów szukających dobrych słuchawek do smartfona.

Niewielkie douszne słuchawki przewodowe oferują czysty, pełny, bogaty dźwięk pełen szczegółów. Dobrze brzmią w nich zarówno wysokie tony, jak i głębokie basy. Świetnie spisują się więc zarówno, gdy słuchamy muzyki klasycznej, jak i rocka czy jazzu. Brzmienie można dostosować do naszych indywidualnych preferencji – na każdej ze słuchawek znajduje się niewielkie pokrętko, które przekręca się za pomocą dołączonego w zestawie pędzelka, aby zmienić charakterystykę dźwięku. Jednocześnie model IE 80 S bardzo dobrze radzi sobie z tłumieniem szumów zewnętrznych (według producenta można zmniejszyć hałas dochodzący z otoczenia o 26 dB).

Minimalistyczny design może się podobać. Słuchawki nie wyglądają jednak wyjątkowo stylowo. Nie sprawiają też wrażenia wyjątkowo



ekskluzywnych. Wydają się za to bardzo solidnie i trwale wykonane. Przydatne jest również wyraźne zaznaczenie prawej słuchawki. Na największą pochwałę konstruktorzy zasługują jednak za inną cechę tego modelu – wysoki komfort użytkowania. Słuchawki są lekkie i świetnie trzymają się ucha, dzięki czemu można je nosić bez przerwy nawet przez wiele godzin. W opakowaniu znajduje się też praktyczny pokrowiec, który ułatwia przenoszenie i przechowywanie słuchawek.

Wady? Słuchawkom w podstawowej wersji na kablu o długości 1,2 m brakuje pilota i mikrofonu – można je oczywiście dokupić za ok. 200 zł i wymienić kabel. W tej cenie dodatkowy kabelek powinien być już jednak po prostu dołączony do zestawu. Testowemu modelowi brakuje również czegoś szczególnego, co sprawiałoby, że mocno wyróżniałby się z tłumu innych konkurencyjnych słuchawek mobilnych.

Cena: 1399 zł. ©©

Jacek Przybylski

GDY SUKIENKA JEST ZA CIASNA

Są pytania trudne („Kochanie, gdzie byłeś i dlaczego wróciłeś tak późno?”), bardzo trudne („Czy podejrzany przypomina sobie, co robił w nocy z piątku na sobotę?”) i takie, na które nie ma dobrej odpowiedzi („Czy ja jestem gruba?”). Zadać je może całkiem zniecierpliwiona zarówno najbliższa sercu osoba albo koleżanka w pracy wpatrująca się pożądanym wzrokiem w ciasto, które właśnie sobie przyniosła z bufetu („Od jednego chyba nie przytyję?”).

W takich sytuacjach pomóc może kupienie i podrzucenie partnerce lub koleżance na biurko PIE: Smart Tape Measure for Your Body – miary pozwalającej kontrolować, ile przybyło w biodrach, białcu, ewentualnie czy już możemy zmierzyć się „na rękę” z Arnoldem Schwarzeneggerem. Wystarczy owinąć miarką badaną część ciała i dzięki połączeniu Pie ze smartfonem przesłać wynik do aplikacji w smartfonie. Program przeanalizuje wzrosty lub ubytki, przedstawi dane, zaleci dietę lub intensywne ćwiczenia.

PIE dostosowane jest do ustandaryzowanych grubasów europejskich, czyli obejmie osobę o maksymalnym obwodzie do 150 cm, bateria urządzenia wytrzyma do 15 godzin ciągłego użytkowania. Można zamówić na Kickstarterze w cenie ok. 180 zł, dostawa w czerwcu.



większą popularnością wśród nich cieszą się też rowery elektryczne, a także elektryczne hybrydy. Wśród tych ostatnich na uwagę zasługuje z pewnością STRØM CITY, czyli rower elektryczny. Projekt w ciągu kilku miesięcy wzbudził takie zainteresowanie, że na portalu Indiegogo kwota finansowego wsparcia dla konstruktorów przekroczyła 2624 proc.

STRØM CITY można oczywiście używać jak zwykłego roweru ulicznego i cieszyć się opływowym kształtem, wzmacnianymi kołami i wsparciem 7-stopniowej przekładni Shimano. Można też skorzystać z jej wydajnego systemu elektrycznego o mocy 350 W, który w ciągu kilku sekund rozpędzi pojazd nawet do 32 km/godz. W trakcie tradycyjnego pedałowania można skorzystać z funkcji doładowania silniczka elektrycznego. Pojedyncze doładowanie pozwala na pokonanie 80 km.

Za ten rower trzeba zapłacić blisko 3,8 tys. zł plus koszty transportu z Danii. Zamawiać można na Indiegogo. Producent zaczyna wysyłać rowery od sierpnia. ©©

Wojciech Wybranowski



ROWER NA PRĄD

Cyklści wyłegli na ulice polskich miast i wiosek, co zresztą jest podziwu godne, o ile nie jeżdżą – a zdarza się to nagminnie – chodnikami zamiast jezdnią. Coraz

Historia Formuły 1



Jazda na maksa

Legendarni
mistrzowie

Partner dodatku



Jazda na

– Są tylko trzy prawdziwe sporty: walki byków, wspinaczka oraz wyścigi samochodowe. Reszta to tylko gry – przekonywał pisarz Ernest Hemingway. Najwięcej emocji, pełnych triumfów i życiowych dramatów, od siedmiu dekad dostarczają zmagania zawodników Formuły 1

Adrenalina kipi, silniki wyją, na torze wieje grozą, a kibice wstrzymują oddech. W skupieniu oglądają pokaz swych idoli, którzy nie zważając na ryzyko, rozwijają zawrotną prędkość i fundują widzom emocjonujące widowisko.

Pierwszy wyścig mistrzostw świata Formuły 1 odbył się 13 maja 1950 r. na starym lotnisku królewskich sił powietrznych (RAF). Na trybunach toru Silverstone wśród 120 tys. widzów zasiadli wówczas m.in. król Jerzy VI, królowa Elżbieta oraz księżniczka Małgorzata Windsor. Był to pierwszy i dotychczas

jedyny przypadek, gdy zmaganiom kierowców na brytyjskim torze na żywo przyglądał się urzędujący monarcha.

Przedstawiciele arystokracji byli wówczas jednak nie tylko po stronie widzów. W gronie 21 kierowców, którzy pojawili się na starcie, byli m.in. szwajcarski baron Emmanuel „Toulo” de Graffenried, tajski książę Birabongse Bhanudej Bhanubandh, znany też po prostu jako Książę Bira.

Obaj reprezentowali ekipę Maserati. Żaden nie ukończył jednak wyścigu. Bolid barona – 4CLT/48 – miał problemy z silnikiem, a w identycznym bolidzie



maksa

tajskiego księcia przed metą skończyło się paliwo.

Pierwszy wyścig F1 wygrał 44-letni wówczas Włoch Emilio Giuseppe „Nino” Farina, który linię mety przekroczył, kierując alfa romeo. Minimalnie później w samochodzie tej samej marki na metę dotarł jego argentyński kolega z drużyny Juan Manuel Fangio. Fangio długo nazywany był Wielkim Mistrzem Formuły 1. Zapisał się bowiem w historii tych zawodów jako kierowca, który aż pięciokrotnie zdobywał tytuł mistrza świata (w latach 1951, 1954, 1955, 1956 oraz 1957). Jego rekord pobił dopiero Niemiec Michael Schumacher, gdy w 2003 r. zdobył swój szósty mistrzowski tytuł.

Słowo „formuła” w nazwie odnosi się do zbioru zasad, których muszą przestrzegać kierowcy, a także zasad, zgodnie z którymi konstruowane są samochody.

Brytyjski wyścig był jednym z siedmiu, które odbyły się w pierwszym sezonie Formuły 1. Cały sezon składa się z serii wyścigów nazywanych Grand Prix, podczas których punkty zdobywają zarówno kierowcy, jak i – od 1958 r. – konstruktorzy samochodów.

BOHATEROWIE TORÓW

– Najważniejsze jest wygrywanie: wszystkiego i zawsze. Twierdzenie, że istotna jest sama walka, to czysta demagogia – mawiał słynny kierowca rajdowy Ayrton Senna.

Ryzyko, pasja i zawrotna prędkość. To w wyścigach Formuły 1 nie zmieniło się niemal od 70 lat.

Kierowców na początku rajdów F1 od współczesnych istotnie różnił jednak wiek. W 1950 r. średnia wieku na starcie wynosiła aż 39 lat. Tymczasem teraz na

torach F1 dominują zawodnicy 20-letni, a najmłodszy z kierowców nie mogą nawet jeszcze legalnie kupić sobie piwa po przekroczeniu linii mety. W 2010 r. w historii Formuły 1 jako najmłodszy mistrz świata zapisał się Sebastian Vettel, który ten prestiżowy tytuł zdobył, mając zaledwie 23 lata.

Najwięcej, bo aż siedem tytułów mistrzowskich zdobył Niemiec Michael Schumacher. Brytyjczyk Lewis Hamilton ustanowił rekord największej liczby „pole positions” (74). Z kolei Brazylijczyk Rubens „Rubinho” Gonçalves Barrichello przeszedł do historii tego sportu jako kierowca, który wziął udział w największej liczbie Grand Prix. Z kolei Austriak Jochen Rindt w 1970 r. został pierwszym i jak dotąd jedynym pośmiertnym mistrzem świata Formuły 1 – zginął podczas treningu do Grand Prix Włoch i żaden z rywali do końca sezonu nie zdołał odrobić straty punktowej.

SZYBKIE I WŚCIEKŁE

Podczas pierwszego wyścigu samochody miały silniki o pojemności 4,5 l (w 1954 r. maksymalna pojemność została ograniczona do 2,5 l) lub doładowane o pojemności 1,5 l. Silniki były umieszczone z przodu auta, a kierowcy mogli w trakcie wyścigu przesiadać się do bolidu kolegi z drużyny. I chociaż początkowo nie brakowało kierowców, którzy sami kupowali swoje rajdowe bolidy, to Formuła 1 zdominowana była przez takie marki jak Alfa Romeo, Ferrari, Maserati czy Mercedes-Benz. Rosnące koszty przygotowania bolidów sprawiły zaś, że w latach 70. prywatne bolidy przeszły do historii.

Pierwszym mistrzem świata F1 wśród konstruktorów w 1958 r. został brytyjski zespół Vanwall, a wicemistrzem włoskie Ferrari – jedyny zespół, który startuje w mistrzostwach Formuły 1 bez przerwy od samego początku.



FOT. GP LIBRARY/JETTY IMAGES



FOT. GRUPA LOTOS SA

Bolidy z silnikami z tyłu pojazdu zaczęły dominować na początku lat 60. W latach 80. królowały auta z silnikami turbodoładowanymi o pojemności 1,5 litra i mocy sięgającej 1400 KM. Samochody stawały się nie tylko coraz szybsze, lecz także lepiej dopracowane pod względem aerodynamiki i naszpikowane nowoczesnymi technologiami. W 1989 r. wprowadzono zakaz używania silników z turbodoładowaniem. W 2002 r. po tym, jak kolejne zespoły, a zwłaszcza Ferrari, bezczelnie próbowały manipulować wynikami rajdów, formalnie zakazano wydawania poleceń zespołowych i przepuszczania kolegów z drużyny.

W 2009 r. kierowca zespołu Renault Nelson Piquet jr ujawnił, że rok wcześniej podczas Grand Prix Singapuru kazał mu celowo spowodować wypadek, aby drugi kierowca Renault – Fernando Alonso – mógł wygrać wyścig. Śledztwo w sprawie „crashgate” wykazało, że Piquet mówił prawdę. Renault zostało oficjalnie ukarane z wykluczeniem z mistrzostw świata F1 w zawieszeniu na dwa lata.

TRAGICZNE OBLCIZE

W latach 60. Międzynarodowa Federacja Samochodowa (FIA) wprowadziła obowiązek używania kasków i specjalnych, niepalnych kombinezonów. W roku 1963 pojawiły się specjalne flagi, za pomocą których obsługa techniczna może ostrzegać kierowców.

W 1972 r. wprowadzono obowiązek zapinania pasów bezpieczeństwa. Obecnie dwa pasy ramieniowe, dwa biodrowe i dwa udowe – podobne to tych, które stosowane są w samolotach myśliwskich – kierowca F1 może je w razie potrzeby błyskawicznie rozpiąć za pomocą jednej

klamry. To ważne, bo zgodnie z przepisami w razie nagłej potrzeby kierowca powinien być w stanie opuścić bolid maksymalnie w ciągu pięciu sekund.

W roku 1973 na kanadyjskim torze Formuły 1 po raz pierwszy pojawił się samochód bezpieczeństwa (Safety Car), który ogranicza prędkość bolidów. Taki samochód jest wysyłany na tor przez dyrektora wyścigu, gdy zawodnikom grozi niebezpieczeństwo, ale nie ma konieczności przerywania wyścigu. Służby porządkowe wywieszają wówczas żółte flagi. O wyjeździe samochodu informują też kierowców przez radio ich zespoły – gdy na torze porusza się Safety Car, nie wolno wyprzedzać innych bolidów.

Pięć lat później, po śmierci Szweda Ronniego Petersona, który po wypadku na torze niemal 20 minut czekał na przyjazd karetki pogotowia, oficjalny lekarz F1 Sid Watkins zażądał od organizatorów wyścigów, aby na torze obecny był anestezjolog oraz żeby czekał śmigłowiec medyczny.

Mimo ogromnego postępu w dziedzinie bezpieczeństwa w 1994 r. podczas Grand Prix San Marino dzień po dniu giną dwaj kierowcy: Roland Ratzenberger oraz Ayrton Senna. Aby zwiększyć bezpieczeństwo, od 1998 r. wprowadzono więc zmiany w regulaminie, które doprowadziły do radykalnego spowolnienia pojazdów i ułatwienia wyprzedzania (bolidy zostały zwężone z 2 m do 1,8 m). Dzięki tym zmianom wypadek Senny był jak dotąd ostatnim śmiertelnym wypadkiem kierowcy na torze F1. W sumie w wyścigach Formuły 1 zginęło 51 kierowców.

KUBICA WŚRÓD NAJLEPSZYCH

W XXI w. swojego zawodnika na torach królowej motosportu doczekali

się polscy kibice. Obok Fernando Alonso czy Kimiego Räikkönena ściga się krakowianin Robert Kubica. Pierwszy Polak ścigający się najszybszymi bolidami świata w Formule 1 zadebiutował podczas Grand Prix Węgier w sierpniu 2006 r. Miesiąc później podczas Grand Prix Włoch Kubica zajął już trzecie miejsce i pierwszy raz wszedł na podium. Swoją debiutancką sezon ukończył na 16. miejscu w klasyfikacji generalnej. Zdobył jednak uznanie zespołu BMW Sauber, który przedłużył z nim kontrakt na kolejny sezon. W 2007 r. podczas Grand Prix Kanady Robert Kubica wypadł z toru i z prędkością około 230 km/godz. roztrzaskał bolid o betonową barierę. Wypadek wyglądał groźnie, ale na szczęście polski kierowca miał tylko lekkie wstrząśnienie mózgu oraz skręconą kostkę. Mimo to nie został dopuszczony do Grand Prix USA. Przed Grand Prix Francji został jednak powtórnie dopuszczony na tory Formuły 1 i sezon zakończył na szóstym miejscu.

W 2008 r. w Grand Prix Malezji zajął drugą lokatę, a podczas GP Bahrajnu zdobył swoje pierwsze w karierze „pole position”. Ostatecznie wyścig zakończył na trzecim miejscu. Ponownie drugi był podczas Grand Prix Monako. Podczas Grand Prix Kanady do mety dojechał zaś na pierwszym miejscu, zapisując się w historii wyścigów Formuły 1 jako pierwszy kierowca z Europy Środkowo-Wschodniej, który wygrał wyścig F1. Przez kilkanaście dni był też liderem klasyfikacji generalnej. Ostatecznie sezon ten zakończył na czwartym miejscu w klasyfikacji. Wielu ekspertów widziało w nim faworyta do tytułu mistrzowskiego w sezonie 2009 r. – niestety, w klasyfikacji generalnej ułokował się dopiero na 14. miejscu. Rok 2010 był dla Kubicy znacznie lepszy: zajął ósmą pozycję w klasyfikacji generalnej. W 2011 r. polski kierowca miał koszmarne wypadek podczas odcinka specjalnego lokalnego włoskiego rajdu Ronde di Andora. W roku 2017 Kubica zadeklarował chęć powrotu do regularnych startów w wyścigach. Wziął udział w zorganizowanych przez Renault testach bolidu Formuły 1 na torze w Walencji. W 2018 r. Polak został kierowcą rezerwowym i rozwojowym w zespole Williamsa. Ostatnio coraz częściej spekuluje się zaś, że wkrótce Roberta Kubicę znów będzie można oglądać w roli kierowcy rajdowego. **Jan Pędzik**

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Legendarni mistrzowie

Ayrton Senna, Michael Schumacher czy Lewis Hamilton. Te nazwiska zna każdy. Adrenalina, sława i pieniądze przyciągają bowiem na tory Formuły 1 najodważniejszych, najszybszych i najręczniejszych kierowców



kartingowe mistrzostwa juniorów. Nie zarabiał kokosów, więc po skończeniu szkoły musiał dorabiać jako mechanik. Wciąż pracował jednak nad rozwojem techniki jazdy i zasiadał za kierownicą coraz szybszych aut.

W 1991 r. zadebiutował w Formule 1. Początki jego kariery były na tyle dobre, że szybko otrzymał zaproszenie od stajni Benetton. W 1992 r. wygrał pierwszy wyścig, a w latach 1994 i 1995 dwukrotnie sięgnął po tytuł najlepszego kierowcy świata. W 1996 r. jeździł już w barwach Ferrari. W latach 2000–2004 nie było żadnego kierowcy, który byłby w stanie pokonać „Czerwonego barona” (taki przydomek zyskał Schumacher, który zdobył wówczas aż pięć tytułów mistrza świata z rzędu).

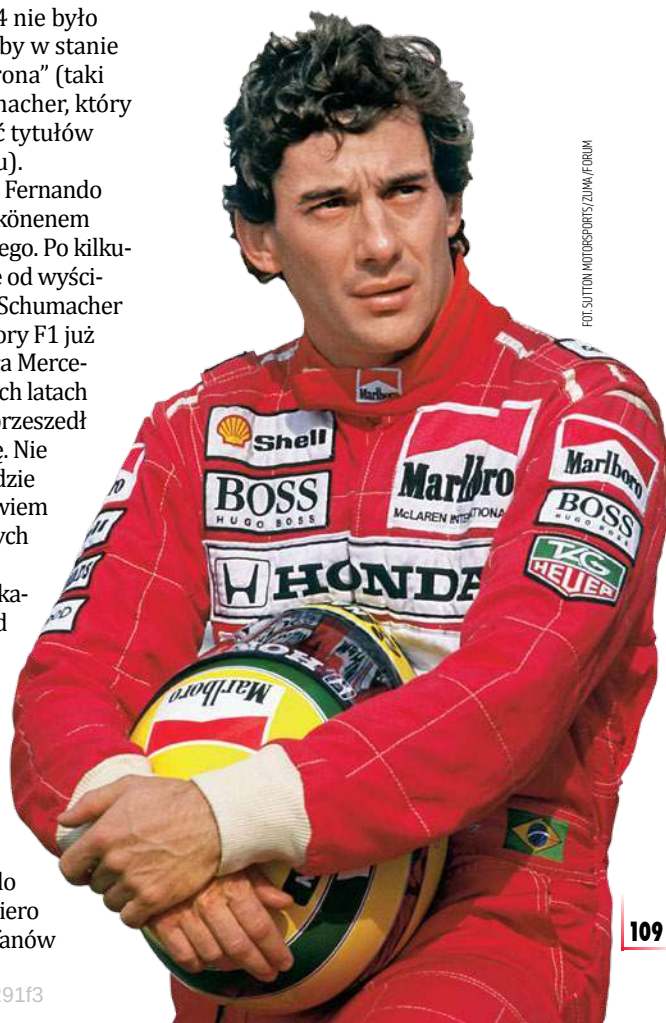
Dopiero w 2005 r. Fernando Alonso i Kimi Räikkönenem pokonali Schumiego. Po kilkuletniej przerwie od wyścigów w 2009 r. Schumacher powrócił na tory F1 już jako kierowca Mercedesu. Po trzech latach ostatecznie przeszedł na emeryturę. Nie musiał już nigdzie dorabiać. Był bowiem

jednym z najlepiej zarabiających sportowców świata. Według magazynu „Forbes” w swojej karierze zarobił w sumie miliard dolarów. W grudniu 2013 r., zjeżdżając na nartach we francuskich Alpach, Schumi przewrócił się i uderzył głową w skałę. Doznał wylewu krwi do mózgu. Po wybudzeniu ze śpiączki na wiele miesięcy trafił do kliniki rehabilitacyjnej, skąd do domu mógł przenieść się dopiero we wrześniu 2014 r. Tysiące fanów

do dziś modlą się o cudowne uzdrowienie dla swojego mistrza.

AYRTON SENNA DA SILVA Trzy tytuły mistrza świata, 41 zwycięstw, 80 razy na podium, 161 startów w wyścigach Grand Prix, 65 zdobytych Pole Position.

Do dziś wielu kibiców uznaje go za najszybszego i najlepszego kierowcę wszech czasów. Jego rywalizacja z Alaniem Prostem na przełomie lat 80. i 90. budziła ogromne emocje wśród kibiców. ■



FOT. SUTTON MOTORSPORTS/OLIVIERO TOSCANI

MICHAEL SCHUMACHER Niemiecki kierowca to najbardziej utytułowany zawodnik w historii tej dyscypliny sportu. Siedmiokrotny mistrz świata F1, który wygrał w sumie aż 91 wyścigów w Formule 1, a na podium stawał aż 155 razy, jest synem murarza, który zawsze pasjonował się wyścigami i po godzinach dorabiał, naprawiając gokarty. Mały Schumi za kierownicą sportowego pojazdu pierwszy raz zasiadł, gdy miał cztery lata – był to mały gokart na pedały, do którego jego ojciec Rolf zamontował silnik od motocykla. Schumacher szybko zaczął wygrywać

▶ Jednocześnie kochający luksus kierowca potrafił znakomicie negocjować lukratywne kontrakty. Miał więc piękne domy w Brazylii i Portugalii, drogie apartamenty w Monako i São Paulo i własny tor kartingowy. Po świecie w towarzystwie pięknych kobiet poruszał się zaś prywatnym odrzutowcem.

Urodzony w 1960 r. Brazylijczyk w swoim pierwszym gokarcie – napędzanym silnikiem od kosiarki do trawy – zasiadł już jako czterolatek. W wieku 17 lat wygrał Kartingowe Mistrzostwa Ameryki Południowej. W Formule 1 zadebiutował w 1984 r. Jeździł w zespołach Tolemana, Lotusa, McLarena i Williamsa. Już w 1988 r. sięgnął po pierwsze mistrzostwo globu. Rok później był drugi, ale w 1990 i 1991 r. nikt nie był w stanie go prze-gonić i Ayrton Senna rok po roku stawał na pierwszym miejscu podium.

Wówczas zdecydował się zmienić barwy, porzucił McLarena i przeszedł do Williamsa. Przez dwa lata nie był w stanie wrócić na sam szczyt (w 1992 r. zajął czwarte, a w 1993 r. drugie miejsce w mistrzostwach świata). Rok 1994 miał być przełomowy. 1 maja podczas Grand Prix San Marino na torze Imola 34-letni

**Senna przed wyścigiem
spodziewał się ponoć,
że może spotkać go tragedia
na torze, i dzień
przed wyścigiem, płacząc,
mówił narzeczonej,
że nie chce startować**

Brazylijczyk świetnie rozpoczął wyścig i prowadził aż do momentu, gdy z prędkością przekraczającą 300 km/godz. wypadł z trasy i na zakręcie Tamburello roztrzaskał swój bolid o mur otaczający tor. Odkamki pojazdu przebiły wizjer kasku, co spowodowało poważny uraz czaszki. Mimo że na pokładzie śmigłowca przetransportowano Sennę błyskawicznie do szpitala w Bolonii, to obrażenia mózgu były zbyt duże, aby lekarze mogli go uratować. Po śmierci legendy sportów



motorowych w Brazylii ogłoszono trzydniową żałobę narodową.

Sam Senna przed wyścigiem spodziewał się ponoć, że może spotkać go tragedia na torze, i dzień przed wyścigiem, płacząc, mówił narzeczonej, że nie chce startować...

LEWIS HAMILTON Najlepszy kierowca sezonu 2017 i pierwszy czarnoskóry zawodnik Formuły 1. Włosi mówią na niego „Il Fenomeno”, czyli po prostu Fenomen. Urodzony w 1985 r. utalentowany brytyjski kierowca ze stajni Mercedesa potrafi bowiem robić na torze rzeczy, o których większość jego konkurentów może tylko pomarzyć.

Jako 12-latek został przyjęty do programu rozwoju młodych kierowców McLarena. Gdy dziesięć lat później ekscentryczny Brytyjczyk pierwszy raz wystartował w Formule 1 podczas GP Australii w 2007 r., uznawany był za najlepiej przygotowanego debiutanta w historii. I nie zawiodł oczekiwania. Już podczas pierwszego wyścigu wywalczył trzecie miejsce. Również w następnych dziewięciu startach za każdym razem wchodził na podium, a już po swoim czwartym Grand Prix przeszedł do historii F1 jako najmłodszy lider mistrzostw świata.

Ostatecznie w swym debiutanckim sezonie zajął drugie miejsce w kwalifikacji generalnej. W 2008 r. jako 23-latek został najmłodszym mistrzem świata Formuły 1. W 2011 r. poróżnił się z ojcem – który dotąd był jego menedżerem – i rozstał się z przepiękną partnerką Nicole Scherzinger. Problemy w życiu prywatnym sprawiły, że Hamilton zaczął popełniać na torze za dużo błędów.

Od roku 2013 Hamilton jeździł w barwach Mercedesa. Po pierwszym roku startów nowym bolidem został czwartym kierowcą w klasyfikacji końcowej. Już w 2014 r. zdobył drugi tytuł Mistrza Świata Formuły 1.

Aby móc płacić niższe podatki, Brytyjczyk w trzecim pokoleniu został obywatelem Szwajcarii. Hamilton umie bowiem nie tylko szybko jeździć, lecz także dobrze liczyć swoje pieniądze. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, Hamilton wciąż nie przedłużył kontraktu z Merce-desem, od którego słynny kierowca domaga się ponoć ogromnej podwyżki. Niektóre media spekulują także, że 33-latek zarobił już na tyle dużo, że może myśleć o sportowej emeryturze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

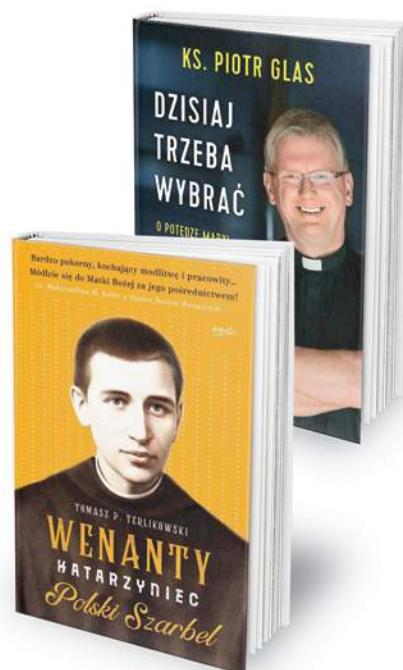
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
„WENANTY KATARZYNIEC”

Cena: 145 zł
Oszczędność: 94 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 73211291f3



Katarzyna Pinkosz

W 2018 r. Polacy kupili ponad 240 mln opakowań suplementów diety za ponad 4 mld zł. Prognozy pokazują, że będziemy ich kupować jeszcze więcej. Tylko czy wyjdzie to nam na zdrowie?

Można je kupić w aptece, w Internecie, w sklepie, na stacji benzynowej – praktycznie wszędzie. W aptece stoją na tej samej półce co leki, w podobnych, a często niemal w identycznych opakowaniach: wszystko po to, żebyśmy mieli wrażenie, że coś, co jest drobnym druczkiem opisane jako suplement diety, w rzeczywistości działa podobnie albo tak samo jak lek.

A nie działa, bo działać nie może, a przynajmniej nie powinno. W rzeczywistości suplement – jak sama nazwa wskazuje – powinien być uzupełnieniem diety w składniki, których w niej brakuje. Tylko skąd wiedzieć, czego w niej brakuje i czy jest to afrykańskie mango, pieprz kajeński, sok z pędów młodego jęczmienia, wyciąg z guarany, gorzka pomarańcza, imbir, magnez, antyoksydanty i czy wszystkie te składniki w syntetycznej formie zadziałają równie dobrze jak naturalne?

NIE LECZY. JEDNAK CZY POMOŻE?

Kolejki do lekarzy, szczególnie do specjalistów, powodują, że często zamiast czekać, wolimy leczyć się sami, dlatego sprzedaż leków bez recepty rośnie. Jeszcze bardziej wzrasta sprzedaż suplementów: w 2017 r. kupiliśmy ich za ponad 4 mld zł. Szacunki firm zajmujących się rynkiem farmaceutycznym mówią, że co roku będziemy wydawać na suplementy o 8 proc. więcej, a w 2020 r. będzie to już ponad 5 mld zł. – Niesamowity wzrost sprzedaży suplementów jest spowodowany m.in. tym, że w odróżnieniu od leków można je reklamować. W reklamach co prawda nie można mówić, że suplementy leczą. Jednak ileż jest sposobów, by powiedzieć, że robią nam dobrze?! – przekonuje prof. Przemysław Kardas, kierownik Zakładu Medycyny Rodzinnej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Najczęściej więc reklama sugeruje, że preparat sprawi, iż nie będziemy mieć zgagi, niestrawności, kaca, problemów z zasypianiem, poprawimy koncentrację, wzmocnimy kości, staniemy się bardziej witalni. Kto tego nie chce? Czasem da sobie radę nawet z chorobami, które nie istnieją, takimi jak zakwaszenie organizmu czy wodny cellulit. Najlepiej sprzedają się te preparaty, których reklama sugeruje, że dzięki nim schudniemy, poprawi się nam uroda i życie seksualne.

Profesor Kardas opowiada, że jeden z suplementów zainteresował go szczególnie, gdy w reklamie usłyszał, że polska firma pokonała największych światowych producentów i stworzyła

który wzmacnia siłę mięśniową i procesy kojarzeniowe – bo rzeczywiście niedobory sodu (jeśli ktoś je ma) mogą pogarszać kojarzenie.

CO W ŚRODKU

W aptece nie zwracamy uwagi na to, czy kupujemy lek, czy suplement, a jest między nimi wiele różnic. Pierwsza: sposób wprowadzenia na rynek. Żeby lek pojawił się w aptece, potrzeba nawet aż 20 lat – tyle zajmuje opracowanie receptury, przeprowadzenie badań klinicznych, sprawdzenie optymalnej dawki, udowodnienie profilu bezpieczeństwa i tego, że ma działanie lecznicze.



„viagrę dla kobiet”.

– Wczytałem się w skład:

imbir, cynamon... no to w zasadzie mamy ciasteczka imbirowe! Do tego była jeszcze kofeina. Ona rzeczywiście może nieco poprawić życie seksualne, bo kobieta nie zaśnie. Czy nie lepiej jednak zaprosić ją na kawę z dobrym ciastkiem, zamiast fundować jej opakowanie tabletek? – pyta prof. Kardas. Tłumaczy, że w suplementach diety często znajdują się dobrze znane środki pochodzenia ziołowego, mineralnego, witaminowego, których działanie jest znane, ale tak słabe, że w medycynie nie sięga się po nie. Widząc, jak reklamowane są suplementy, czasem przewrotnie namawia studentów, żeby zamknęły w kapsułkach sól kuchenną i sprzedawali ją jako środek,

W przypadku suplementu diety żadne badania nie są wymagane. Aby znalazł się na rynku, wystarczy, że producent zgłosi ten fakt do Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Nie trzeba nawet czekać na odpowiedź zwrotną GIS, od razu preparat można sprzedawać i reklamować. GIS ma prawo kontrolować suplementy, w praktyce jednak nie jest możliwe sprawdzenie wszystkich, tak jest ich dużo. Od 2007 do 2017 r. do GIS zgłoszono prawie 30 tys. nowych środków. Jeśli odliczyć dni wolne od pracy, to dziennie wpływa średnio ok. 30 powiadomień o nowych produktach.

Skoro weryfikacji w zasadzie brak, to pozostaje mieć zaufanie do producenta, że rzeczywiście w suplementcie jest to

– i tylko to – co zostało zadeklarowane na opakowaniu. Niestety, nie zawsze tak bywa. Marek Posobkiewicz, główny inspektor sanitarny, przyznaje, że zdarzają się zafałszowania, jeśli chodzi o zawartość suplementów. Najczęściej dotyczy to preparatów mających wspomagać odchudzanie oraz potencję u mężczyzn. – Jeden z preparatów na odchudzanie zawierał sibutraminę, z kolei w preparacie dla mężczyzn znajdował się sildenafil, czyli składnik znajdujący się w viagrze. Nie były one wyszczególnione w składzie, co jest niezgodne z prawem. Obydwa zostały wycofane z rynku – mówi minister Posobkiewicz. Sibutramina

wierzyć, że odbudują florę bakteryjną po antybiotykoterapii.

DZIAŁANIA NIEPOŻĄDANE

Pacjenci zwykle nie informują lekarzy o tym, że przyjmują jakiekolwiek suplementy, mimo że mogą one powodować interakcje z przyjmowanymi lekami. I tak np. preparatów zawierających miłorzęb japoński (często występujący w preparatach poprawiających pamięć) nie powinny przyjmować osoby, które biorą leki przeciwzakrzepowe, aspirynę, niesteroidowe leki przeciwzapalne. Niektórych suplementów, nawet działających korzystnie, nie można stosować w każdej sytuacji – np.

i układu nerwowego. Te osoby czuły się ospałe albo odwrotnie: były pobudzone – opowiada prof. Kardas.

Z ubiegłorocznego raportu NIK wynika, że konieczne są zmiany w stosunku do suplementów, np. większy nadzór nad reklamami, opłaty za powiadomienie GIS o wprowadzeniu na rynek (wtedy znajdą się pieniądze na sprawdzanie preparatów), eliminowanie marek parasolowych (czyli takich, których opakowanie do złudzenia przypomina lek), lepsze oznaczanie suplementów. A przede wszystkim edukowanie pacjentów, czym różnią się one od leków. Prace nad takimi regulacjami zapowiada też Ministerstwo Zdrowia.

LEPSZA DOBRA DIETA

Nie wszystkie suplementy są złe, dziś jednak nie sposób ich odróżnić od tych, które są wartościowe. Pozostaje ufać producentowi, że w środku znajdują się rzeczywiście składniki wyszczególnione w składzie, w dodatku w zadeklarowanej ilości. Najpewniejsze są preparaty produkowane przez firmy, które tworzą też leki – raczej nie pozwolą sobie na żadną wpadkę.

Zanim jednak sięgniemy po suplement, powinniśmy sprawdzić, czego faktycznie nam brakuje w diecie, a potem spróbować zmienić sposób odżywiania. – Wiele osób przez suplementowanie diety kompensuje własne grzechy. Niewłaściwie się odżywiają, palą papierosy, nie ruszają się i myślą, że jak będą stosować suplementy, to wszystko będzie w porządku – mówi prof. Artur Mamcarz, kierownik III Kliniki Chorób Wewnętrznych i Kardiologii II Wydziału Lekarskiego WUM.

Przykład: wiele osób przyjmuje preparaty z magnezem. – Jeśli ktoś ma jego niedobory, to suplementacja jest ważna. Przyjmowanie magnezu, jeśli ktoś nie ma jego niedoborów, nie zaszkodzi, ale raczej też nie pomoże. A wiele osób myśli, że w ten sposób można wzmocnić układ sercowo-naczyniowy. Tymczasem żeby go wzmocnić, trzeba być szczupłym, ruszać się, właściwie się odżywiać i nie palić – dodaje prof. Mamcarz.

Żaden suplement nie zniweluje szkód, jakie wyrządzamy sobie sami byle jaką dietą, brakiem ruchu, snu czy np. paleniem papierosów. To warto najpierw zmienić, zanim kolejny raz uwierzymy reklamie.

co bierzesz



to substancja podobna do amfetaminy, powoduje wzrost ryzyka zawału oraz udaru. Sildenafil nie może być stosowany u osób, które mają nadciśnienie, choroby układu krążenia – grozi to m.in. zawałem, migotaniem przedsionków.

Druzgocący dla rynku suplementów okazał się raport NIK, opublikowany w ubiegłym roku. NIK w trakcie kontroli zlecił zbadanie losowo wybranych suplementów. Spośród 11 przebadanych probiotyków w czterech stwierdzono szczypty drobnoustrojów, które nie były wyszczególnione w składzie, w jednej próbce wykryto zanieczyszczenia bakteriami kałowymi. W czterech próbkach było mniej bakterii probiotycznych, niż to deklarował producent. Trudno więc

tran przyjmowany przed zabiegami operacyjnymi powoduje wzrost ryzyka krwawień.

Skoro suplementy zawierają składniki czynne, to mogą też powodować działania niepożądane, tymczasem na razie nie ma gdzie ich zgłaszać. Dlatego w Zakładzie Medycyny Rodzinnej Uniwersytetu Medycznego Łodzi od ubiegłego roku prowadzone jest badanie, które ma pokazać, czy suplementy mogą powodować działania niepożądane. Po analizie pierwszych 200 ankiet (można je wypełnić na stronie Zmr.lodz.pl) okazało się, że co 10. osoba przyjmująca suplement odczuwała działania niepożądane. – Przede wszystkim ze strony przewodu pokarmowego (niestrawność)



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Kazimierz IV niedoszły

Kazimierz Jan Sapieha herbu Lis był w czasach Jana III Sobieskiego przywódcą totalnej opozycji magnackiej. Człowiekiem, który wspólnie z bratem Benedyktem stworzył na Litwie oligarchię na wzór dzisiejszych mafii lub dyktatur z bananowych republik. Członkowie jego rodu obsadzali najważniejsze urzędy – Aleksander Sapieha był marszałkiem wielkim, Kazimierz wojewodą trockim, Benedykt podskarbisem, a Michał Franciszek – koniuszym. Sapiehowie zdominowali politykę i pozostałe rody, ich posłowie zrywali sejmiki i sejmy, jak ten w 1689 r., jeśli nie uwzględniły interesów oligarchii.

Kariera Kazimierza zaczęła się w 1683 r., kiedy Jan III Sobieski dał mu urząd hetmana wielkiego, licząc, że stanie się jego sojusznikiem. Zawiódł się srodze.

W tym samym roku Sapieha opóźniał marsz wojska litewskiego pod Wiedeń, rabując Słowację i Węgry, a z armią królewską połączył się dopiero w listopadzie. Następnie działając razem z poplecznikami – w tym z Marcjaniem Ogińskim, kanclerzem wielkim litewskim – nie dopuścił do osadzenia na tronie po Sobieskim królewicza Jakuba, a zwłaszcza do przeprowadzenia elekcji za życia ojca. Plany Kazimierza wybiegały znacznie dalej – dotyczyły zagarnięcia korony. Dworscy przydupnicy zwali już hetmana „najjaśniejszym” i „Kazimierzem IV”. A kiedy wszyscy liczyli już ostatnie dni króla, Sapieha zaczął myśleć o poślubieniu... królowej – przyszłej wdowy Marysienki Sobieskiej – i próbował uderzać do niej w konkury.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy nie bali się wszechwładnego hetmana. Jednym z nich był biskup wileński Konstanty Brzostowski. Kiedy Kazimierz Jan umieścił w jego dobrach wojska na leże zimowe, najpierw protestował,



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WAWELU

a ostatecznie w 1694 r. rzucił na Sapiehę uroczystą klątwę kościelną w katedrze wileńskiej.

Hetman nie przejął się nią zbyt. Złośliwi powiadali, że ci panowie bracia, którzy przysłuchiwali się ceremonii w katedrze, natychmiast po mszy, po uroczystym rzuceniu świec na ziemię z okrzykiem: „Anatema, anatema, anatema”, poszli do pałacu Sapiehy na ucztę, bo akurat miał tego dnia urodziny. Hetman wyśmiewał biskupa i urządził przedstawienie parodiujące ceremonię, gdzie zamiast świec rzucano kieliszki, a Żydów ubierano w szaty biskupie. W dodatku Sapiehowie mieli wśród swojej klienteli wiele litewskich klasztorów, które nie chciały uznać klątwy nałożonej na swego dobrodzieja. W porwywie wściekłości bp Brzostowski rzucił ekskomunikę i na nie. Wówczas w obronie hetmana wystąpił kard. Denhoff, klątwy kościelnej nie zatwierdzili też opłacani przez Sapiehów prymas Michał Radziejowski i papież.

Jednak bunty i burdy krewnych Kazimierza, ich mordy polityczne i samowola, a zwłaszcza zerwanie

sejmu w 1695 r. doprowadziły do powstania silnej opozycji. Brzostowski wszedł w kontakty z największymi wrogami Sapiehów – Michałem Kazimierzem Kocięłem, strażnikiem litewskim Ludwikiem Pociem i kanonikiem wileńskim Hrehorym Ogińskim. Sytuacja w Wielkim Księstwie zaczynała przypominać beczkę prochu.

Lont podpalono dopiero pięć lat później. W kwietniu 1700 r. na ul. św. Jana w Wilnie pijana czeladź dworska Sapiehów napadła przez pomyłkę na orszak Michała Serwacego Wiśniowieckiego, biorąc go za klientów Kocięła. Rozjuszeni pachołkowie i dworzanie poranili księcia, a także jego brata Michała, posieklili pocztowych. Wiśniowieccy postanowili wówczas przyłączyć się do pozostałych magnatów. Wybuchła na Litwie wojna domowa...

18 listopada szlachta rozbiła pod Olkiennikami wojska Sapiehów. Hetman Kazimierz Jan Sapieha i jego brat podskarbi Benedykt uciekli do Wilna. Szlachecy konfederacji schwytali tylko Michała, koniuszego litewskiego. Brzostowski chciał ocalić go przed śmiercią, jednak w nocy, gdy Michał zamknięty był w kościele, panowie bracia poczęli pić na umór. Żądania wydania Sapiehy stawały się coraz natarczywsze. W końcu Litwini rzucili się na kościół, rozproszyli pilnujących go żołnierzy Wiśniowieckich. Michała rozsiekano niemal na sztuki.

Kazimierz Jan Sapieha uniknął śmierci, jednak potęgę jego rodu została ostatecznie złamana. Wkrótce znalazł sobie nowego protektora – króla Szwecji Karola XII, który najechał na Rzeczpospolitą w 1702 r., jednak mimo że należał do stronnictwa szwedzkiego, dawnej władzy już nie odzyskał. Ten bezwzględny i brutalny polityk oraz pan w 1708 r. złożył buławę na ręce swego bratanka. Zmarł w 1720 r., w wieku ok. 78 lat. ©

SERNIK BEZ SERA

Kiedy myślę „twaróg”, widzę sernik domowy. Najchętniej królewski, który na święta zawsze przygotowywała moja mama. Słodki zapach wanilii związany był nieodłącznie z cierpkim bólem moich małych rąk trzymających dzielnie misę, w której za pomocą drewnianej gałki ucierało się ser. Rety! Brzmi to jak opowieść ze skansenu, a dotyczy zaledwie końcówki polskiego komunizmu! To moje pierwsze domowe ciasto, do którego nie użyłam ani grama jakiegokolwiek substancji dosładzającej (bez cukru to oczywistość, ale również bez stewii, ksylitolu, miodu czy syropu) ani dodatkowego tłuszczu czy jakiegokolwiek mąki. Naturalne, zdrowe i rewelacyjne w smaku!

Składniki:

(na formę o średnicy 24 cm):
Spód sernika:

- 1 szklanka fig suszonych
- 3/4 szklanki łuskanych pestek słonecznika
- 1/2 szklanki łuskanych pestek dyni
- ekspandowane ziarna (np. poppingu z amarantusa; opcjonalnie, do zagęszczenia masy)

Masa „sernikowa”:

- 1 szklanka orzechów nerkowca (koniecznie namoczone dzień wcześniej)
- 3 szklanki wiórków kokosowych świeżych (czyli z nowo otwartej paczki)
- 1–2 przejrzałe banany (do smaku)
- 2 pomarańcze ekologiczne ze skórką, nieduże
- 1 cytryna ekologiczna ze skórką
- 1 płaska łyżeczka wanilii burbońskiej
- 1/2 łyżeczki kurkumy
- 2–3 garści migdałów w płatkach

- dowolne owoce (do ozdoby lub owocowej polewy)
- mięta (do ozdoby, opcjonalnie)

Wykonanie:

Zmiel figi ze słonecznikiem. Wyłóż formę papierem do pieczenia, wyklej jej spód masą, lekko podwijając boki w „miseseczkę”, i wstaw do lodówki. Teraz kolej na masę „sernikową”. Odsącz z wody nerkowce i zmiiksuj na gładko z kurkumą i wanilią. Zrób z wiórków kokosowych maselko, czyli ukręć je w urządzeniu miksującym. Połącz masę z nerkowców z maselkiem, dodaj zmiksowane w całości pomarańcze i cytrynę (bez pestek, ale ze skórką) oraz banany (bez skórki oczywiście). Całość zmiiksuj ponownie, wyłóż na schłodzony spód, posyp płatkami migdałów i wstaw do zamrażarki na 4–5 godzin. Przed podaniem udekoruj polewą owocową lub owocami. ©©

oprac. raw

Iwona Zasuwa jest chórzystką i wokalistką sesyjną, autorką bloga Smakoterapia.pl. Prowadziła także program „Ugotuj mi, mamo”



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pora śniadaniowa

O ile obiad, a tym bardziej kolację z przyjemnością jadam w towarzystwie, o tyle śniadanie uważam za posiłek intymny. W domu oznacza to kawę, gazetę i półgodzinny postój, w hotelu nigdy nie schodzę do jadalni, wybierając łóżko, gazetę i telewizor włączony na BBC News.

Jednak nie wszędzie dane jest cieszyć się tymi przyjemnościami. Kawa lura w papierowym kubku, waciany chleb ze smarem nieprzypominającym nawet margaryny, plasterki gumiestego sera... To śniadanie zaoferował mi pewien hotel w centrum Nowego Jorku. Pokój w nim kosztował wprawdzie tylko ok. 150 dol., jak na Manhattan niewiele, jak na Polskę jednak dużo.

Po marnym hotelu można spodziewać się marnego śniadania, a jednak w Paryżu nawet w niedrogim przybytku dadzą przyzwoitą kawę i świeży rogalik. A jeśli nie dadzą, to zjesz to w kawiarni na rogu. Jednak nie licząc na wiele. Narody Południa śniadaniem nie zwracają sobie głowy. Z grubsza biorąc, im bardziej na północ,

tym śniadanie staje się obfitsze. We Włoszech i Francji dostaniemy tylko coś małego na słodko. Włoch swoją ciambellę, czyli słodką bułkę posypaną pudrem, zjada w pędzie przy barze na swojej ulicy.

Do tego cappuccino. Francuz zjada na szybko croissanta lub bagietkę z wczoraj, chyba że chce mu się rano iść po świeżą (główny wypiek następuje po południu). Do tego café au lait lub – w mniejszości – herbata, którą we Francji traktuje się jako napój dla chorych.

Za to Niemcy, Holendrzy, Skandynawowie podchodzą do sprawy z całą powagą

– ciemne pieczywo, grzanki, bułki, wędliny, jajka, musli, jogurt, owoce, świeżo wyciskany sok z cytrusów. W dobrym hotelu podadzą ci to wszystko, i to nawet

w cenie pokoju.

Tylko Anglicy w kwestii śniadania, podobnie jak w kwestii ruchu lewostronnego, miar, wag oraz waluty zachowują „splendid isolation”. Ani Francuz, ani Włoch nie przełknąłby o świcie ich narodowego przysmaku – fasolki w sosie pomidorowym. Jednak w ciągu ostatnich kilkunastu lat nouvelle cuisine usunęła z angielskiej kuchni najcięższe potrawy i dzisiaj zarówno baked beans, jak i jajka na bekonie pozostały już tylko narodową legendą. Natomiast moi angielscy kuzyni z upodobaniem jadają rano kanapki z marmite – wyspiarską osobliwość, przez nie-Anglików uważaną za świństwo. Jest to brunatny wyciąg z drożdży, o konsystencji miodu, bardzo zdrowy. Osobiście przekonałam się do niego i jadam go czasami z serem cheddarem lub z dżemem. ©©



NASZ TEST: VW POLO

Nowe Polo jest istotnie większe od poprzedniej wersji i tylko trochę mniejsze od Golfa. Dzięki temu powstał niezły, pięciodrzwiowy miejski samochód, który jest na tyle przestronny, że bez problemu można nim wyjechać również w dłuższą trasę.

W KABINIE

Nowe Polo jest szersze niż wielu konkurentów, dzięki czemu zarówno z przodu, jak i z tyłu siedzi się całkiem wygodnie. Wygodne, ergonomiczne fotele dobrze podpierają ciało. Nieco gorzej jest z jakością zastosowanych materiałów, które są miękkie i miłe w dotyku głównie w górnej części deski rozdzielczej, na drzwiach zamontowano już jednak twarde i mało przyjemne plastikowe elementy.

Na pochwałę zasługują za to znakomity ośmiocalowy ekran dotykowy oraz znajdujący się za kierownicą wyświetlacz o przekątnej 10,25 cala, który zastąpił analogowe wskaźniki. Bardzo praktyczna jest także możliwość bezprzewodowego ładowania najnowszych smartfonów w przednim schowku.

Bagażnik ma 351 l pojemności, a po rozłożeniu siedzeń można go powiększyć do 1125 l. To co prawda nieco mniej, niż oferuje m.in. Seat Ibiza, ale kufer Polo jest jednak większy niż np. w Oplu Corsie.

JAZDA

Silnik o pojemności 1,0 l i mocy 115 KM wystarcza, aby ważącym nieco ponad tonę autem żwawo poruszać się po ulicach miasta. Na trasie też nie ma dramatu. Od 0 do 100 km/godz. nowe Polo przyspiesza w 10,9 s. Szału nie ma, ale to wynik lepszy, niż uzyskują chociażby Ford



Fiesta czy Opel Corsa. Prędkość maksymalna wynosi 187 km/godz., czyli jak na polskie warunki zupełnie wystarczająco.

Układ kierowniczy jest precyzyjny. Nowe Polo dobrze się więc prowadzi, choć pod względem frajdy z jazdy warto umówić się też na jazdy próbne u konkurentów. Zawieszenie zostało tak zestrojone, że auto komfortowo pokonuje wszelkie dziury i progi zwalniające, a jednocześnie za kierownicą Polo można czuć się pewnie, podczas dynamicznego pokonywania serpentyn. Auto jest też przyzwoicie wyciszone. A automatyczna skrzynia DSG sprawnie radzi sobie ze zmianą biegów.

Średnie spalanie podczas testu w cyklu mieszanym wyniosło 5,8 l na 100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP VW Polo zdobył komplet pięciu gwiazdek, co mu dało 96 proc. punktów w kategorii ochrona dorosłych podróżujących, 85 proc. w kategorii ochrona dzieci i 76 proc. punktów za bezpieczeństwo pieszego w razie kolizji.

Auto jest też wyposażone w wiele systemów ułatwiających życie kierowcy, np. diody w lusterkach ostrzegają przed samochodami znajdu-

jącymi się w martwym punkcie. A system wykrywający zmęczenie kierowcy zachęca do robienia sobie niezbędnych przerw w dalekiej podróży. Przydatny jest też asystent wyjazdu z miejsca parkingowego, który monitoruje ruch za tylnym zderzakiem, a w razie potrzeby samodzielnie zatrzyma auto, aby nie dopuścić do kolizji lub zminimalizować jej skutki. Inny system wykrywa z kolei przeszkody z przodu auta – w tym pieszych – i w sytuacji awaryjnej również potrafi autonomicznie rozpocząć hamowanie.

CENA

Najtańsze Polo z manualną skrzynią biegów oraz jednolitrowym silnikiem o mocy zaledwie 65 KM można kupić za 44,9 tys. zł. Wersja z trzycylindrowym silnikiem 1.0 o mocy 115 KM



i automatyczną skrzynią biegów kosztuje co najmniej 70 tys. zł. Za Polo GTI z dwulitrowym czterocylindrowym silnikiem o mocy 200 KM trzeba zaś już zapłacić ok. 90 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Fiesta, Honda Jazz, Hyundai i20, Kia Rio, Opel Corsa, Renault Clio, Seat Ibiza © © **Jacek Przybylski**





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Quo vadis, Polonio?

MARCIN MAKOWSKI: Prezydent Andrzej Duda wrócił z podróży do USA. Jednym z symbolicznych przystanków było złożenie wieńca pod Pomnikiem Katyńskim w Jersey City. Nie obyło się jednak bez zgrzytów. Burmistrz Steven Fulop pojawił się na miejscu i starał się zrobić wszystko, aby ich spotkanie wyglądało na oficjalne.

MATTHEW TYRMAND: To prawda, Fulop chciał się dostać pod pomnik razem z Andrzejem Dudą i wspólnie złożyć wieńce. Wiem, że ambasador Piotr Wilczek i konsul Maciej Golubiewski robili wszystko, aby do tego nie doszło. Oczywiście gdyby komuś zależało, istniała możliwość uwzględnienia takiego spotkania w planie wizyty, ale byłoby to całkowicie nieadekwatne do sytuacji pod względem dyplomatycznym. Ostatecznie Fulop z własnej inicjatywy złożył kwiaty tuż po Andrzeju Dudzie i zamienił z nim kilka zdań. Rzekomo nagle przejrzał na oczy, zmienił swoje stanowisko o 180 stopni i chce przyjechać do Polski, aby poznać jej historię oraz odwiedzić miejsca związane z Holokaustem. Z tego, co wiem, prezydent powiedział mu kilka mocnych słów i nie był zadowolony. Na miejscu Polaków urządziłbym protesty po przylocie

Fulopa do Warszawy i Krakowa. Na nic lepszego nie zasługuje.

Z kolei sam Fulop, gdy prezydentem zostanie już jakiś demokrat, widzi siebie w roli ambasadora w Polsce. Trolling?

Nie wiem, równie dobrze może mieć takie plany. Co tylko pokazuje, że jak niepoważnym człowiekiem mamy do czynienia. Dla niego cała ta sprawa to zabawa, za którą nie ma ochoty przeproszać. W jaki sposób ktoś równie nieporadny komunikacyjnie może w ogóle myśleć o byciu dyplomatą? Wyobraź sobie teraz, że wybory wygrywa Hillary Clinton. Właśnie tak wyglądałaby w tej chwili jej dyplomacja wobec Polski.

Przy okazji – widziałeś spotkanie z Polonią w Chicago? Tłumy ludzi, flagi, świetna atmosfera. Tylko jak to jest, że politycznie nadal nie potrafimy wykorzystać tego potencjału?

Z tłumami bym nie przesadzał. Było kilka tysięcy osób, co nie jest spektakularnym wynikiem w Parku Milenijnym w Chicago. Zgadzam się ze Sławomirem Cenckiewiczem, który komentując to spotkanie, stwierdził, że choć na obrazkach wygląda ładnie, to w rzeczywistości na niewiele się przekłada. Wielo-

milionowa Polonia to raptem ok. 30 tys. głosów w polskich wyborach i niewielka siła przebicia w polityce USA. Ci, którzy są aktywni, to nieliczna reprezentacja skrajnej prawicy oraz pogrobowców KOD. Marek Chodakiewicz, który często wypowiada się w tej sprawie, uważa, że Polonia nigdy nie będzie realną siłą lobbującą, jeśli się w nią nie zainwestuje i nie stworzy środowiska z odpowiednią strukturą, hierarchią i podstawami materialnymi do prowadzenia szeroko zakrojonych akcji. Zamiast tego istnieje Kongres Polonii Amerykańskiej z prezesem Frankiem Spulą na czele, którego horyzont kończy się na utrzymaniu własnego stanowiska.

Może w takim razie relacje Polska – USA musimy wzmacniać na innej podstawie? Na przykład idei Trójmorza, która niedawno została wpisana do priorytetów strategicznych amerykańskiej geopolityki.

To akurat nie ulega wątpliwości. Fakt, że opozycja śmiała się z tego pomysłu jako stworzonego na pędzie, aby było o czym rozmawiać podczas wizyty Trumpa w Warszawie, świadczył tylko o jej kompletnej ignorancji. Kolejne wydarzenia potwierdzają jedynie scenariusz, o którym rozmawialiśmy prawie rok temu. Trójmorze – promowane w Stanach przez wspomnianego Chodakiewicza – to koncepcja, która idealnie wpisuje się w politykę Waszyngtonu w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Z jednej strony buduje blok zdolny przeciwstawić się energetycznemu dyktatowi Rosji, z drugiej – równoważy wpływy Niemiec i Rosji. Nikki Haley, Mike Pompeo i John R. Bolton są w Białym Domu tego samego zdania. Jeśli Polska dzisiaj może na czymś budować, to właśnie na wyzbyciu się sentymentów. Machanie chorągiewkami w Chicago jest miłe dla oka, ale dyplomacja to coś więcej. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

117





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Zbuk Błaszczaka

W swojej działalności i wykorzystywanych materiałach fundacja znieważa legalnie i demokratycznie działające organy władzy publicznej, w tym Prezydenta RP, cytuję za »Deklaracją nieposłuszeństwa«: »Oświadczam publicznie, że Andrzej Duda jest kłamcą i krzywoprzysięcą, niegodnym sprawowania żadnej godności w Rzeczypospolitej«. To jeden z „argumentów”, jakimi prawie rok temu ówczesny minister Mariusz Błaszczak uzasadniał swój wniosek do sądu o wprowadzenie w fundacji Wolni Obywatele RP

Błaszczak zamiast karać konkretną osobę, próbuje ukarać całą organizację

zarządcy przymusowego. Warszawski sąd właśnie wyznaczył termin pierwszej rozprawy w tej sprawie i jeśli do tego czasu minister Brudziński nie wycofa kuriozalnego wniosku swojego poprzednika, prezydent Duda będzie mógł serdecznie podziękować obu kolegom za niedźwiedzią przysługę, bo to on ostatecznie straci na takich siłowych próbach bronięcia jego godności.

W III RP sądy skazywały osoby znieważające kolejnych prezy-

dentów na grzywny, a nawet kary więzienia w zawieszeniu. Chyba możemy się zgodzić, że rok i cztery miesiące pozbawienia wolności za nazwanie prezydenta Kwaśniewskiego nierobem to kara nieproporcjonalna i szacunku byłemu prezydentowi nieprzysparzająca.

Minister Błaszczak idzie kilka kroków dalej i zamiast karać konkretną osobę za popełnione przez nią ewentualnie przestępstwo, próbuje ukarać całą organizację. To głupie, nieskuteczne i groźne. Efekt może być tylko jeden – sąd, jeśli nie w pierwszej instancji, to w kolejnych – kuriozalny wniosek odrzuci, tak jak inne sądy wcześniej odrzucały wnioski o delegalizację stowarzyszeń mających dużo większe grzechy na sumieniu niż nazwanie prezydenta kłamcą.

„Stowarzyszenia to jedna z największych, fundamentalnych wartości i wolności w demokratycznym państwie prawa. To po prawie do życia, do zdrowia, jedna z głównych rzeczy, która w tym państwie powinna być chroniona” – tak sąd argumentował odrzucenie wniosku prokuratury o rozwiązanie stowarzyszenia kibiców, choć prokuratura wniosek uzasadniała licznymi wyrokami za bardzo ciężkie przestępstwa, jakie mieli na koncie członkowie organizacji, która sama miała być zresztą przykrywką dla przestępczej działalności. Na nic się

to zdało, bo nie tylko polskie, lecz także europejskie orzecznictwo mocno chroni wolność zrzeszania się. Wniosek Błaszczaka nie ma więc szans, a jedyne, co się uda nim osiągnąć, to ośmieszenie państwa i wywołanie kolejnego międzynarodowego skandalu.

A jeśli wniosek Błaszczaka przejdzie? Byłaby to fatalna wiadomość np. dla fundacji Niezależne Media Tomasza Sakiewicza, wspierającej finansowo jego wydawnictwa. Ile tam by się znalazło dowodów na znieważanie kolejnych prezydentów, ile materiału do przyszłych wniosków o zarząd przymusowy. Jestem pewna, że wyznaczoną właśnie przez Błaszczaka ścieżką chętnie pójdą w przyszłości kolejne rządy. Naprawdę tego chcemy w „pakiecie demokratycznym”, który – zapewniam – raz wprowadzony będzie już zawsze bronią obosieczną?

I na koniec wielki kamyk do ogródka opozycji. Błaszczak próbuje zrobić dokładnie to, co Nowoczesna chce wprowadzić w ustawie o stowarzyszeniach, forsując zapis umożliwiający rozwiązanie stowarzyszenia, „jeżeli jego działalność wykazuje rażące lub uporczywe naruszanie prawa albo postanowień statutu”. Panie i panowie z opozycji, macie okazję śledzić, jak wyglądałby w praktyce postulowany przez was zapis. ©©

PODSŁUCHANE

Może się da

Lechu, ale ta wizyta u protestujących to nie za bardzo...

Ja zawsze jestem szczerzy, zawsze byłem szczerzy, jak mówię o tym, że żadnym Bolkiem mnie byłem, to też prawdę mówię, bo ja zawsze prawdę mówię, Grzesiu, więc jak im powiedziałem, że ja im papieża

nie załatwiem, to ja wiem, co ja mówię.

Papież papieżem, nikt się nie spodziewał, ale mogłeś to rozegrać jakoś...

Ty nie wiesz, jak ja rozgrywałem esbecjem, ja ich tak rozgrywałem, że oni nie wiedzieli, gdzie głowem majom. I ja potem sobie pomyślałem, jak już ze Sejmu wyszedłem, że z tym papieżem to ja jednak za szybko żem powiedział, że się nie da, bo może się da, ja tam mam we Watykanie swoje chody i ja żem pomyślał...

Ale czekaj, przecież papież to...

...ja żem wziął za słuchawkę, numer wykreciłem, on odebrał i ja jemu wtedy mówię: „Franek, ty weź, ty przyjedź do tych ludzi w Sejmie, bo oni cię potrzebuje”...

Ale jak to?! Ty do niego tak po polsku, przez telefon?!

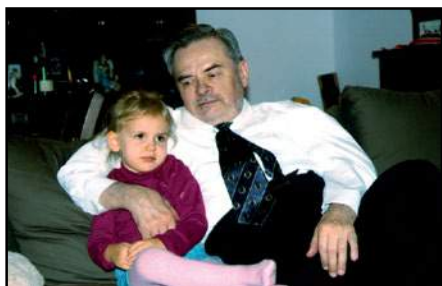
A co? Z polskim prezydentem rozmawia, co wziął i komunę obalił, to niech się uczy polskiego. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ja zarabiam pięć tysięcy, a żona wydaje sześć”.

LECH WAŁĘSA do protestujących w Sejmie opiekunów osób niepełnosprawnych w kontekście ich sytuacji finansowej.



Brzdące

jąc à propos demokracji stwierdził: „— *Ludzie są debilowi w swej masie. Żeby nimi kierować, trzeba dokładnie zrozumieć psychikę debila*”. A psychikę pedofila?... Rok temu Piotra T. aresztowano za pedofilstwo, sprawa się toczy, ciekaw więc jestem czy rodzimi sędziowie, całkowicie przecież niezawisli (głównie od sprawiedliwości), potraktują go łagodnie na skutek humanistycznej wyrozumiałości wobec patologicznej jaźni człowieka zboczonego erotyzowaniem/pornolizowaniem dzieciaków.

Prerażające jest również terroryzowanie dzieci szkolonych na zabiwców (żołdaków bądź samobójców–ludobójców) w świecie islamu, gdzie to zjawisko przybrało charakter masowy. Publiczny/makabryczny tego popis dał u schyłku lutego rządzący despotycznie po islamsku Turcją prezydent Recep Erdoğan. Podczas kongresu jego partii w mieście Kahramanmaraş urządzono tam wiec dla mieszkańców. Prezydent przemawiający z estrady do tłumu zobaczył nagle małą dziewczynkę, którą rodzice ubrali patriotycznie w miniaturę munduru, i kazał ją sobie podać. Funkcjonariusze bezpieczeństwa wyciągnęli z tłumu opierającą się 6–letnią Amine Tiras i dostarczyli ją na scenę, gdzie Erdoğan, nie bacząc, że dziecko rozpaczliwie płacze i dygocze ze strachu, chwycił ją i krzyknął do gawiedzi:

— Patrzcie, w lewej kieszeni, na sercu, ma turecką flagę! Jeżeli Allah zezwoli, zostanie męczennicą, i wtedy położymy taką flagę na jej grobie! Ona jest już na to gotowa! Prawda, że jesteście już na to gotowa?...

Prerażone dziecko cały czas się trzęsło, a po policzkach ściekały mu strumienie łez. Media Zachodu pytały czy Erdoğan swojej wnuczce zrobiłby to samo. Tak, media tego europejskiego Zachodu, gdzie lawinowo mnożą się dziś mali islamscy kandydaci na „męczenników”, gdyż muzułmańscy „nachodźcy” płodzą jak króliki, w przeciwieństwie do białych Europejczyków, którym wy-

starcza ciupcanie dla przyjemności li tylko. Znany włoski ekonomista Ettore Gotti Tedeschi, były szef Instytutu Dziej Religijnych zwanego Bankiem Watykanu, mówił niedawno (styczeń) na łamach dziennika „*La Verità*”, że trawiący cywilizację zachodnią kryzys rozpoczął się od spadku urodzin, bo Kościół nie wsparł z odpowiednią siłą encykliki Pawła VI „*Humanae Vitae*”, a wielu hierarchów głosiło tzw. „*odpowiedzialne rodzicielstwo*”, skłaniające małżonków do poprzestania na jednym dziecku. Efektem (dwie dekady później) stał się m.in. brak rąk do pracy i wypuszczenie hord muzułmańskich imigrantów, bezsensowne, albowiem ci pracować nie lubią, woła żerować na „*pomocy społecznej*”, czyli na zasiłkach od znienawidzonych „*gaiurów*”.

Cieszę się, iż moje dzieci praktykują rodzicielstwo nieodpowiedzialne, dzięki czemu mam pięcioro wnuków (Tadek 25 lat, Kazik 21 lat, Zosia 14 lat, Stasio 12 lat, i 5 lat Jadzia — „*oczko w głowie*” i żywy „*pluszak*” dziadka). Wszystkie są wychowane i wychowywane na przyzwyczajonych do patriotów, co zresztą nie jest żadną osobliwością, tak kształtuje swą działość mnóstwo rodzin terytorialnie polskich i polonijnych, exemplum familia mojego przyjaciela, Wiesława Matusińskiego (Hamtramck, stan Michigan), który zaanonsował mi właśnie nasze kolejne spotkanie, pisząc: „*Tegoroczny pobyt w kraju planuję na sierpień, bo 15 sierpnia, w Dniu Wojska Polskiego, będą wielkie obchody z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości (w listopadzie będą pewnie jeszcze większe, ale wtedy nie mogę przyjechać do kraju). Moje córki bardzo chcą zobaczyć sierpniową defiladę jednostek Wojska Polskiego. Młodsza [Eliza 6 lat] słucha często ze mną hymnu Wojska Polskiego, legionowej pieśni Marszałka Piłsudskiego, «Pierwsza Brygada», uwielbia ją. Starsza [Wiktoria 13 lat] jest podobnie jak Eliza harcerką i też marzy o zobaczeniu naszych wojaków*”. Takich rodziców plus takich marzeń życzę wszystkim dzieciakom Polonii i III RP. Wychowane w ten sposób, będą czyniły Polskę silną i piękną. ©©

Waldemar Łysiak

Przypominam: w ten piątek Dzień Dziecka. Dla mnie jest to dzień zwłaszcza małego dziecka, najcudowniejszej istoty na Ziemi. Widok roześmianej buzi małego dziecka, i jego czule przytulenie się do ciebie, więcej niż ubogacają — one wręcz usprawiedliwiają wegetację dorosłego człowieka, wbrew sugestiom Becketta i jemu podobnych czarnowidzów, że życie jest sprawą chybioną. „*Życie to podarunek jednorazowego użytku*” — zauważył świetny rysownik–filozof Janusz Kapusta (notabene niegdyś mój student na wykładach z Historii Kultury i Cywilizacji). W tym podarunku od Opatrzności czołowy bonus (obok kilku innych brylantowych, jak poczucie honoru i poczucie humoru) stanowi obecność słodkiego brzdąca. Kto tego nie zaznał, ten będzie ubogi choćby zbił fortunę.

Wspominałem wyżej o „*roześmianej buzi*”. Żyjemy wszelako na ziemskim padole, który migawkami z ekranów codzienne okazuje nam buzie zapłakane, cierpiące, pełne bólu. Myślę o dzieciach Syrii i o maluchach udręczonej Afryki, lecz nie tylko — również o niepokazywanych przez kamery twarzyczkach ofiar straszliwej zbrodni, którą jest pedofilia. Jej każde żniwo idzie w miliony drobnych istot, bezbronnych wobec oprawców, którymi jakże często okazują się szanowane figury, ludzie ze świecznika politycznego, religijnego, naukowego, artystycznego. Przy każdym zdemaskowaniu — mamy szok opinii publicznej, przecierającą wzrok ze zdumienia. Dziesięć lat temu Piotr Tymochowicz, najbardziej rozchwytywany wtedy polski spec od PR, dywagu-



Jadzia w wiośnie i Jadzia w Wenecji





**WSPARCIE KIBICÓW ODBIJA SIĘ
W SUKCESACH PIŁKARZY
NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD**



GŁÓWNY SPONSOR REPREZENTACJI POLSKI